# PISMA STEFANA ŻEROMSKIEGO

WALKA Z SZATANEM I. NAWRACANIE JUDASZA. Powieść. 1921.
WALKA Z SZATANEM II. ZAMIEĆ. Powieść. 1921.
WALKA Z SZATANEM III. CHARITAS. Powieść. 1921.
ARYMAN MŚCI SIĘ. — GODZINA. Wydanie drugie 1911.
BIAŁA RĘKAWICZKA. Sztuka w 3-ch aktach z prologiem i epilogiem. 1921.
DLA MŁODZIEŻY. Książka pierwsza. 1921.
DLA MŁODZIEŻY. Książka druga. 1921.
DUMA O HETMANIE. Wydanie czwarte. 1920.
DZIEJE GRZECHU. Powieść w 2 tomach. Wydanie V. 1920.
ECHA LEŚNE. 1920.
INTER ARMA. Warszawa. 1920.
LUDZIE BEZDOMNI. Powieść w 2 tomach. Wydanie V. 1923.
OPOWIADANIA. (Doktór Piotr.—Cokolwiek się zdarzy. — Ananke. Zmierzch. — Złe przeczucie. — Po Sedanie. — Zapomnienie. — Pokusa. — Siłaczka. — Oko za oko. — Niedziela. — Z dziennika). Wydanie IV. 1910.
O PRZYSZŁOŚĆ RAPPERSWILU. Kraków. 1912.
ORGANIZACJA INTELIGENCJI ZAWODOWEJ. Warszawa. 1919.
POCZĄTEK ŚWIATA PRACY. Kraków. 1919.
PONAD ŚNIEG BIELSZYM SIĘ STANĘ. Warszawa. 1920.
POPIOŁY. Powieść z końca XVIII i początku XIX w. w 3-ch tomach. Wydanie IV., drukowane w piątym roku wojny wszechświatowej. Wydanie V. 1922.
POWIEŚĆ O UDAŁYM WALGIERZU. Wydanie nowe. 1918.
PROJEKT AKADEMJI LITERATURY POLSKIEJ. Warszawa. 1918.
PROMIEŃ. Powieść. Wydanie IV. 1910.
ROZDZIOBIĄ NAS KRUKI, WRONY. Wydanie III., z rysunkami Janowskiego. 1905.
RÓŻA. Dramat niesceniczny. Wydanie drugie. 1910.
SEN O SZPADZIE. Kraków. 1911.
SEN O SZPADZIE I SEN O CHLEBIE. Zakopane 1916.
SIŁACZKA. — NA POKŁADZIE. (B. U. L. Nr. 5). 1907.
SŁOWO O BANDOSIE. Wydanie nowe. 1920.
SUŁKOWSKI. Tragedja. Wydanie II. 1910.
SYZYFOWE PRACE. Powieść. Wydanie nowe. 1919.
URODA ŻYCIA. Powieść w 2-ch tomach. Wydanie nowe. 1920.
UTWORY POWIEŚCIOWE. (Na pokładzie. — O żołnierzu tułaczu. — Tabu. — Cienie. — Kara. — Legenda o bracie leśnym). Wydanie IV. 1910.
WIATR OD MORZA. Warszawa. 1922.
WIERNA RZEKA. Klechda. 1921.
WISŁA. Warszawa. Wydanie II. 1920.
WSZYSTKO I NIC. Warszawa. 1919.
ZMIERZCH. — COKOLWIEK SIĘ ZDARZY. (B.U.L.Nr.41). 1907.

# PISMA STEFANA ŻEROMSKIEGO

PIERWSZE WYDANIE ZBIOROWE

## POWIEŚCI WSPÓŁCZESNE



WARSZAWA — MCMXXIII — KRAKÓW
WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA
TOWARZYSTWO WYDAWNICZE W WARSZAWIE

STEFAN ŻEROMSKI

# LUDZIE BEZDOMNI

POWIEŚĆ





TOM PIERWSZY

WYDANIE PIĄTE





WARSZAWA — MCMXXIII — KRAKÓW
WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA
TOWARZYSTWO WYDAWNICZE W WARSZAWIE

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

# WENUS Z MILO.

Tomasz Judym wracał przez *Champs Elysées* z lasku bulońskiego, dokąd jeździł ze swej dzielnicy koleją obwodową. Szedł wolno, noga za nogą, wyczuwając coraz większy wskutek upału ciężar własnej marynarki i kapelusza. Istny potop blasku słonecznego zalewał przestwór. Nad odległym widokiem gmachów, rzucających się w oczy od Łuku Tryumfalnego, wisiał różowy pyłek, który już począł wżerać się, niby rdza, nawet w śliczne, jasno-zielone liście wiosenne, nawet w kwiatuszki *paulovnii*. Ze wszystkich, zdawało się stron płynął zapach akacyi. Na żwirze, dokoła pniów pod budynkami, w rynsztokach leżały jej białe kwiatki z ośrodkiem czerwonawym, jakby skrwawionym od ukłócia śmierci. Pył bezlitosny zasypywał je niespostrzeżenie.

Zbliżała się godzina spaceru wielkiego świata i Pola drgać zaczynały od ruchu karet. Na drewnianym bruku dudnił jednostajny łoskot, jakby oddalona mowa wielkiej fabryki. Przebiegały piękne, lśniące rumaki, migotała ich uprząż, pudła, sprychy lekkich po-

jazdów — i mknęły, mknęły, mknęły bezustanku wiosenne stroje kobiece o barwach czystych, rozmaitych i sprawiających rozkoszne wrażenie, jakby natury dziewiczej. Kiedy niekiedy wynurzała się z powodzi osób jadących twarz subtelna, wydelikacona, tak nie do uwierzenia piękna, że widok jej był pieszczotą dla wzroku i nerwów. Wyrywał z piersi tęskne westchnienie, jak za szczęściem — i ginął, unosząc je w mgnieniu oka ze sobą.

Judym znalazł pod osłoną kasztanów brzeg wolnej ławy i z wielką satysfakcyą usiadł tam w sąsiedztwie starej i wąsatej niańki dwojga dzieci. Zdjął kapelusz i, wlepiwszy wzrok w rzekę pojazdów, walącą środkiem ulicy, zwolna wystygał. Na chodnikach przybywało coraz więcej osób ubranych wykwintnie, — lśniących cylindrów, jasnych paltotów i staników. W pewnej chwili stare babsko z chytremi oczami wprowadziło między strojny tłum młode koźlątko z sierścią jak śnieg bielutką. Stado dzieci postępowało za koziołkiem, uwielbiając go gestami, oczyma i tysiącem okrzyków. Kiedyindziej wielki obdartus czerwony na gębie przeleciał jak fiksat, wywrzaskując głosem ochrypłym rezultat ostatniego biegu koni. I znowu spokojnie, równo, uroczo płynęła rzeka ludzka na chodnikach, a środkiem rwał jej nurt bystry, uwieńczony pianą tkanin przecudnych, lekkich, w oddali niebieskawo-zielonych...

Każdy rozpuszczony liść rzucał na biały żwir z okrągłych kamyków wyraźne odbicie swego kształtu. Cienie te posuwały się zwolna, jak mała wskazówka po białej tarczy zegara. Na ławkach było już pełno,

a tymczasem cień opuścił miejsce, zajęte przez Judyma, i ustąpił je roztapiającej kaskadzie słońca. Naokół innego *asilum* nie było, więc doktor, rad nie rad, wstał i powlókł się dalej ku Placowi Zgody. Z niecierpliwością wyczekiwał, kiedy można będzie przemknąć się wskróś istnego odmętu karet, powozów, dorożek, bicyklów i pieszych na zakręcie głównej fali, pędzącej od bulwarów w stronę Pól Elizejskich. Wreszcie stanął pod obeliskiem i poszedł w głąb ogrodu *de Tuileries*. Tam było prawie pusto. Tylko nad nudnemi sadzawkami bawiły się blade dzieci i w głównym szpalerze kilku mężczyzn rozebranych do koszuli, grało w *tennisa*. Minąwszy ogród, Judym zwrócił się ku rzece z zamiarem wędrowania w cieniu murów na placyk przed kościołem *Saint-Germain l'Auxerrois* i ogarnięcia bez troski miejsca na *imperialu*. W owej chwili stało w jego myśli puste kawalerskie mieszkanie aż na *Boulevard Voltaire*, gdzie od roku nocował, i mierziło go pustką tych ścian, banalnością sprzętów i nieprzezwyciężoną, cudzoziemską nudą, wiejącą z każdego kąta. Pracować mu się nie chciało, iść do kliniki — za nic na świecie.

Znalazł się na *Quai du Louvre* i z uczuciem błogości w karku i plecach zatrzymał pod cieniem pierwszego kasztana bulwaru. Ospałym wzrokiem mierzył brudną, prawie czarną wodę Sekwany. Gdy tak sterczał na podobieństwo latarni, zapaliła się w nim myśl, jakby z zewnątrz wniesiona do wnętrza głowy: dlaczegóż, u licha, nie miałbym pójść do tego Luwru?...

Skręcił na miejscu i wszedł na wielki dziedziniec. W cieniach przytulonych do grubego muru,

w które zanurzył się niby w głębie wody, dotarł do głównego wejścia i znalazł się w chłodnych salach pierwszego piętra. Dokoła stały odwieczne posągi bogów, jedne wielkości niezwykłej, inne naturalnej, a wszystkie prawie z nosami i rękoma uszkodzonemi w sposób bezbożny. Judym nie zwracał uwagi na tych zdegradowanych władców świata. Czasami zatrzymywał się przed którym, ale przeważnie wówczas, gdy go uderzył jakiś zabawny despekt boskich kształtów. Nadewszystko interesowała go sprawa odpoczynku w doskonałym chłodzie i zdala od wrzawy ulicy paryskiej. Szukał też nietyle arcydzieł, ile ławki, na którejby mógł usiąść. Zdybał ją po długiej wędrówce z sali do sali w narożnem zetknięciu się dwu długich galeryi, przeznaczonem na schronienie dla Wenus z wyspy Milos.

W zakątku, tworzącym jakby niewielką izbę, oświetloną jednem oknem, stoi na niewysokim piedestale tors białej Afrodyty. Sznur, owinięty czerwonym pluszem, nikomu do niej przystępu nie daje. Judym widział już był ten cenny posąg, ale nie zwracał nań uwagi, jak na wszelkie wogóle dzieła sztuki. Teraz, zdobywszy w cieniu pod ścianą wygodną ławeczkę, jął dla zabicia czasu patrzeć w oblicze marmurowej piękności. Głowa jej zwrócona była w jego stronę i martwe oczy zdawały się patrzeć. Schylone czoło wynurzało się z mroku i, jakby dla obaczenia czegoś, brwi się zsunęły. Judym przyglądał się nawzajem i wtedy dopiero ujrzał małą, niewidoczną fałdę między brwiami, która sprawia, że ta głowa, ta bryła kamienna w istocie — myśli. Z przenikliwą siłą spogląda w mrok

dokoła leżący i rozdziera go jasnemi oczyma. Zatopiła je w skrytości życia i do czegoś w niem uśmiech swój obraca. Wytężywszy rozum nieograniczony i czysty, posiadła wiadomość o wszystkiem, zobaczyła wieczne dnie i prace na ziemi, noce i łzy, które w ich mroku płyną. Jeszcze z białego czoła bogini nie zdążyła odejść mądra o tem zaduma, a już wielka radość dziewicza pachnie z jej ust rozmarzonych. W uśmiechu ich zamyka się wyraz uwielbienia. Dla miłości szczęśliwej. Dla uczestnictwa wolnego ducha i wolnego ciała w życiu bezgrzesznej przyrody. Dla ostrej potęgi zachwytu zmysłów, którego nie stępiły jeszcze ani praca, ani zgryzota, siostry rodzone, siostry nieszczęsne. Uśmiech bogini pozdrawia nadchodzącego z daleka. Oto zakochała się w pięknym śmiertelniku Adonisie... Cudne marzenia pierwszej miłości rozkwitły w łonie jej, jako kwiat siedmioramienny Amaryllisa. Barki jej wązkie, wysmukłe, okrągłe dźwignęły się do góry. Dziewicze łono drży od westchnienia... Długi szereg wieków, który odtrącił jej ręce, który zrabował jej ciało od piersi i zorał prześliczne ramiona szczerbami, nie zdołał go zniweczyć. Stała tak w półmroku »wynurzająca się«, Anadiomene, niebiańska, która roznieca miłość. Obnażone jej włosy związane były w piękny węzeł, *krobylos*. Podłużna, smagła twarz tchnęła nieopisanym urokiem.

Gdy Judym wpatrywał się coraz uważniej w to czoło zamyślone, dopiero zrozumiał, że ma przed sobą wizerunek bogini. Była to Afrodite, ona sama, która się była poczęła z piany morskiej. I mimowoli przychodziła na myśl nieskromna legenda o przyczynie

onej piany wód za sprawą Uranosa. A przecież nie była to Pandemos, nie była nawet żona Hefaistowa, ani kochanka Anchizesa, tylko jasny i dobry symbol życia, córka nieba i dnia...

Judym zatonął w myślach i nie zwracał uwagi na osoby, które się obok niego przesuwały. Było ich zresztą mało. Ocknął się dopiero wówczas, gdy usłyszał w sąsiedniej sali kilka zdań wyrzeczonych po polsku. Zwrócił głowę z żywą niechęcią w stronę tego dźwięku, pewny, że zbliża się ktoś »z kolonii«, ktoś, co siądzie przy nim i zabierze na własność minuty rozmyślania o pięknej Wenus. Zdziwił się mile, zobaczywszy osoby »pozaparyskie«. Było ich cztery. Na przedzie szły dwie panienki — podlotki, z których starsza mogła mieć lat siedmnaście, a druga była o jakie dwa lata młodsza. Za nimi ciężko toczyła się dama nie małej wagi, wiekowa, z siwymi włosami i dużą, a jeszcze piękną twarzą. Obok tej matrony szła panna dwudziestokilkoletnia, ciemna brunetka z niebieskiemi oczami, prześliczna i zgrabna. Wszystkie stanęły przed posągiem i w milczeniu go rozpatrywały. Słychać było ciężkie, przytłumione sapanie starej damy, szelest jedwabiu odzywający się za każdym ruchem podlotków i chrzęst kart Bädeckera, które przewracała starsza panna.

— Wszystko to pięknie moje serce — rzekła matrona do ostatniej — ale ja muszę usiąść. Ani kroku! Zresztą warto popatrzeć na tę imość. Tak... jest tu nawet ławeczka...

Judym wstał ze swego miejsca i wolno odszedł kilka kroków na bok, jak gdyby dla obejrzenia biustu z innej strony. Te panie spojrzały sobie w oczy z wy-

razem pytania i przyciszyły rozmowę. Tylko najstarsza z panien, zajęta Bädeckerem, nie widziała Judyma. Otyła babcia energicznie siadła na ławce, wyciągnęła nogi ile się dało, i na jakieś szepty młodych towarzyszek odpowiedziała również szeptem, właściwym starym paniom, który ma tę własność, że w razie potrzeby może zastąpić telefonowanie na pewną odległość:

— A Polak nie Polak, Francuz nie Francuz, Hiszpan czy Turek, to mi jest wszystko jedno. Niech mu Bóg da zdrowie za to, że stąd wylazł. Nogi mi odjęło z kretesem... A teraz patrz jedna z drugą na tę, bo to przecie nie byle co. Już ją człowiek raz widział dawnymi czasy. Jakoś mi się wtedy inna wydała...

— A bo to pewno inna... — rzekła młodsza z turystek.

— Nie myślno o tem czy inna, czy nie inna, tylko się przypatrz. Spytają później w salonie o taką rzecz, a ty ni be, ni me...

Druga panienka bez zachęty obserwowała Wenus w sposób zadziwiający. Była to śniada blondynka z twarzą o cerze mętnej, smagławej. Czoło miała dość wązkie, nosek prosty, wargi cienkie i zawarte. Nie można było określić, czy jest ładna, czy brzydka. Wywierała wrażenie śniącej, czy rozmarzonej, bo powieki miała prawie przymknięte.

Judyma zaciekawiła ta twarz, więc stanął i nieznacznie ją śledził. Patrzała na marmurowe bóstwo od niechcenia, a jednak z takim wyrazem, jakby go się uczyła na pamięć, jakby je z pod oka wzrokiem chło-

nęła. Kiedy niekiedy wązkie i płaskie jej nozdrza rozszerzały się lekko od szybkiego westchnienia. W pewnej chwili Judym zauważył, że powieki spuszczone z nabożeństwem i dziewiczą skromnością dźwignęły się ociężale i źrenice dotąd zakryte widzą nietylko Wenus, ale i jego samego. Zanim wszakże zdążył zobaczyć barwę tych oczu, już się skryły pod rzęsami.

Tymczasem najstarsza z panien odczytała cały rozdział o historyi posągu i zbliżyła się do pluszowego sznura. Oparłszy na nim ręce, zaczęła przyglądać się rzeźbie z ciekawością, entuzyazmem i oddaniem się, właściwem tylko niewiastom. Możnaby powiedzieć, że w owej chwili przystępowała do zobaczenia Wenus z Milo. Oczy jej nie były w stanie nic prócz posągu zauważyć, pragnęły i usiłowały zliczyć wszystkie piękności, wszystkie cechy dłuta Skopasa... o których mówił Bädecker... spamiętać je i ułożyć w głowie systematycznie, jak czystą bieliznę w kufrze podróżnym. Były to oczy szczere aż do naiwności. Zarówno jak cała twarz odzwierciadlały subtelne cienie myśli przechodzących, oddawały niby wierne echo każdy dźwięk duszy i wszystko mówiły bez względu na to, czy kto widzi, lub nie, ich wyraz.

Judym po kilkuminutowej obserwacyi tej twarzy nabrał przekonania, że gdyby piękna panna pragnęła szczerze zataić otrzymane wrażenie, mowa oczu natychmiast je wyda. Stał w cieniu i przyglądał się grze uczuć przesuwających się po jasnej twarzy. Oto mało wiedząca ciekawość... Oto pierwszy promyczek wrażenia sunie się po brwiach, przyciska rzęsy i zmierza ku wargom, ażeby je zgiąć do miłego uśmiechu. Te

 

same uczucia, które Judym przed chwilą miał w sobie, widział teraz na licach nieznajomej. Sprawiało mu to szczerą przyjemność. Radby był zapytał, czy się nie myli i usłyszał z pięknych ust wynurzenie wrażeń. Nigdy jeszcze w życiu nie doświadczał takiej chęci rozmawiania o sztuce i słuchania z pilnością, co sądzi o ulatujących wrażeniach drugi człowiek...

Tymczasem ów drugi człowiek, zajęty statuą, na śledztwo, ani na badacza żadnej uwagi nie zwracał.

— Pamiętam, — rzekła dama w wieku, — inną grupę z marmuru. Była to jakaś scena mitologiczna. Geniusz czy amorek ze skrzydłami całuje śliczne dziewczątko. Jest to może cokolwiek niewłaściwe dla was, moje sroki, ale tak piękne, tak urocze, tak *agréable*, tak *sensible*...

Najstarsza z panien podniosła głowę i, wysłuchawszy całego zdania z uwagą, rzekła, przerzucając kartki:

— Coś tu zauważyłam... *L'amour et psyché... Antoine Canova*. Czy nie to?

— A może i Psyche. Tylko, że waham się, czy wam to pokazać... — dodała ciszej.

— W Paryżu! Jesteśmy teraz w Paryżu! Musimy umoczyć wargi w puharze rozpusty... — szepnęła brunetka do starej damy w sekrecie przed młodszemi towarzyszkami.

— A co mię tam ty obchodzisz! Ty sobie oczy wypatruj na wszelkie Amory malowane i rzeźbione, ale te oto...

— Babcia myśli, że my rozumiemy cokolwiek... — rzekła z przepyszną miną najmłodsza. — Nie wiem tylko, po co tyle czasu tracić na oglądanie tych roz-

maitych korytarzy z obrazami, kiedy na ulicach jest tak bosko, taki Paryż!

— Ależ Wando!... — jęknęła brunetka.

— No, pani to rozumie, a ja zupełnie nic! Co w tem ciekawego? Wszelkie te muzea i zbiory zawsze mają w sobie coś z trupiarni, tylko że są jeszcze nudniejsze. Naprzykład... Cluny. Jakieś doły, pieczary, kawałki odrapanych murów, cegły, nogi, ręce, gnaty...

— Cóż ty mówisz?

— No więc nie? Weźmy Carnavalet... Piszczele, paskudne, zakurzone truposze, stare rupiecie z pod kościołów. W dodatku trzeba koło tego chodzić z miną uroczystą, nadętą, obok każdej rzeczy stać kwadrans, udając, że się patrzy. Albo i tutaj: obrazy, obrazy i obrazy bez końca. No i te figury...

— Moje dziecko — wtrąciła babka — są to arcydzieła, że tak powiem...

— Wiem, wiem... arcydzieła. Ale przecie wszystkie obrazy są do siebie podobne, jak dwie krople wody: wylakierowane drzewa i gołe panny z takiemi tutaj...

— Wando! — krzyknęły wszystkie trzy towarzyszki z przestrachem, oglądając się dokoła.

Judym nie wiedział, co czynić ze swoją osobą Rozumiał, że należałoby wyjść, aby nie słuchać mowy osób, które nie wiedzą, że jest Polakiem, ale żal mu było. Czuł w sobie nietylko chęć, ale nawet odwagę wmieszania się do tej rozmowy. Stał bezradnie, wytrzeszczonemi oczyma patrząc przed siebie.

— No to chodźmy do tego Amora i Psyche... — rzekła stara dama, dźwigając się z ławeczki. — Tylko gdzie to jest — wbij zęby w ścianę...

 

— Niech babcia nie zapomina, że dziś jeszcze raz miałyśmy być w tamtym prawdziwym Luwrze.

— Cicho mi bądź! Czekajcie no... Gdzież jest ów Canova? Pamiętam, byliśmy tam z Januarym... Szło się jakoś... Zaraz...

— Jeżeli panie pozwolą, to wskażę im najbliższą drogę do Amora... to jest... Antoniego Canovy... — rzekł dr. Tomasz, zdejmując kapelusz i zbliżając się wśród ukłonów.

Na dźwięk mowy polskiej w jego ustach wszystkie trzy dziewice odruchowo zbliżyły się do starej damy, jakby się przed zbójcą chroniły pod jej skrzydła.

— Aa... — odezwała się babka, wznosząc głowę i mierząc młodego człowieka okiem dość niechętnem. — Dziękuję, bardzo dziękuję...

— Panie darują, że gdy się słyszy... W Paryżu tak rzeczywiście... bardzo, bardzo rzadko... — plótł Judym, tracąc pewność nóg i języka.

— Pan stale w Paryżu? — spytała ostro.

— Tak. Mieszkam tu od roku. Więcej, niż od roku, bo jakieś piętnaście miesięcy... Nazywam się... Judym. Jako lekarz studyuję tutaj pewne... To jest właściwie...

— Więc mówi pan, że jako lekarz?...

— Tak jest — mówił dr. Tomasz, oburącz chwytając się wątka rozmowy, pomimo, że wyciągała na wierzch kwestye tyczące się jego osoby, których nie znosił. — Skończyłem medycynę w Warszawie, a obecnie pracuję tutaj w klinikach, w dziedzinie chirurgii.

— Miło mi poznać pana doktora... — cedziła dama dość ozięble. — My wojażujemy, jak pan widzi, we czwórkę, z kąta w kąt. Niewadzka... To moje dwie

wnuczki, sieroty, Orszeńskie, a to ich i moja najmilsza przyjaciółka, panna Joanna Podborska.

Judym kłaniał się jeszcze z wrodzonem plątaniem się nóg, gdy pani Niewadzka rzekła z akcentem żywego interesu w tonie mowy:

— Znałam, tak, nie mylę się, kogoś tego nazwiska, pana Judyma, czy pannę Judymównę, na Wołyniu. A pan z jakich okolic?

Dr. Tomasz radby był udać, że nie słyszy tego pytania. Gdy jednak pani Niewadzka zwróciła ku niemu wejrzenie, mówił:

— Ja pochodzę z Warszawy, z samej Warszawy. I z bardzo bylejakich Judymów...

— Dlaczegóż to?

— Ojciec mój był szewcem, a w dodatku lichym szewcem na Ciepłej ulicy. Na Ciepłej ulicy... — powtórzył z kłującą satysfakcyą. Uniknął wreszcie chwiejnego gruntu i grzecznych delikatności, w czem nie był mocny i czego się w przesadny sposób obawiał. Panie umilkły i posuwały się zwolna, równolegle, szeleszcząc sukniami.

— Bardzo się cieszę, bardzo... — mówiła spokojnie pani Niewadzka — że miałam sposobność zawarcia tak miłej znajomości. Więc pan zbadał tutaj wszelkie dzieła sztuki? Zapewne, mieszkając stale w Paryżu... Jesteśmy bardzo obowiązane...

— Amor i Psyche będzie chyba w innym gmachu, — rzekła panna Podborska.

— Tak, w innym... Wyjdziemy na dziedziniec.

Gdy tam stanęli, pani Niewadzka zwróciła się do Judyma i z imitacyą uprzejmości rzekła:

— Tak ostro pan wymienił zatrudnienie swego ojca, że czuję się prawdziwie upokorzoną. Zechce mi pan wierzyć, że nie miałam intencyi pytaniem o jakieś tam koligacye sprawić mu przykrości. Po prostu nałóg starej baby, która długo żyła i dużo ludzi na świecie widziała. Miło jest, to prawda, zetknąć się z człowiekiem, którego osoba mówi o dawnych rzeczach, ludziach, stosunkach, ale o ileż przyjemniej, o ileż... przyjemniej...

— Ojciec pana, ten szewc, robił damskie obuwie, czy męskie kamasze? — zapytała, przymrużając oczy, młodsza z panien Orszeńskich.

— Trzewiki, głównie trzewiki, w dość odległych jedna od drugiej chwilach przytomności, najczęściej bowiem robił po pijanemu awantury, gdzie się dało.

— No to już zupełnie w głowie mi się nie mieści, jakim cudem pan został lekarzem i do tego — w Paryżu!

Panna Podborska cisnęła na mówiącą spojrzenie pełne rozpaczliwego wstydu.

— W tem, co nam pan o sobie wyznał — rzekła stara jejmość, widzę dużo, dużo odwagi. Doprawdy, że po raz pierwszy zdarzyło mi się słyszeć taką mowę. Proszę pana doktora jestem stara i różnych ludzi widziałam. Ile razy zdarzyło mi się obcować z... indywiduami nie należącemi do towarzystwa, z osobami... jednem słowem z ludźmi pochodzącymi ze stanów, zwanych słusznie, czy niesłusznie, w to nie wchodzę — gminem, to zawsze ci panowie usiłowali starannie ominąć kwestyę swego rodowodu. Znałam co prawda i takich — mówiła jakby z pewnem zadumaniem, — którzy w jakimś okresie życia, zwykle w młodości, przyznawali się z emfazą do swego stanu kmiecego, czy tam do cze-

goś, a później, nietylko, że ta ich demokratycznie-chełpliwa prawdomówność szła sobie na bory, na lasy, ale prócz tego miejsce jej zajmowały jakieś herby, przylepione do drzwiczek karety, jeśli ją fortuna postawiła przede drzwiami mieszkania.

Judym uśmiechnął się szyderczo, kilka kroków szedł w milczeniu, a później zwrócił się do panny Podborskiej z pytaniem:

— Jakież wrażenie zrobiła na pani Wenus z Milo?

— Wenus... — rzekła brunetka, jakby ją to pytanie zbudziło ze snu przykrego. Twarz jej oblał rumieniec, wnet znikł i skupił się w prześlicznych ustach, które nieznacznie drgały.

— Ma caluteńkie plecy poszarpane, jakby ją kto przez cztery dni z rzędu prał ekonomskim batem... — rzekła kategorycznie panna Wanda.

— Prześliczna... — półgłosem wymówiła panna Natalia, zwracając w stronę Judyma swe matowe oczy. Drugi raz doktor miał możność spojrzeć w te oczy i znowu krótko gościło we wszystkich władzach jego duszy nieuchwytne zatrwożenie. We wzroku tej dziewczyny było coś jakby zimny, niepołyskujący blask księżyca, kiedy nad senną ziemią tarcza jego we mgłach się kryje.

Panna Podborska ożywiła się i zaraz twarz jej ukazała wewnętrzne wzruszenie.

— Jakaż ona piękna! jakaż prawdziwa! Gdybym w Paryżu mieszkała, przychodziłabym do niej... no milion nie milion, ale co tydzień, żeby się napatrzeć. Grecy wogóle stworzyli świat bogów tak cudowny... Goethe...

Usłyszawszy wyraz »Goethe«, Judym doznał niesmaku, czytał bowiem z tego poety coś, a nadto niegdyś

Los zdarzył, że stara dama zatrzymała się w przedsionku, prowadzącym do sali Amora i Psyche — i niemym znakiem w dużych, bladych oczach pytała Judyma o drogę. Kiedy się znaleziono w obliczu wygłaskanej grupy, owego malowidła w białym marmurze, wszyscy umilkli. Judym ze smutkiem myślał, że właściwie rola jego już się skończyła. Czuł, że wyrwawszy się z wiadomością o papie z Ciepłej, nie może towarzyszyć tym paniom i szukać ich znajomości. Znowu w umyśle jego przesunął się pokój »na Wolterze« i stara, wstrętna żona *concierge'a* ze swemi wiekuistemi pytaniami bez sensu. W chwili, kiedy najbardziej nie wiedział, co czynić i nie był pewny w jaki sposób wypada się rozstać, pani Niewadzka, jakby zgadując, o czem myśli, rzekła:

— Wybieramy się do Wersalu. Chciałybyśmy zobaczyć okolice, być po drodze w Sèvres, w Saint-Cloud... Te wartogłowy pędziłyby z miejsca na miejsce dzień i noc, a ja formalnie upadam. Czy jeździłeś pan do Wersalu? Jak wygodniej? Koleją? Piszą tu o jakimś tramwaju pneumatycznym. Czy to co lepszego, niż pociąg?

— W Wersalu byłem dwa razy tym właśnie tramwajem, który wydał mi się bardzo dogodnym. Idzie wprawdzie wolno, pewnie dwa razy wolniej, niż wagon kolejowy, ale za to daje możność obserwowania okolicy i Sekwany.

— A więc jedziemy tramwajem! — zawyrokowała panna Wanda.

— O którejże godzinie wychodzi stąd ten czupirak?

— Nie pamiętam, proszę pani, ale to tak łatwo się dowiedzieć. Stacya główna mieści się tuż obok Luwru. Jeżeli panie pozwolą...

— O! czyliż śmiałybyśmy pana trudzić...

— Ale dowie się pan, co to szkodzi, moja babciu. Pan tutejszy, paryżanin... — deklamowała panna Wanda odrobinę parodyując ton mowy Judyma.

Tomasz, kłaniając się odszedł i, zadowolony, jakby mu się przytrafiło coś niesłychanie pomyślnego, biegł pędem ku stacyi tramwajowej na *Quai du Louvre.* W mgnieniu oka wyszukał konduktora, wbił sobie w głowę wszystkie godziny, oraz minuty i wracał, prostując się co chwila i poprawiając krawat... Kiedy zawiadamiał te panie o terminie odjazdu i udzielał im wskazówek, jak się kierować w Wersalu, panna Wanda wypaliła:

— A więc jedziemy do Wersalu. Bagatela! Do samego Wersalu... Jedziemy tramwajem jakimś tam, — a pan z nami.

Zanim Judym zdołał zebrać myśli, dodała:

— Już babcia orzekła, że *malgré tout* może pan jechać...

— Wanda! — z rozpaczą prawie zgrzytnęła pani Niewadzka, rumieniąc się jak dziewczątko. Po chwili zwróciła się do Judyma i usiłowała wywołać przyjazny uśmiech na drżące jeszcze wargi:

— Widzi pan co to za dyabeł czubaty, choć już dopomina się o długą suknię...

— Czy istotnie pozwoliłyby panie towarzyszyć sobie do Wersalu?

— Nie śmiałabym prosić pana, bo to może

przerwie zajęcia, ale byłoby nam bardzo przyjemnie.

— Bynajmniej... Byłbym wielce szczęśliwy... Tak dawno... — bąkał Judym.

— Panie, o dziesiątej! — rzekła do niego panna Wanda z palcem wzniesionym do góry i wykonywując oczami cały szereg plastycznych znaków porozumienia.

Doktor już lubił tę dziewczynę zupełnie jak dobrego koleżkę, z którym można paplać bez miary o wszystkich rzeczach i niektórych innych. Trzy osoby starsze od panny Wandy zachowywały niezgrabne milczenie. Judym czuł, że wtargnął do towarzystwa tych pań. Rozumiał swą niższość społeczną i to, że jest w tej samej chwili szewskim synem, tudzież aspirantem do »towarzystwa«. Odróżniał w sobie te obydwie substancye i do krwi gryzł dolną wargę.

Po obejrzeniu medalionów Davida d'Angers, z których kilka wniosło do serc obecnych coś jak gdyby modlitwę, wycofano się z muzeum na dziedziniec, a stamtąd na ulicę.

Stara pani przywołała fiakra i oświadczyła swoim pannom, że jadą do sklepów. Judym pożegnał je z elegancyą, której w tym właśnie momencie pierwszy raz w życiu zażywał — i oddalił się. Na piętrze omnibusu, dążącego w stronę Vincennes, wpadł w głębokie i misterne rozmyślania. Było to w jego życiu zdarzenie kapitalne, coś w rodzaju otrzymania patentu, albo fabrykacyi pierwszej samoistnej recepty. Nigdy jeszcze nie zbliżał się do takich kobiet. Mijał je tylko nieraz na ulicy, widywał czasem w powozach i marzył o nich z nieugaszoną tęsknotą, w skrytości ducha, do

której nie ma przystępu myśl kontrolująca. Jakże często, będąc uczniem i studentem, zazdrościł lokajom ich prawa przypatrywania się tym istotom cielesnym, a przecież tak podobnym do cudnych kwiatów, zamkniętych w czarownym ogrodzie. Zarazem przyszły mu na myśl jego kobiety: krewne, znajome, kochanki... Każda mniej lub więcej podobna do mężczyzny z ruchów, z ordynarności, z instynktów. Myśl o tem była tak wstrętną, że przymknął oczy i z najgłębszą radością słuchał szelestu sukien, którego jeszcze uszy jego były pełne. Każdy bystry ruch nogi wysmukłych panien był jak drgnienie muzyczne. Połyski ślicznych mantylek, rękawiczek, lekkich krez otaczających szyje, rozniecały w nim jakieś szczególne, nie tyle namiętne, ile estetyczne wzruszenie.

Nazajutrz wstał wcześniej, niż zwykle i z wielkim krytycyzmem zbadał swą garderobę we wszystkich jej postaciach. Około dziewiątej wyszedł z domu, a że czasu było jeszcze aż nadto, postanowił iść piechotą.

Przeciskając się wśród tłumu, rozmyślał o dyskursie, jakim bawić będzie te panie, układał w myśli całe dyalogi nad wyraz wdzięczne, a nawet flirtował w imaginacyi, co aż do owej chwili poczytywał był za plugastwo. Przy stacyi tramwajów było pusto. Judym zatrzymał się pod jednem z drzew i pełen niepokoju oczekiwał przybycia wczorajszych znajomych. Co chwila rozlegał się ryk statków, nurzających się w falach Sekwany, wrzał turkot omnibusów na mostach i przyległych ulicach. Po tamtej stronie rzeki wybiła gdzieś czystym dźwiękiem godzina dziesiąta. Judym słuchał

tego głosu, jakby uroczystego słowa zapewnienia, że piękne istoty nie przyjdą, że nie przyjdą dlatego mianowicie, że on ich oczekuje. On, Tomasz Judym, Tomek Judym z Ciepłej ulicy.

Stał tak, patrząc na szarą, ciężką wodę i szeptał do siebie:

— Ulica Ciepła, ulica Ciepła...

Było mu nad wszelki wyraz głupio, jakoś niesmacznie i gorzko. W dalekim krańcu przelotnego wspomnienia snuł się obraz brudnej kamienicy...

Podniósł głowę i otrząsnął się. Obok niego przesuwali się ludzie wszelkiego typu, a między innemi wędrowny herold *Intransigeant'a*, dźwigający na wysokim drągu treść ostatniego numeru tej gazety, przyklejoną do poprzecznej deski. W owej chwili roznosiciel spuścił ogłoszenie na dół, wsparł się na jego kiju i gawędził ze znajomym. Tytuł gazety skojarzył się w umyśle Judyma z przeróżnemi myślami, w których szeregu błąkało się uprzykrzone, niemiłe, bolesne prawie pojęcie: ulica Ciepła, ulica Ciepła...

O rodzinie swej, o warunkach, w jakich żywot jej upływa, myślał w owej chwili, niby o czemś niezmiernie obcem, niby o typie pewnej familii małomieszczańskiej, która nędzną egzystencyę swoją pędziła za panowania króla Jana Kazimierza. Te damy, które zobaczył dnia poprzedniego, stały się dlań tak szybko istotami blizkiemi, siostrzanemi przez wykwintność swych ciał, sukien, ruchów i mowy. Żal mu było, że nie przychodzą i prawie nieznośnie na samą myśl, że mogą nie przyjść wcale. Jeżeli tak będzie, to dlatego, że z tych szewców wiedzie swój »rodowód...«

Postanowił jechać do Wersalu, ukłonić się im z daleka i wyminąć... Cóż go mogą obchodzić jakieś panny z arystokracyi, »czy tam z czego?« Chciałby tylko zobaczyć raz jeszcze, przyjrzeć się jak toto chodzi, jak patrzy na byle obraz ciekawemi oczami...

— Juścić, — myślał, gapiąc się na wodę, — juścić jestem cham, to niema co... Czyliż umiem się bawić, czym kiedy pomyślał o tem, jak należy się bawić? Grek połowę życia przepędzał na umiejętnej zabawie, Włoch średniowieczny udoskonalił sztukę próżnowania, to samo takie kobiety... Jabym się zabawił na wycieczce, ale z kim? Z kobietami mego stanu, z jakiemiś, przypuszczam, pannami »miastowemi«, ze studentkami, z białogłowami jednem słowem, co się nazywa. Ale z temi! To jest tak, jakby wiek dziewiętnasty, podczas kiedy ja żyję jeszcze z prapradziadkami na początku ośmnastego. Nie posiadam sztuki rozmawiania, zupełnie, jakby pisarz prowentowy chciał układać dyalogi *à la* Lukan dlatego, że umie pisać piórem... Nie bawiłbym się, tylkobym dbał, żeby nie zrobić czegoś z szewska. Może to i lepiej... Ach, jak to dziwnie... Każda z tych bab tak jakoś żywo interesuje człowieka, każda, nawet ta stara, to istota nowoczesna, wyobrazicielka tego, co tytułujemy kulturą. A ja, cóż ja... szewczyna...

— Nie powiedziałam, że doktorek będzie już na nas czekał! — zawołała tuż za nim panna Wanda.

Judym odwrócił się prędko i ujrzał przed sobą wszystkie cztery znajome. Twarze ich były wesołe. Wśród miłej rozmowy panie wdrapały się na *imperial*, Judym z precyzyą windował tam babcię. Gdy się zna-

łazły tak wysoko, przed oczyma ich ukazała się ruchliwa toń Sekwany. Pędziła między granitowymi brzegi zdyszana, udręczona, jakby w ostatnim wysiłku robiła bokami. Nieczysta, zgęstniała, bura, prawie ciemna woda, w której chlupały parostatki, ryczące co chwila, sprawiała smutne wrażenie, jak niewolnica, której szczupłe ręce obracają ciężkie żarna.

— Jaka mała, jaka wązka... — mówiła panna Joanna.

— Phi... wygląda, jak wnuczka Wisły!

— Zupełna karykatura Izary... — rzekła p. Natalia.

— To prawda! Panno Netko, pamięta pani Izarkę, Izunię, naszą jasnozieloną, czystą, jak łza... — unosiła się panna Wanda.

— Ech, jak łza... — wtrącił Judym.

— Co, nie wierzy pan! Babciu, ten pan formalnie wyznał, że nie wierzy w czystość Izary.

— Rzeczywiście, jakaż to okropna woda! — mówiła wiekowa dama, usiłując zamazać coprędzej ostatnie słowa panny Wandy, które nie wiedzieć czemu, wywołały rumieniec, jak przelotny obłoczek, na twarz panny »Netki«.

W chwili, kiedy Judym zamierzał spełnić coś statystycznie uczonego o wodzie Sekwany, tramwaj beknął przeciągle i, wyciągając swe wagony na zwrotnicach, niby członki długiego cielska, posunął się wzdłuż brzegu czarnej rzeki. Gałęzie kasztanów z długimi liśćmi kołysały się tuż obok twarzy jadących. Sadza i ostre pyły miejskie wżarły się już w jasną zieloność miękkich powierzchni i obłóczyły je zwolna, jak gdyby w śniedź rudawą. Dzień był chmurny. Co

chwila przemykały się nad okolicą już to głębokie cienie obłoków, już popielate światło zasępionego przedpołudnia. Ale nikt na to uwagi nie zwracał, gdyż przyciągały wszystkich domki z różowego kamienia na przedmiejskich ulicach.

— Co to za kamienie? Co za kamienie, panie, panie? — nastawała panna Wanda. Zanim jednak zdążył zebrać myśli, już mu dała pokój, z uśmiechem zwracając głowę w przeciwną stronę. Nad ogrodami, które ze wzgórza zbiegały ku rzece, unosił się i wypełniał całe powietrze zapach róż upajający, rozkoszny.,. Gdzieniegdzie między drzewami widać było ogromne rabaty, przebijające się na zewnątrz zielonej zasłony płomieniem ponsowej i żółtej barwy. Judym obserwował twarze swych pań. Wszystkie, nie wyłączając staruszki, były jakby natchnione. Zwracały się mimo chęci w kierunku źródła prześlicznej woni i z przymkniętemi powiekami, z uśmiechem na wargach wciągały ją nozdrzami. Szczególniej twarz panny Natalii przykuwała w owej chwili jego uwagę. Ta istota, pochłonięta przez zapach różany, zdawała się być niby jasny motyl, dla którego ten kwiat został stworzony i który sam jeden ma do niego tajemnicze prawo.

Z pomiędzy ogrodów wydzierały się tu i ówdzie zczerniałe mury i kominy fabryk, podobne do wstrętnego kadłuba i obmierzłych członków jakiegoś pasożyta, który z brudu się rodzi i nim żyje. Nad wodą i daleko wzdłuż brzegu wlokły się domy przedmieścia biedne, ordynarne i małe. W pewnem miejscu otworzył się przed wzrokiem, jak czeluść, skład węgla, roztrząsający na sąsiednie ściany, drzwi i okna swój

czarny oddech. Daleko, w przestrzeni widać było przymglony las Meudon.

— Cóż pani się najbardziej podobało w Paryżu? — rzekł Judym do panny Natalii, która obok niego siedziała.

Było to jedno z zapytań przygotowanych jeszcze wczoraj, jak lekcya.

— W Paryżu? — mówiła, rozciągając ten wyraz z uśmiechem na ślicznych wargach. — Podoba mi się, to jest sprawia mi przyjemność wszystko... Ruch, życie... Jest to, jak burza! Naprzykład w okolicy Gare Saint-Lazare — nie wiem, jak się ta ulica nazywa — gdy się jedzie w powozie i gdy się widzi tych ludzi pędzących trotuarami, te fale, fale... Hucząca powódź... Raz widziałam powódź okropną u stryja, w górach. Woda nagle wezbrała... Wtedy chciało się wołać na nią: wyżej, prędzej, leć! Tu to samo...

— A pani? — zapytał Judym p. Wandę.

— Mnie... to samo... — mówiła prędko, a oprócz tego *Louvre*. Tylko nie ten malowany. Fe!... Wie pan, tamten. Teraz, rozumie się, skieruje pan swoje pytanie do »ciotki« Joasi, chociaż od niej trzeba było zacząć, bo ona jest nauczycielką i kochaneczką. Widzi jegomość — mała rzecz a wstyd. Otóż ja panu powiem. Pannie Joasi podoba się *primo* »Rybak«, *secundo* »Myśl«, *trzecio* »Wenus«, *czwarto*... Zresztą nam się wszystkim ogromnie podoba i »Rybak« i »Myśl...« Babci...

— Cóż to za myśl?

— To pan tego nawet nie wie! A wiecie co... »Myśl« wymalowana, w nowym ratuszu. Z zamkniętemi oczami, chuda, młoda, dla mnie osobiście wcale nieładna.

— Ach, w ratuszu...

— W ratuszu, ach... Teraz »Rybak« w galeryi jakiej to?...

— Właśnie ciekawi jesteśmy w jakiej? O to nam tylko chodzi... w jakiej... — wtrąciła babka.

— Zaraz... Myśli babunia, że takiego głupstwa nie wiem. O, przeprasza się delikatnie szanowną publiczność: za Sekwaną, w tym ogrodzie, gdzie to woda i te kaczki z czubami...

— Luksemburskim... — szepnęła p. Natalia.

— W ogrodzie Luksemburskim!

— Zna pan »Rybaka« Puvis de Chavannes'a? — rzekła p. Podborska.

— Rybaka? nie przypominam sobie...

— Taki z pana znawca i paryżanin! — drwiła panna Wanda, wydymając wargi ze wzgardą.

— Alboż to ja jestem znawca i paryżanin? Ja jestem pospolity chirurg...

Kiedy to mówił, ukazał mu się obraz, o którym była mowa. Widział go przed rokiem i uderzony niewypowiedzianą siłą tego arcydzieła zachował je w pamięci. Z czasem wszystko, co stanowi samo malowidło, szczególną rozwiewność barw, rysunek figur i pejzażu, prostotę środków i całą jakby fabułę utworu, przywaliły inne rzeczy i zostało tylko czujące wiedzenie o czemś nad wszelki wyraz bolesnem. Wspomnienie owo było, jak mętne echo czyjejś krzywdy, jakiejś hańby bezprzykładnej, której nie byliśmy winni a która przecie zdaje się wołać na nas z ziemi dlatego tylko, że byliśmy jej świadkami. Panna Joanna, która rzuciła pytanie o »Rybaka«, siedziała na końcu ławki, za oby-

dwiema panienkami i babcią. Czekając odpowiedzi, wychyliła się trochę i uważnie przyglądała Judymowi. Ten, z konieczności, patrząc w te oczy jasne, prawdziwie jasne, podniecony ich wynurzeniem zachwytu, które zastępowało w zupełności tysiąc słów opisu płótna Puvis de Chavannes'a, zaczął przypominać sobie nawet barwy, nawet pejzaż. Uniesienie tych oczu zdawało się przytaczać mu obraz, podpowiadać dawno zatarte wrażenie. Tak, pamiętał... Chudy człowiek, a właściwie nie człowiek, ale antropoid z przedmieścia wielkiej stolicy, obrosły kłakami, w koszuli, która się na nim ze starości rozlazła, w portkach, wiszących na szpiczastych kościach bioder, stał znowu przed nim ze swą pokrywką zanurzoną w wodę. Oczy jego spoczywają niby to na pałąkach trzymających siatkę, a jednak widzą każdego człowieka, który przechodzi. Nie szukają współczucia, którego niema. Ani się żalą, ani płaczą. Oto jest pożytek wasz ze wszystkich sił moich, z ducha mojego.. — mówią doły jego oczu zapadłych. Stoi tam ten wyobraziciel kultury świata, przerażający produkt ludzkości. Judym przypomniał sobie nawet uczucie zdumienia, jakie go zdjęło, gdy słyszał i widział wrażenie innych osób przed tym obrazem. Skupiały się tam tłumy wielkich dam, strojnych i pachnących dziewic, mężczyzn w »miękkie szaty odzianych«. I tłum ten wzdychał. Łzy ciche płynęły z oczu tych, którzy tam przyszli obarczeni łupami. Posłuszni rozkazowi nieśmiertelnej sztuki przez chwilę czuli, jak żyją i co stwarzają na ziemi.

— Tak — rzekł Judym — prawda, widziałem ten obraz Puvis de Chavannes'a w galeryi luksemburskiej.

Panna Joanna cofnęła się za ramię pani Niewadzkiej. Doktor ujrzał tylko jej białe czoło, otoczone ciemnymi włosami.

— Jak tam panna Netka beczała... Jak beczała!... — szepnęła Judymowi p. Wanda prawie do ucha. — Zresztą my wszystkie... Mnie samej leciały z oczu łzy takie ogromne, jak groch z kapustą.

— Ja nie mam zwyczaju... — uśmiechnęła się p. Natalia.

— Nie? — spytał doktór, leniwie mierząc ją wzrokiem.

— Bardzo mi żal było tego człowieka, szczególniej tych jego dzieci, żony... Wszystko to takie chude, jakby wystrugane z patyków, podobne do suchych witek chróstu na pastwisku... — mówiła, rumieniąc się, a jednocześnie z uśmiechem przymykając oczy.

— Ten »Rybak« zupełnie podobny jest do Pana Jezusa, ale to, jak dwie krople wody. Niech babcia powie...

— »Rybak?« a tak, podobny, istotnie... — mówiła stara pani, zajęta rozpatrywaniem krajobrazu.

Tramwaj wjechał w ulicę miasteczka Sèvres i zatrzymał się przed piętrowym domem. Podróżni z *imperialu* mogli zajrzeć wprost do numerów austeryi. Nie był to widok dla panien. Pijany żołnierz, w kepi na bakier, obejmował wpół wstrętną dziewczynę i para ta, wychyliwszy się z okna, robiła do jadących małpie miny. Na szczęście tramwaj puścił się w dalszą drogę. Ledwie wydostał się za ostatnie domy mieściny, na pustą i smutną przestrzeń w szczerem polu, ściemniło

się raptem. Zerwał się ostry wiatr. Las najbliższy oblókł się w jakąś szarą ciemność i wkrótce gęsty, gruby deszcz sypnął jak ziarno. W wagonach powstała panika. Smugi deszczu wdzierały się pod daszek, tnąc z boku i zalewały ławki. Wszystkie panie zbiły się w gromadkę i w miejscu najbardziej zasłoniętem otulały się sukniami, ile mogły. Judym po rycersku osłaniał je od deszczu swoją figurą. Gdy tak stał plecami wsparty o poręcz, zauważył wysuniętą z głębi mnóstwa skupionych sukien czyjąś nóżkę. Stopa w płytkim, lakierowanym pantofelku na wysokim obcasie wspierała się o żelazny pręt balustrady, a wysmukła noga w czarnej, jedwabnej pończosze odsłonięta była daleko. Judym przemyśliwał, komu należy przypisać ten uroczy widok. Poczytywał go za wynik trafu i nieuwagi, to też lękał się wznieść oczy i tylko z cienia rzęs spełniał złodziejstwo z włamaniem i premedytacyą. Pociąg wszedł w olbrzymią aleję wersalską. Rozrosłe, odwieczne drzewa zasłoniły nieco podróżnych od deszczu. Panie starały się jako tako otrząsnąć i wygładzić swe szaty. Śliczna nóżka nie znikała. Krople deszczu pryskały na błyszczęcą skórę, strącając niby uderzeniami palców lekki pył z krótkiej przyszwy i ginęły w miękkim jedwabiu. Judym wiedział już teraz, czyja to własność. Podniósł oczy na twarz panny Natalii i uczuł, jak zatapiają się w nim zimne kły rozkoszy. Panienka miała, jak zwykle, oczy spuszczone. Czasami tylko jej brwi, dwie linijki nieznacznie zgięte, unosiły się nieco wyżej, niby dwie dźwignie, ciągnące do góry uparte powieki. Na wargach, z których dolna była leciutko odchylona, stał uśmiech nieopisany, uśmiech pełen jadu i swawoli.

— Ach, tak... — myślał Judym, przypatrując się tej twarzy szczególnej.

Panna Natalia wyczuła wzrok jego. Barwa jej policzków przeszła w bladość, która, zdawało się, roztopiła w sobie uśmiech otaczający usta. Wówczas jeszcze bardziej modrymi stały się cienie dokoła zamkniętych oczu i ostrzejsza linia chrząstkowatego nosa.

Tramwaj zajechał dość szybko na plac przed pałacem wersalskim i podróżni spiesznie opuścili jego obmokłą górną platformę. Doktor zdobył i utorował dla swych towarzyszek miejsce w małej budce stacyjnej, gdzie wbiło się tyle osób, że literalnie trudno było poruszyć ręką. Zdarzyło się, że doktór Tomasz stał za plecami panien Joanny i Natalii. Reszta pasażerów tramwaju, tłocząc się do budyneczku w rejteradzie przed deszczem, wprost złożyła ciało ostatniej z tych panien na piersiach Judyma. Twarz jej znajdowała się tuż obok jego wąsów. Rozstrzępione przez modę i deszcz płowe włosy panny Natalii snuły się po jego twarzy, ustach, oczach, wywołując wstrząsające dreszcze. W całem zgromadzeniu panowało milczenie. Przerywał je tylko ciężki oddech jakiegoś astmatycznego grubasa. Deszcz nieprzerwanemi strugami z chlupaniem ściekał z daszka i zasłaniał otwarte drzwi, jakby ciemną kotarą.

W pewnej chwili panna Natalia usiłowała poruszyć się, ale tylko lewem ramieniem oparła się na barku Judyma. Wówczas jeszcze wyraźniej zarysował się przed jego rozmarzonemi oczyma profil jej twarzy. Chciała o czemś mówić, ale tylko uśmiechnęła się prędko... W pewnej chwili uniosła wiecznie spuszczo-

 

nych powiek i przez moment czasu śmiało, badawczo, upajająco patrzała mu w oczy.

Tuż obok drzwi stała pani Niewadzka. Miała najwięcej ze wszystkich powietrza, a mimo to dech, jej był ciężki, a twarz mocno czerwona.

— Wiecie wy, moje pannice — rzekła swym szeptem donośnym, że wolałabym moknąć na deszczu, niż łykać oddechy tych »marszandewenów«.

— Skądże babcia wie, że to są *marchands de vin?*

— Bagatela! — rzekła staruszka, błyskając wypukłemi oczyma. — Dmą mi wprost na twarz dwie skwaśniałe piwnice i jeszcze się będzie pytała, skąd wiem...

Mówiła to do panny Wandy, ale Judym słyszał ich rozmowę. Co do niego, to nie miał wcale zamiaru przekładać deszczu nad ścisk w lokalu tramwajowym. Rzekł jednak do pani Niewadzkiej po polsku:

Moglibyśmy rzeczywiście prędko przebyć plac. To blizko.. Ale panie zmokną... Nie mamy nawet parasola...

Mówiąc te słowa, podał się nieco naprzód, jak gdyby miał zamiar wyprowadzić starszą panią z tłumu. Wtedy całe jego ciało zetknęło się z ciałem panny Natalii, odzianem w delikatne, wiotkie suknie. Rozpłomienionemi oczyma wpatrywał się w blade, zimne, kamienne rysy twarzy o spuszczonych powiekach.

Deszcz zwolna ustawał i tylko z rynny sąsiedniego domu zlewała się z nieustającym, głośnym szelestem struga wody. Kilku mężczyzn, uzbrojonych w parasole, wysunęło się z domku. Wolnego miejsca przybyło, a mimo to panna Natalia przez zachwyca-

jącą chwilę nie zmieniła swej sytuacyi. Wreszcie i ona posunęła się ku drzwiom w ślad za młodszą siostrą, która już przez wyciąganie rąk na zewnątrz drzwi badała, czy deszcz jeszcze pada. Nim ustał zupełnie, zaświecił na chwilę wesoły blask słońca. Kamienie pochyłego placu migotały, jakby obsypane szkłem tłuczonem, a widok ten wywabił wszystkich z ciasnej nory. Judym podał ramię babci i całe towarzystwo szybko podążyło ku pałacowi. W długich i wielkich salach. wobec ścian zawieszonych historycznemi malowidłami, jednolita gromadka jak gdyby się rozdzieliła. Każda z osób przypatrywała się na swoją modłę lichym płótnom niższego piętra. Wkrótce te malunki poczęły nużyć. Judym szedł jak gdyby przez długie, długie, strzyżone aleje i martwił się bezwiednie, że końca ich — ani śladu. Był już zresztą w Wersalu, więc ani komnaty królewskie, ani sala lustrzana nie zaciekawiały go bardzo. Stąpał wolno po prawicy starej damy, która stawała co kilka kroków i, przykładając do oczu lornetkę na długiej rączce szyldkretowej, nibyto obserwowała malowidła. Szereg bitw napoleońskich, tłumy wojska, teatralne twarze i giesty wodzów, dzikie, spienione rumaki — przesuwały się w oczach doktora, jakby szeregi odległych, młodzieńczych rojeń. Gdzieś daleko zatrzymano się przed białym, marmurowym posągiem umierającego korsykanina. Kiedy całe towarzystwo wracało z tamtej okolicy pałacu i kiedy znowu mijano sale pełne batalii, stara pani ujęła wpół pannę Joannę i rzekła:

— Jesteśmy daleko stąd, w świecie bohaterów... Marzymy, marzymy...

Panna Joanna zarumieniła się, a raczej zczerwieniła się. i zmieszana bąkała:

— Nie... ale gdzież tam!... co znowu!... Ja tylko tak sobie...

Od tej chwili, pomimo że Judym bardzo niewidocznie ją śledził, trzymała się na wodzy i usiłowała spędzić z twarzy historyę doznanych wrażeń. Szczegółowo zwiedzano apartamenty królewskie. Gdy już pani Niewadzka z miną bardzo uroczystą wysłuchała wszystkiego, co jej rozpowiadał z nadzwyczaj plastycznymi ruchami oprowadzający szwajcar i gdy, obszedłszy małe saloniki, skierowała swe towarzystwo ku wyjściu, panna Wanda obejrzała się poza siebie i syknęła:

— Panno Netko, idziemy!

Judym poszedł za wzrokiem najmłodszej z dziewic i przypatrzył się pannie Joannie. Stała oparta o jedno z niewielkich krzeseł, kryte nikłym, błękitnawym adamaszkiem i patrzyła w okno. Wyraz twarzy jej był tak dziwny, że Judym wstrzymał się mimowoli. Później zbliżył się do niej i rzekł, nawiązując myśl do tego, co portyer mówił przed chwilą:

— Myśli pani o Maryi Antoninie?

Spojrzała na niego z zakłopotaniem, jak osoba ujęta na gorącym uczynku i wahającym się głosem mówiła:

— Widać stąd, przez to okno wielki dziedziniec i bramę. Tamtędy... Tamtędy wdarł się motłoch. Pijane kobiety, mężczyźni uzbrojeni w noże. Marya Antonina widziała z tego okna! Doznałam tak dziwnego wrażenia... Cały ten straszny tłum krzyczał: śmierć Austryaczce! I tędy, temi drzwiami uciekła, tędy uciekła...

— Panno Joasiu... — nawoływano.

— Ale wspomniała pani o wrażeniu.

— Wspomniałam o wrażeniu... — mówiła, spuszczając oczy i blednąc jeszcze bardziej. — My, proszę pana, jesteśmy bardzo tchórzliwe. Boimy się nietylko na jawie, ale i w tak zwanych marzeniach. Ja zlękłam się bardzo tego motłochu, o którym właśnie myślałam.

— Motłochu? — mówił Judym.

— Tak... To jest krzyku ich. Zlękłam się, sama nie wiem, czegoś takiego...

Podniosła oczy niewinne, o przedziwnym jakimś wyrazie strachu, czy boleści. Jeszcze raz rzuciła na małe izdebki wejrzenie pełne serdecznego żalu i poszła prędko za towarzyszkami.

W powrocie z Wersalu do Paryża koleją zatrzymano się w Saint-Cloud. Stanąwszy na wzgórzu, tuż za dworcem kolejowym, panny wydały okrzyk. U nóg ich leżała, ciągnąc się w głąb kraju i gubiąc w grubych mgłach, pustynia kamienna: — Paryż. Barwa jej była czerwonawa, ryża, tu i ówdzie rozdarta przez dziwaczny znak ciemny, przez Łuk Tryumfalny, wieże kościoła Notre-Dame, albo wieżę Eiffla. Z krańców niedościgłych dla oka mgły zabarwiały się błękitnawemi smugi. Stamtąd płynęły dymy fabryczne, snując się z kominów, podobnych w dali do grubych biczysk. Te baty pędzą rozrost pustyni. Odgłos jej życia tam nie dochodził. Wydawało się, że skonała i zastygła w swej kamiennej, chropowatej formie. Jakieś dziwne wzruszenie ogarnęło przybyłych, wzruszenie takie, jakiego doświadcza się tylko na widok wielkich zjawisk przyrody: w górach, pośród lodowców, albo nad morzem.

Judym siedział obok panny Tali, ale nawet o tem sąsiedztwie zapomniał. Tonął oczyma w Paryżu. W głowie jego przegryzały się myśli bez związku, własne, niepodzielne, niżej świadomości stojące postrzeżenia, z których się zwierzyć człowiek nie jest w możności. Wtem zadał sobie wyraźne pytanie:

— Dlaczegóż tamta powiedziała, że się zlękła, wyjrzawszy oknem z sypialni Maryi Antoniny?

Oderwał oczy od widoku miasta i chciał znowu przypatrzeć się pannie Joasi. Teraz dopiero lepiej zauważył, jaki jest jej profil. Broda miała kształt czysto sarmacki, czy kaukaski. Wysuwała się nieco, a w taki sposób, że między nią i dolną linią nosa tworzyła się jakby prześliczna parabola, w której głębi kwitły różowe usta. Gdy tylko rysy twarzy rozwidniał blask wrażenia, w mgnieniu oka wargi stawały się żywem ogniskiem. Wyraz ich zmieniał się, potężniał, albo przygasał, ale zawsze miał w sobie jakąś szczególną siłę prawdziwej ekspresyi. Patrzącemu przychodziła do głowy myśl uparta, że nawet impuls zbrodniczy odzwierciadliłby się w tej twarzy z taką samą szczerością, jak radość na widok rozkwitłych irysów, wesołych barw krajobrazu, dziwnych fantazyi malarskich, a również na widok pospolitych przedmiotów. Widać było, że każda rzecz staje wobec tych oczu, jako zjawisko naturalne i dobre. Czasami jednak przebijała się w nich zmęczona niechęć i uśmiech zabity. Ale i w tem było coś dziecięcego: szczerość, szybkość i potęga.

Jak wyraz twarzy, tak samo ruchy panny Joanny miały w sobie coś... niepodobnego... Jeżeli chciała oddać słowami to, co czuła, bardzo żywo, prędko, na

mgnienie oka wznosiła ręce, a przynajmniej brwi, jakby uciszała wszystko, zdolne zagłuszyć ową melodyę jej myśli, wyrazów, uśmiechów i poruszeń ciała.

— Kogo ona przypomina? — myślał doktór, od niechcenia patrząc na jej czoło i oczy. Czym jej nie widział gdzie, w Warszawie?

I oto przyszło mu do głowy miłe a nielogiczne *nota-bene*, że ją przecie widział wczorajszego dnia przed tym białym, uśmiechniętym posągiem...

Na dworcu Saint-Lazare rozstał się z turystkami.

Stara pani zawiadomiła go, że nazajutrz wyjeżdża ze swą »bandą« do Trouville, a stamtąd do Anglii.

Judym pożegnał je ostentacyjnie i wrócił trochę znużony do swojej klety.

## W POCIE CZOŁA.

Po upływie roku, jednego z ostatnich dni czerwca Judym zbudził się w Warszawie. Była godzina dziesiąta rano. Przez uchylone okna włamywał się do pokoju łoskot ulicy. Widok, starodawny, znajomy łoskot »drynd« tłukących się o kamienie wielkości bułki chleba. Z dołu, z wązkiego dziedzińca, na który wychodziła większość okien *Chambres garnies,* gdzie się w przeddzień zatrzymał, wlokły się już w górę na skrzydłach ciepła rozprażone wapory. Judym zerwał się, zbliżył do okna i przez szpary między jego połowami oglądał figurę stróża z mosiężną blachą na czapie, który z rodzimem grubijaństwem tłómaczył coś starej damie w czarnej mantylce. Młodość kipiała w żyłach doktora. Czuł w sobie uśpioną siłę, jak człowiek, który jest u podnóża wielkiej góry, stawia krok pierwszy, żeby wstąpić na jej szczyt daleki — i wie, że wejdzie. Nie strząsnął ze siebie dotąd znużenia po drodze »Paryż-Warszawa«, jednym tchem odbytej, ale w przeddzień doznał tylu miłych uczuć, że kazały mu w zupełności zapomnieć o sadzy węgla, którą był przesiąkł.

Gdy z okien wagonu widział krajobraz, wioski z ich białemi chatami, bezbrzeżne pola, zboża dojrzałe — nie wyczuwał wielkiej różnicy między tym krajem a ziemią francuską. Tu i owdzie sterczały dziwne kształty fabryk i wskróś jasnego nieba szły dymy. Do wagonu wsiadali wieśniacy bynajmniej nie głupsi od francuskich, czasami tak mądrzy, że aż miło, rzemieślnicy i robotnicy — tacy sami, jak francuscy. Słuchając ich rozmów, mówił do siebie co chwila: — a bo to prawda, że jesteśmy barbarzyńcami, półazyatami! — Nieprawda! — Tacyśmy sami, jak każdy inny... Walimy naprzód i kwita! Żeby tu wsadzić jednego z drugim, to widziałoby się, czyby i tak potrafili, wycackani przez ich parszywe konstytucye...

To miłe, optymistyczne wrażenie Judym przywiózł w sobie do miasta, jakby żywy i słodki zapach pól rodzinnych. Wyspał się setnie, a teraz pierwszym rzutem oka witał »starą budę«, Warszawę.

Wraz z tem spojrzeniem — przyszli mu na myśl krewni. Czuł konieczność odwiedzenia ich nietylko z obowiązku, ale także dla samego widoku swoich twarzy. Wyszedł z hotelu i, posuwając się noga za nogą, zginął w tłumie, który przepływał chodnikiem ulicy Marszałkowskiej. Cieszyły go bruki drewniane, rozrost drzewek, które już pewien cień rzucały, nowe domy, powstałe na miejscu dawnych ruder.

Minąwszy ogród i plac za Żelazną Bramą, był u siebie i przywitał najściślejszą ojczyznę swoją. Wązkiemi przejściami, pośród kramów, straganów i sklepików wszedł na Krochmalną. Żar słoneczny zalewał ten rynsztok w kształcie ulicy. Z wązkiej szyi między

 

Ciepłą i placem, wydzielał się fetor, jak z cmentarza. Po dawnemu roiło się tam mrowisko żydowskie. Jak dawniej siedziała na trotuarze stara, schorzała żydówka, sprzedająca gotowany bób, fasolę, groch i ziarna dyni. Tu i owdzie włóczyli się roznosiciele wody sodowej z naczyniami u boku i szklankami w rękach. Sam widok takiej szklanki oblepionej zaschłym syropem, którą brudny nędzarz trzyma w ręce, mógł wywołać torsye. Jedna z roznosicielek wody stała pod murem. Była prawie do naga obdarta. Twarz miała zżółkłą i martwą. Czekała w słońcu, bo ludzie tamtędy idący, najbardziej mogli być spragnieni. W ręce trzymała dwie butelki z czerwoną cieczą, prawdopodobnie z jakimś sokiem. Siwe jej wargi coś szeptały. Może słowa zachęty do picia, może imię Jego, Adonai, który nie może być przez śmiertelnych nazwany, może w nędzy i brudzie jak robak wylęgłe przekleństwo na słońce i na życie...

Z prawej i lewej strony stały otworem sklepiki, instytucye kończące się niedaleko od proga, — jak szuflady wyklejone papierem. Na drewnianych półkach leżało w takim magazynie za jakie trzy ruble papierosów, a bliżej drzwi nęciły przechodnia gotowane jaja, wędzone śledzie, czekolada w tabliczkach i w ponętnej formie cukierków, krajanki sera, biała marchew, czosnek, cebula, ciastka, rzodkiew, groch w strączkach, kubły z koszernymi serdelkami i słoje z sokiem malinowym do wody.

W każdym z takich sklepów czerniała na podłodze kupa błota, która nawet w upale zachowuje właściwą jej przyjemną wilgotność. Po tym gnoju

pełzały dzieci, okryte brudnymi łachmany i same brudne nad wyraz. Każda taka jama była siedliskiem kilku osób, które pędziły tam żywot na szwargotaniu i próżniactwie. W głębi siedział zazwyczaj jakiś ojciec rodziny, zielonkowaty melancholik, który od świtu do nocy nie rusza się z miejsca i, patrząc w ulicę, trawi czas na marzeniu o szwindlach.

O krok dalej roztwarte okna dawały widzieć wnętrza pracowni, gdzie pod nizkimi sufitami skracają swój żywot schyleni mężczyźni, albo zgięte kobiety. Tu widać było warsztat szewski, ciemną pieczarę, z której wywalał się smród namacalny, a zaraz obok fabrykę peruk, jakich używają pobożne żydówki. Było takich zakładów fryzyerskich kilkanaście z rzędu. Blade, żółte, obumarłe dziewczyny, same nie czesane, ani myte, pracowicie rozdzielały kłaki... Z dziedzińców, drzwi, nawet ze starych dachów, krytych blachą lub cegłą, gdzie szeregiem tkwiły okna facyatek, wychylały się twarze chore, chude, długonose, zielone, moręgowate i patrzały oczy krwawe, ciekące, albo zobojętniałe na wszystko w niedoli, oczy, które w smutku wiecznym śnią o śmierci. Przy pewnej bramie Judym zetknął się z kupcową dźwigającą na obu rękach ciężkie kosze z jarzyną. Była całkiem rozmamana. Perukę zsunęła w tył, niby kaszkiet, i ogolone jej ciemię bieliło się, jak łysina starca. Wypukłe oczy patrzały przed siebie z wyrazem męczarni, która przeistoczyła się w spokój — bez żadnego życia, jakby były skorupami jaj, w nabrzmiałych wenach czoła i szyi krew zdawała się głośno stukać. Na progu jednego ze sklepów, siedział stary, zgarbiony żyd, tragarz. Zostawił wśród ulicy dwie

szafy związane sznurem, które aż do tego miejsca przydźwigał na plecach, i jadł surowy ogórek, zagryzając ten obiad kawałkiem chleba.

Judym szedł prędko, mrucząc coś do siebie. Mury o kolorze zakurzonego grynszpanu, albo jakiejś zrudziałej czerwoności, niby pstre, ubłocone gałgany nasunęły mu się przed oczy. Ciepła... Chodniki były, jak niegdyś, zdruzgotane, bruk pełen wądołów. Nie było tu już ani jednego przechodnia w cylindrze, rzadko trafiała się dama w kapeluszu. Ogół idących podobny był do murów tej ulicy. Szli ludzie w ubraniach do pracy fizycznej, najczęściej bez kołnierzyków. Przejeżdżająca dorożka zwracała uwagę wszystkich. Zdala już dostrzegł Judym bramę rodzinnej kamienicy i zbliżał się do niej z niemiłem uczuciem tak zwanego »fałszywego wstydu«. Trza było witać osoby nizkiej kondycyi. Teraz, gdy wrócił z zagranicy, było mu to przykro, bardziej, niż kiedykolwiek. Wszedł co tchu w bramę z nieuświadomionym planem: unikać obcych... Dziedziniec rozchodził się w trzy strony świata. Nad jedną jego szyją wznosiła się jakaś hałaśliwa fabryczka, która była dla Judyma nowością, drugą po dawnemu zajmował skład węgla, a trzecia prowadziła do kilkopiętrowej oficyny. Tam właściwie Judym skierował swe kroki. Gdy stanął w sieni brudnej, jak apartament Lucypera, usłyszał w suterynie szczęk znajomy: to »sąsiad« Dąbrowski, ślusarz ciął swoją sztukę. Judym zeszedł po schodach i zajrzał w sionkę, która prowadziła na lewo od drzwi ślusarza. Widać tam było czeluść otwartą, prowadzącą do rodzinnej suteryny. Kwaśny chłód przystąpił do Judyma i odepchnął go stamtąd.

Z warsztatu ślusarza wyszedł mały, umorusany chłopak i zaczął się przyglądać gościowi. Judym szybko pobiegł na górę. Minął pierwsze piętro, drugie i dopiero na wysokości strychu zwolnił kroku. Miał przed sobą okienko bez szyb, pewien rodzaj strzelnicy w murze. Cegła zamykająca ten otwór z dołu była tak wyślizgana przez dzieci, które się tam bawiły, że przybrała kształt owalny. Ileż to razy on sam, Judym, wyłaził przez ten otwór na zewnątrz muru i wisiał w powietrzu! W kącie czerniał wodociąg ogólny, rozprowadzający wilgoć na całą ścianę. Nad nim aż do sufitu sięgała plama kopcia z lampy naftowej. Ściany były pełne cienia i smutku, jak deski składające trumnę.

Ostatnia kondygnacya schodków prowadziła do mrocznej sieni, która przecinała wzdłuż poddasze. Judym stanął przede drzwiami w głębi i zastukał raz, drugi, trzeci. Nikt mu nie odpowiedział. Gdy jeszcze raz kołatał klamką, z drzwi sąsiednich wysunęła się dziewczyna lat trzynastu i zmierzyła go wzrokiem dojrzałej kokietki. Nie pytana rzekła:

— A kogo to pan szuka?

— Tu jest mieszkanie Wiktora Judyma?

— Tutaj.

— Nie wie panienka, czy jest kto w domu?

— Dopiero była ciotka, musi być... A może i zeszła na podwórze z dziećmi.

Mówiąc to, wychyliła się jeszcze bardziej i zaglądała Judymowi w oczy ze śmiałością wielkomiejską. W tej chwili w głębi mieszkanka rozległ się straszny wrzask, jakiś potok wyrazów złorzeczących, klątw ordynarnych bez związku, zlewających się jakby w ryk

bydlęcia. Judym zdziwiony nastawił ucha, a potem cicho spytał się dziewczyny, co to znaczy. Uśmiechnęła się filuternie i rzekła:

— To tam moja babka, waryatka.

— Waryatka? Trzymacie ją w domu?

— A w domu. Gdzież mamy trzymać?

Odsunął dziewczynę na bok i zajrzał do wnętrza. W kącie, pod piecem siedziało widmo człowiecze, za ręce i nogi przywiązane do haka wystającego z ziemi Siwe kudły nakrywały głowę i ramiona tej istoty, a jakieś stargane łachmany resztę ciała. Czasem z pod włosów ukazywały się straszliwe oczy, jak dwa błyskające, płomienne miecze, kiedy niekiedy usta ciskały ładunek okropnych wyrazów. Judym instynktownym ruchem cofnął się do sionki i zaczął wypytywać dziewczynę:

— Czemuż jej nie oddacie do szpitala?

— A ja wiem czemu! To dobre! Nie można oddać.

— Dlaczego nie można?

— Bo niema miejsca. A po drugie, skądże my weźmiemy pieniędzy na to, żeby za nią płacić.

— Czemuż ją tak przykuwacie?

— A ba! Czemu? Bo złapie siekierę, nóż, tasak i pozabija dzieci, ojca, mamunię. To taka szelma zła, że proszę siadać!

— Dawno już chora?

— Abo ona chora? Waryatka, nie chora. Żebym ja takie zdrowie miała, jak ta. Przyjdzie ją ojcu wiązać, to się tak utargają oboje, że no! Ojciec to samo nie ułamek, a ledwo tę psiakrew ujeździ...

Judym machnął ręką i uciekł po schodach. Gdy stanął na dziedzińcu, dostrzegł w jego szyi pod murem fabryki mnóstwo dzieci skaczących, biegających, rozbawionych. Na kupie opalonych belek siedziała ciotka Pelagia, kobieta stara, łaskawy chleb od lat wielu jedząca u siostrzeńca, a brata Judymowego, Wiktora. Była to jejmość chuda, chorowita i zrzędna. Rzadko kto słyszał od niej dobre słowo, a dzieci nabrały się szturchańców ile wlezie. Judym szedł ku niej wolno, krzywiąc się pod wąsem i mocując ze sobą. Przykro mu było witać się na placu, wobec lokatorów i gapiów. Doświadczał nieprzyjemnego uczucia pół odrazy, zbudzonej i wydobytej na jaw przez szczególne politowanie, stanowiące rdzeń uczuć familijnych. Ciotka Pelagia odwróciła głowę i spostrzegła go, ale nie ruszała się z miejsca. Gdy przyszedł i dotknął nosem jej zabrudzonego rękawa w okolicach dłoni, schyliła się prędko i cmoknęła go zdala we włosy.

— Kiedyż Tomciu przyjechał? Nic my nie wiedzieli... — rzekła z właściwą jej oschłością.

— Wczoraj wieczorem dopiero. Jakże zdrowie ciotki?

— Ej... jakież ta moje zdrowie... Tak kipię. Teraz ciepło, to siedzę tutaj we dnie, a przyńdzie zima, to się może nareszcie skończy.

— Ech, nie lubię też tych wszelkich...

— A wiem...

— Ciotka nieźle wygląda. Cóż słychać u Wiktorów? Jakże on?

— A cóż... Jak to Wiktor.

— No?

 

— Jest ta w tej fabryce.

— U Milera?

— Gdzie zaś! W żelaznej, ale przy stalowni.

— Przy stalowni! — zdziwił się Judym.

— A w stalowni.

— Dlaczegóż to?

— Przerzucił się. Mówi, że woli. No i łatwiej mu będzie... te... Ale to Tomciu winien, nie kto inny... — rzekła obojętnie, prostując fałdy spódnicy.

— Ja winien jestem, że się Wiktor przerzucił?

— Że się przerzuca, to temu Tomciu winien. Jak był głupim drągalem, to robił, co wlazło. Wziął-że Tomciu kłaść mu w głowę mądrości i teraz mu się odechciało roboty. Zabrał się do nieswoich rzeczy. Książki czyta. A jakże... To uczony człowiek! — uśmiechnęła się szyderczo, pokazując białe zęby.

Judym słuchał obojętnie. Później zapytał:

— Dużo zarabia?

— Nie, nie dużo. Ona musiała stanąć do roboty, bo przyszła bieda.

— Gdzież ona?

— W fabryce cygar. Rozchodzą się rano, a ja muszę dzieci pilnować, strawę gotować, dom cały obrządzić. Gdzież Tomciu będzie mieszkał, niby na stałe? Tutaj, czy gdzie we świecie? — zapytała z udaną obojętnością.

— Jeszcze nie wiem, dopierom wrócił.

Rozmowa się urwała. Judym patrzał z pod oka na skrawek asfaltu zabłąkany w tem miejscu i leżący tam wśród brył kamiennych, jak gdyby wskutek czyjegoś roztargnienia, na drzewko, wyrastające wprost z asfal-

towej skorupy. W sąsiedztwie pniaka leżała krata ścieku, podtrzymująca przeróżne odpadki. Słońce dogrzewało. W cieniu wysokiego muru fabryki bawiło się stado dzieci. Jedne z nich były mizerne tak bardzo, że dawała się widzieć w tych przeźroczystych twarzach sieć żył błękitnych; — inne opaliły na słońcu nietylko swe buziaki, ręce i szyje, ale także skórę kolan, wyłażących obszernemi dziurami. Pośród wierzgającej gromady pełzało jakieś małe, rachityczne ze sromotnie krzywemi nogami i ze śladami ospy na gołych, mizernych gnatach. Cała ta banda sprawiała wrażenie śmieci podwórza, czy zeschłych liści, które wiatr miota z miejsca na miejsce. Rej wodził między całą hałasującą czeredą chłopak ośmioletni, wysmukły, bez czapki, ubrany w ojcowskie ineksprymable i matczyne trzewiki. Kawaler ten darł się w niebogłosy, do czego uprawomocniała go komenda nad resztą w prowadzeniu jakiejś batalii. Kiedy przebiegał, jak jeleń, dążąc ku środkowi dziedzińca, Judym go poznał:

— Przecie to Franek!

— A Franek... — rzekła ciotka.

Dr Tomasz zatrzymał siostrzeńca i wywołał tem na jego fizys oznakę szczerego niezadowolenia. Z tłumu posunęła się naprzód dziewczyna młodsza od Franka i zbliżyła się do ciotki. Była to Karolina, siostrzenica Judymowa. Oczy miała duże, w szarej znędzniałej twarzy palące się jak węgle z pod grzywy, która zakrywała jej brwi i kończyła się na nosie. To dziecko miało fizyognomię starą i chytrą, spojrzenie uparte i badawcze, jak człowiek, który już przeżył gorycz setki zawodów i którego już nie okłamują złudzenia. Judym

 

przyciągnął Karolę do siebie i ucałował. Nie broniła mu tego. Wpatrywała się tylko w jego oczy swym ciężkim wzrokiem, jakby z zapytaniem, co jej z tego przyjść może. Franek palnął »wujka« w mankiet i, bąknąwszy coś mdłego na kilka pytań, wydalił się w kierunku kupy kolegów. Dyskurs z ciotką nie kleił się, a natomiast, jak to często w takich razach bywa, przychodziły Judymowi do głowy myśli własne, nowe, nie nadające się wcale do zużytkowania ich w tej rozmowie. Te dzieci, biegające w ciasnym zaułku, ogrodzonym przez nagie i niezmierne mury, przypominały, niewiadomo czemu, stado wiewiórek zamkniętych w klatce. Gwałtowne ich ruchy, nieustanne skoki domagały się szerokiego placu, drzew, trawy, wody...

— Tomciu-by się chciał pewnie zobaczyć jak najprędzej z Wiktorem? — rzekła ciotka, nie lubiąca nigdy udawać szczerości uczuć, których nie żywiła.

— A no, rozumie się.

— Z nim trudno się tera zetknąć. Czasem to i trzy dni, trzy noce w domu go niema.

— A gdzież on bywa?

— Ba, wie to kto? Może zresztą dziś akurat przyńdzie...

— To ja tu wpadnę wieczorkiem, a teraz chciałbym się z bratową przywitać. Można do niej zajść do fabryki, wpuszczą mnie tam?

— Czasem to i wpuszczą. Niech Tomciu spróbuje. Przecie wam, panom doktorom łatwiej, niż nam, hołocie...

— Gdzież się ta fabryka znajduje? — zapytał Judym, któremu ta rozmowa zaczęła już ciężyć.

Ciotka wskazała mu kierunek drogi i adres.

Wysunąwszy się z tego domu, doktór szedł ulicami w stronę przedmieścia ze zwieszoną głową, machinalnie szukając oczyma fabryki cygar. Nie było tam już jednolitego szeregu kamienic i rzadziej trafiały się już domy piętrowe. Natomiast szły w dal drewniane, nizkie, odrapane budynki, niepodobne ani do dworów, ani do chałup wiejskich, a przypominające jedne i drugie.

Domostwa te były obwieszone jaskrawymi szyldami i zbryzgane błotem. Brud nie puszczał wzroku przechodnia do wnętrza mieszkań i mógł wcale skutecznie zastępować żaluzye. Od frontu mieściły się tam zresztą głównie sklepiki. W jednym sprzedawano nędzne kiełbasy, w drugim, bardziej może mizerniejszym, liche trumny.

Gdzieniegdzie ze środka tych zagród miejskich, okrytych starą, ceglaną dachówką, albo papą, na której rozkłada się już tu i owdzie pleśń zielona, strzelała w górę nowa kamieniczka, szybko postawiona, jakby wydmuchnięta z piasku. Taka figura z niewidocznym dachem, z trzema ślepemi ścianami i jedną uzbrojoną w szereg okien, sterczała wśród siedzib starego, niemal średniowiecznego kształtu, jak drogowskaz nowego porządku rzeczy, zwiastujący aneksyę tych okolic na rzecz rozwoju wielkiego miasta z jego bezlitosną, surową linią, z jego brukiem i więziennym, nagim, chropawym murem. Jeszcze częściej połać domów nizkich przerywał ogromny tors fabryki z tęgimi murami, szeroką bramą i bateryą kominów. W dali na horyzoncie dachów ukazywały się wszędzie te kominy i kominy.

 

Środkiem ulicy po zrujnowanym bruku wlokły się noga za nogą wozy z cegłą, wytrząsające na wsze strony pył różowy. Odstawiali ją woźnice, przysypani tym kurzem od czubka głowy do obcasa, z twarzami bezmyślnemi, jak cegły. Kiedyindziej dudnił wielki wóz frachtowy, z pakami poobwijanemi w rogoże. Na szczycie takiego statku siedział zazwyczaj monstrualny żyd w czerwonym, barchanowym kaftanie, wywijał batem i wrzeszczał na parę koni, stawiających każdy krok nowy z niezmiernym wysiłkiem. Jeden z wozów zagrodził Judymowi drogę, wjeżdżając w bramę dużego budynku. Numer domu wskazywał właśnie instytucyę, której doktór Tomasz poszukiwał. Stwierdzał to również ckliwy i niemiły zapach tytoniu, który otaczał zabudowania i panował na znacznej przestrzeni ulicy. Judym wszedł w bramę i zwrócił się do szwajcara z zapytaniem, czyby nie można zobaczyć się z robotnicą, nazwiskiem Judymowa. Stróż nie chciał słuchać o niczem, dopóki nie uczuł w garści czterdziestówki. Pod wpływem tego wrażenia zaczął forsownie myśleć, a wreszcie znikł na chwilę i przyprowadził jakiegoś kapcana, okrytego pyłem. Ten po długich debatach kiwnął na Judyma palcem i wprowadził go do wnętrza bocznej oficyny. Proszek tabaki wdzierał się tam do nosa, gardła, płuc przychodnia i podwajał szybkość oddechu. Na pierwszem piętrze ukazała się duża sala, formalnie wypełniona przez tłum kobiet złożony z jakich stu osób, pochylony nad długimi, a wązkimi stołami. Kobiety te rozebrane w sposób jak najbardziej niepretensyonalny, zwijały cygara prędkimi ruchami, które na pierwszy rzut oka czyniły wrażenie jakichś kurczów bole-

snych. Jedne z nich schylały głowy i trzęsły ramionami, jak kucharki wałkujące ciasto. Te zajęte były zwijaniem grubo siekanego tytoniu w liście, które poprzednio zostały szybko a misternie przykrojone. Inne kładły zwinięte cygara w prasy drewniane. Duszące powietrze, pełne smrodu ciał, pracujących w upale, w miejscu nizkiem i ciasnem, przeładowane pyłem startego tytoniu, zdawało się rozdzierać tkanki, żarło gardziel i oczy. Za pierwszą salą widać było drugą, daleko obszerniejszą, gdzie w ten sam sposób pracowało co najmniej trzysta kobiet. Przewodnik nie pozwolił Judymowi zatrzymywać się w tem miejscu i poprowadził go dalej przez wązkie schody i sionki, obok maszyn suszących liście, obok młyna mielącego tabakę i sieczkarni krającej różne rodzaje tytoniu — do izb, gdzie pakowano towar gotowy. Wrzała tam szalona praca. Przechodząc, Judym zauważył dziewczynę, która paczki cygar oklejała banderolą. Szybkość ruchów jej rąk wprawiła go w zdumienie. Zdawało mu się, że robotnica wyciąga ze stołu nieprzerwaną białą tasiemkę i mota ją sobie na palce. Z rąk leciały do kosza pod stołem gotowe paczki tak szybko, jakby je wyrzucała maszyna. Ażeby zrozumieć sens jej czynności, trzeba było wpatrywać się usilnie i badać, gdzie jest początek oklejenia każdej torebki.

Za tą salą otwierała się izba przyćmiona, gdzie, według słów przewodnika, pracowała bratowa Judyma. Okna tej izby zastawione były siatkami z drutu, których gęste oka, przysypane rudym prochem miejscowym, puszczały mało światła, ale natomiast powstrzymywały od emigracyi miazmaty wewnętrzne. Leżały tam

w kątach sąsieki grubo krajanego tytoniu. W środku sali było kilka warsztatów, na których towar pakowano. Z każdego stołu wybiegała zakrzywiona rurka, a z niej strzelał poziomo z sykiem długi język płonącego gazu. Dokoła każdego stołu zajęte były cztery osoby. Przy pierwszym Judym zobaczył swoją bratowę. Miejsce jej było w rogu, tuż obok płomyka gazowego. Z drugiej strony stał, a raczej kołysał się na nogach wysoki człowiek o twarzy i cerze trupa. Dalej, w drugim końcu siedział stary żyd w czapce zsuniętej na oczy tak nizko, że widać było tylko jego długą brodę i zaklęsłe usta. W sąsiedztwie Judymowej, po lewej stronie stała dziewczyna, która nieustannie brała z kupy garść grubego tytoniu, rzucała ją w szalę, a odważywszy ćwierć funta, podawała człowiekowi, kołyszącemu się na nogach. Doktór wstrzymał się przy drzwiach i stał tam długo, usiłując znowu zrozumieć manipulacye tej czwórki. Był to widok ludzi miotających się jak gdyby w drgawkach, w konwulsyjnych rzutach, a jednak pełen nieprzerwanej symetryi, metody i rytmu. Po stolnicy, przy której te osoby były zatrudnione, między Judymową a jej sąsiadem przebiegały ciągle dwa blaszane naczynia, z jednej strony rozszerzone w kształcie czworokątnych kielichów, z drugiej równoległościenne. Formy te były wewnątrz puste. Judymowa w każdej chwili chwytała jedną z nich w lewą rękę, zwracała szerokim otworem ku dołowi i opierała na kolanie. Prawą ręką ujmowała ze stosu kartkę z wydrukowaną etykietą fabryki, otaczała tą ćwiartką koniec blaszanej formy, zawijała rogi papieru i kleiła je lakiem, który błyskawicznym ruchem topiła w płomyku

gazowym. Ledwie zawinięty róg przytknęła palcem, całą formę brał z jej rąk sąsiad mężczyzna, podczas gdy ona odbierała stojącą przed nim dla wykonania tej samej pracy. Mężczyzna zwracał blachę otworem do góry. Koniec jej wyższy, oblepiony etykietą, zanurzał w stosowne wyżłobienie stolnicy. Przyjmował z rąk dziewczyny ważącej tytoń szalkę. Wsypywał ćwierć funta w otwór naczynia i tłokiem odpowiadającym kształtowi blaszanki, ubijał zawartość. Dokonawszy tego przez dwa rytmiczne schylenia ciała, wyjmował formę z pełnej już tytoniu papierowej torebki i sięgał po nową, którą w tym czasie Judymowa oblepiła. Trzeci pracownik paczkę zostawioną wydobywał z otworu i zaklejał z drugiej strony, maczając lak w ogniu na wzór towarzyszki z przeciwnego końca warsztatu.

Pracownicy jednego stołu ładowali w ciągu doby roboczej tysiąc funtów tytoniu w ćwierćfuntowe paczki. To znaczy, że dostarczali ich cztery tysiące. Na zapakowanie jednej tracili nie więcej czasu jak dziesięć sekund. Były to zgodne ruchy, nagłe a niestrudzone rzuty rąk, jak błysk światła lecące zawsze do pewnego punktu, skąd odskakiwały niby sprężyste ciała. Judym widział tam jak na dłoni to, co chłopi zowią »sposobem«: *usus*, wypróbowany w krwawym trudzie, szereg środków cudacznych, które stanowią najkrótszą, najłatwiejszą, a niezbędną do przebycia linię między dwoma końcowymi punktami pracy. Przypomniały mu się własne »sposoby« w klinice, na sali operacyjnej i tem głębiej zanurzyły jego uwagę w trud istot, które miał przed sobą. W głębi izby stał stół zupełnie podobny do pierwszego z brzegu, a obok płomyka robiła

kobieta w czerwonej chustce na głowie. Szmata zupełnie okrywała jej włosy. Widać było z pod niej duże, wypukłe czoło. Żyły skroni i szyi były nabrzmiałe. Zamknięte oczy po każdym małpim ruchu głowy otwierały się, gdy trzeba było przylepić lakiem rożek papieru. Wtedy te oczy, spoglądając na płomyk gazowy, błyskały jednostajnie. Twarz kobiety była wyciągnięta i ziemista, jak wszystkie w tej fabryce. Na spalonych, brzydkich, żydowskich wargach co pewien czas łkał milczący uśmiech, w którym zapewno skupiło się i w który z musu zwyrodniało westchnienie zaklęsłej, wiecznie łaknącej powietrza, suchotniczej piersi. Błysk pracowitych oczu i ten uśmiech wraz z całą czynnością przypominały szalony ruch koła maszyny, na którego obwodzie coś w pewnem miejscu migota, jak płomyczek świecący.

Gdy Judymowa ujrzała szwagra, ręce jej drgnęły i nie trafiły z lakiem do płomienia, a z oczu stoczyły się dwie łzy grube prędzej, nim z ust wybiegło słowo radosnego powitania. Stanęła w pracy i oczami pełnemi łez patrzała na gościa.

Człowiek wpychający tytoń w torebki nie widział Judyma. Nie otrzymawszy formy we właściwym momencie, spojrzał na Judymową takim wzrokiem, jakim patrzećby mogło chyba koło trybowe na drugie koło, gdyby tamto w biegu stanęło.

Judym podszedł do bratowej, przywitał ją skinieniem głowy i rzekł, że czekać jej będzie na dziedzińcu fabrycznym o godzinie dwunastej. Do południa zostawało nie więcej nad kwadrans czasu, więc wyszedł z sal cygarowych i czekał w sieni przy wejściu. W czar-

nych norach na dole siedziały tam stare baby, w milczeniu segregujące liście tytoniowe. Zasypane tabaką, wychudłe, nędzne, siwe, potworne, z czerwonemi oczami były jak Parki, odprawiające tajemnicze misteryum swoje. Z głębi oczodołów tych istot spoglądały na Judyma, gdy czekając na bratowę, stał we drzwiach, źrenice o wyrazie tak srogim i pełnym zemsty, że zmuszony był ich unikać i odwrócił się plecami.

Skoro tylko uderzyła godzina obiadu, Judymowa pierwsza zbiegła ze schodów. Za nią wysypał się cały tłum kobiet. Bratowej doktora sprawiało to widać niemałą przyjemność, że mogła pochwalić się przed wszystkiemi swym szwagrem. Mówiła ciągle i głośno:

— Kiedyż brat przyjechał? Cóż u brata słychać? Był brat u nas, na Ciepłej?

Jej brudna, sterana twarz promieniała zadowoleniem i pychą. Wargi, rozchylające się od szczerego śmiechu, ukazywały rzadkie, zielone zęby. Oczy świeciły jak węgle. Wyszła w towarzystwie Judyma z bramy fabrycznej, i dążąc na obiad, z przyzwyczajenia, co tchu pędziła ulicą. Doktor jej nie wstrzymywał i sam biegł po bruku. Dopiero gdy byli przy bramie kamienicy na Ciepłej, Wiktorowa stanęła i uderzyła się ręką po fizyognomii:

— Jezus! czegóż ja lecę, jak oślica? Bratam przegnała tyli kawał.

— Nic, nic, będziemy mieli więcej czasu do rozmowy. Czy Wiktor będzie?

Twarz jej sposępniała.

— Gdzież ta! On je obiady u Wajsów, tam u jednych z fabryki. Mieszkają na Czerniakowskiej.

— No i słusznie. Trudno wymagać, żeby chodził tyli kawał drogi.

— A tak i on mówi... — rzekła prędko.

Gdy się wdrapywali na schody, doszedł Judyma zapach mięsiwa smażonego na tłuszczach, który znał dobrze z lat dziecięcych. Przez drzwi kuchenki, otwarte na korytarz buchało gorąco i zaduch, jak się zdawało, nie do wytrzymania. Wiktora Judyma nie było w domu. Obiad gotowała ciotka. Teraz już prawie nie spostrzegała obecności doktora Tomasza. On także nie nasuwał się jej przed oczy i chętnie z pierwszej stancyi, która pełniła zarazem obowiązki kuchni i mieszkania ciotki, wsunął się do drugiej, sypialni Judymów. Było to nizkie poddasze. Sufitu dosięgało się głową. Stały tam dwa łóżka, zawalone pościelą, a między niemi komoda okryta szydełkową serwetą. Nad łóżkami wisiały fotografie krewnych w tużurkach (w środku fotografia doktora w mundurze studenckim), wszystkie w ramkach wyciętych laubzegą. Gdzieś w kącie szczękał zegar z długiemi wagami. Doktor objął wzrokiem te sprzęty i niektóre z nich przypomniał sobie: były w suterynie rodziców...

Brat Wiktor nie nadszedł, a w mieszkaniu było piekielnie gorąco, więc Judym wyszedł obiecując wrócić wieczorem. Z myślą ukrycia się przed skwarem wszedł do Saskiego ogrodu, usiadł w bocznej alei i niepostrzeżenie zapadł w marzenia. Od dawien dawna, od czasu, kiedy w szkołach zaczął się uczyć dla samej nauki, snuły mu się po głowie pewne nieokreślone idee z dziedziny chemii, fizyologii... Dosięgał zawsze myślami jakiegoś potężnego światła, tysiąc razy silniej-

szego od elektryczności, które oczom lekarza odsłoni wnętrze płuc suchotnika. Tworzył kolosalne odkrycia w terapii gruźlicy, budował szpitale, jakich świat nie widział. Drugą chimerą, która go ścigała, było zużytkowanie nieczystości wielkich miast. Trzecią wynalezienie jakiegoś nowego środka lokomocyi, któryby zniweczył siłę wzrostu miast fabrycznych i rozproszył te zbiorowiska cegieł i ludzi po całym kraju. Rojenia uczniowskie przeistoczyły się później w silne, skryte namiętności. Ileż to godzin strawił nad swoim nowym motorem! W mieszkaniu studenckiem miał kąt zastawiony butlami i retortami, które, zdawało się, mieściły w sobie cudowne tajemnice. Z czasem owo wielkie światło, jak aureola rozwidniające młodość biednego studenta, przygasło pod tchnieniem krytycyzmu, ale mistyczna jego zorza strzelała przy każdej okoliczności. Miejscem, które te wielkie wynalazki miały uszczęśliwić, była zawsze »stara buda«. Od chwili zaprowadzenia nowych, Judymowych kolei datował się jej rozwój nieznany. Warszawa ogrom, rozsiadła na przestrzeni mil, z sosnowymi parkami, tonąca w drzewach, gdzie skasowaną została suteryna i poddasze, gdzie wytępiono gruźlicę, ospę i tyfus...

Obecnie przyszły znowu dawne widziadła. Koncepcye nieuchwytnych pomysłów, szlaki samej istoty wynalazku wdzierały się w mrok, niby długie linie światła i ukazywały figury tajemnych rzeczy, które tam leżą.

W ogrodzie było mnóstwo ludzi. Judym ani się obejrzał, kiedy minęło popołudnie. Ku wieczorowi nadciągać zaczęły istne hordy żydów, aleję główną, boczne

i wszystkie dróżki zalała powódź ludzka. Nie było już gdzie spacerować, więc całe towarzystwa sterczały na ulicach, albo poruszały się kilka kroków w prawo i w lewo. Tłum ten był jaskrawo ubrany. Kobiety miały na sobie modne barwy. Cały ich ogrom mienił się od ponsowych i jaskrawo-niebieskich staników, od fioletowych i czerwonych kapeluszów z ptasiemi skrzydłami, albo z kwiatami, które za każdym ruchem osoby kiwały się nad jej głową. Mężczyźni fason modnych ubrań doprowadzili do stanu wulgarności, przesady i absurdu. W pięknym parku było duszno. Zdawało się, że zwieszone liście więdną, że trawy obumierają i dobrotliwy zapach lewkonii kona, nie mogąc zwyciężyć ludzkiego zaduchu.

O zmierzchu Judym wyszedł z ogrodu w stronę Placu Teatralnego. Gdy zapalono latarnie, był na Bankowym. Jaskrawy blask rewerberu padł właśnie na chodnik, prowadzący w kierunku ulicy Elektoralnej. W świetle tem widać było fale ludzi, spływające bezustannie za ciemną sylwetkę Banku, jakby w szyję naczynia. Judym stanął. Te czarne masy głów i tułowiów, sunące prędko niby mrówki, zbudziły w nim uczucie fizycznej odrazy. Zdawało mu się, że spogląda na sunące ławy robactwa. Wmieszać się w motłoch, mieszkający tam, za tym placem, — przenigdy! Przenigdy!

Zawrócił na miejscu z mocnem postanowieniem zobaczenia się z bratem kiedyindziej, — i wszedł do wykwintnej restauracyi.

Nazajutrz wstał o godzinie piątej rano i poszedł do brata. Gdy wchodził w bramę, słońce oświetlało

górne części oficyn i udzieliło nawet tym biednym różowo-brudnym ścianom uroku swojego przyjścia. Zdawało się, że nędzne okna, za któremi kryje się ubóstwo, te jakby znużone oczy chorego domu, stoczonego wewnątrz przez biedę, wieczyście pozbawione blasku wesela, teraz w tej jedynej chwili otwierają się, patrzą w niebiosa i modlą się do słońca. Gdy doktor Tomasz zastukał we drzwi mieszkania, stanął w nich brat Wiktor, już ubrany. Był to słuszny mężczyzna. Nosił dużą, jak łopata zapuszczoną brodę, która otaczała jego rysy niby rama. Twarz miał bladą, nieopaloną, o skórze jak gdyby przesiąkniętej czemś czarnem. Gdy spojrzał na brata, oczy mu się zaśmiały, jak u dziecka, mimo, że słowa, które wymówił na przywitanie, miały prawie zimny ton urzędowy:

— Jak się masz, Tomek...

— Cóż u ciebie słychać... — rzekł doktór, również bez czułości, witając brata.

— A no tak... idzie...

— Wiesz, odprowadzę cię.

— Dobra... — rzekł Wiktor, biorąc blaszankę.

Gdy się znaleźli w ulicy, szli przez czas pewien obok siebie w milczeniu, po prostu nie wiedząc od czego zacząć. Wreszcie Wiktor rzekł:

— W Paryżuś był?

— Byłem.

— Teraz tu zostaniesz?

— Pewno. Trzeba będzie tu osiąść. Zobaczę, jeszcze nic nie wiem. Chciałbym tu być, ale czy wyżyję...

— No, i po tylu latach nauki jeszczebyś nie

wyżył! — uśmiechnął się z niedowierzaniem i odrobiną ironii.

— Tak ci się to zdaje.

— Pewnie, że mi się zdaje. Co ja mogię wiedzieć?

Judym zauważył to »mogię« i wnet go poczęło drażnić. Znowu szli, milcząc. Ulice były prawie puste. Kiedy niekiedy jechał wóz z jarzynami, albo pieczywem. Nadzwyczajnie hałasując, przemknęła się dorożka, wiozącą niewyspaną osobę z jakiegoś wczesnego pociągu. O ściany kamienic rozbijał się łoskot kroków ludzi, idących do pracy z blaszankami w ręku.

W pewnej chwili wyminął braci stary żyd, dźwigający na plecach w ogromnym koszu dwa wielkie połcie mięsa. Stróże na całej długości ulic rozbijali miotłami suchy kurz i brud wczorajszy.

— Mówiła mi ciotka, że przerzuciłeś się znowu... — zaczął doktór.

— A tak. Pożarłem się z Raczkiem, tam z jednym majstrem. Niech go tam zresztą jasności!...

— O co?

— A o co? Ścierpieć my się nie mogli i dość. Mówi, że ja nie na robociarza, że w kamaszkach, w żakiecie chodzę, w krawacie... To, mówi, nie tego... A jemu psiąkrwi co do moich kamaszków! Idę do roboty, jak każdy inny facet w takiej, o, koszuli i w takich portkach...

— Pewnie, ale poco się drzeć o byle co?

— E, o byle co! My ta wiedzieli, o co się drzemy... — rzekł Wiktor, spluwając. — On mi się tylko czepiał, drań, ja wiem. Bo co mu do mnie!

M o g i ę na mieście, w święto papierowy kołpak włożyć na łeb i chodzić w tem po alejach, to i tak mu nic do tego, chałujowi. Wzienem, zrugałem raz i drugi, — no i trza się było wylać z tamtej budy.

— Jakże ci teraz?

— Z początku była bryndza, ale jak raz zaprowadzili tę gruszkę Bessemera, czy ta jakiego, i nadałem się. Robota jest ciężka, oczy żre, ale tu wolę.

— Widzisz, to ci chcę powiedzieć, że ty może wolisz, ale Teosia musiała stanąć do roboty. Ja wczoraj byłem w tej jamie, gdzie ona chodzi.

— Ja jej nie zmuszał.

— Tyś jej nie zmuszał, ale brak zmuszał. Powiem ci, że ona w tym tytoniu długo robić nie powinna. To jest za ciężka praca.

— Teraz letkiej pracy mało na świecie, — rzekł Wiktor obojętnie. — Cóż ja miałem robić? Przecie nie próżnuję.

— Ja też ci nie robię wyrzutów, tylko mi żal twojej kobiety.

— I mnie jej żal, ale cóż na to poradzić... — rzekł Wiktor w tonie ironicznym, z boku rzucając okiem na brata. — Tyś wyszedł na ludzi, a my zostali w swoim stanie. Żałujesz... »mojej kobiety...« Ja to samo... Ale choćbyś żałował i przeżałował, to się psu na budę nie zda. Już nie trzeba, jak ja się staram, żeby się wybić na ludzi...

— Myślisz, że ci ubliża to, co mówi taki Raczek!

— Nie ubliża mi! Kazałbym ja ci chodzić w grubych buciorach, w zgrzebnych gałganach, w drelichu,

jak bele chłopu od kanalizacyi, co ze wsi przylazł... Tobyśmy zobaczyli...

— Ubranie o wartości człowieka nie stanowi... — rzekł doktór, myśląc jednocześnie, że ta maksyma stanowi wyświechtane słowo, pasujące do treści skarg Wiktora, jak kwiatek do kożucha.

Tamten szedł kilkanaście kroków nic nie mówiąc. Raptem zwrócił się do Tomasza i rzekł szorstko:

— Widzisz tak: tyś teraz pan, a ja taki se człowiek, mało co lepiej ubrany od naszego nieboszczyka ojca. Wzięła cię ciotka z domu, wychowała, dała cię do szkół, — no i dobrze, bardzo dobrze. To mię, sumiennie ci mówię, szczerze cieszy. Twoje życie było, jak różyczka w ogrodzie, a moje, uważasz... Jak się ty będziesz ubierał, mnie to nic a nic nie obchodzi, chociaż to ubranie, twoje, nosisz z tej racyi, że cię, widzisz ciotka wzięła. Bez tego to cóżbyś ty był? A jak sobie ja kupię żakiet, tom do tego żakietu doszedł własnymi pazurami, jakbym go z mura wygrzebał. Uważasz mię?

Doktora zakłuły te słowa.

— Zdaję ci się, — rzekł, — że moje życie było, jak różyczka w ogrodzie. Żebyś ty wiedział...

— Skąd ja mam co wiedzieć! — krzyknął prawie Wiktor. — Byłeś to brat dla mnie! Pamiętam, że ciotka raz przyjechała dryndą, jak my oba na bosaka łachali po rynsztokach. Ciebie wzięła, boś był przystojniejszy — i koniec. Przychodziłeś do nas czasami na jakie godzinkie, aleś był wystrojony, potem w mundurze i boczyłeś się na mnie, obdartusa z terminu.

— Co ty...

— No, no, ja ta na wiatr nie gadam! Dopiero, jakeś poszedł do uniwersytetu, zetknęliśmy się, ale to co innego, i zresztą...

— Ciotce zawdzięczam wiele, — mówił doktór, patrząc w ziemię. Gdyby nie ona, zostałbym był na naszem podwórzu. To prawda. Ona mię w świat wepchnęła, ale też com ja z jej powodu przeżył!

— Tyś przeżył?

— Wiesz przecie, kim była nasza ciotka.

— Przecie, że wiem.

— Była to, podobno, niegdyś cudna dziewczyna. To też prędko z suteryny ruszyła w świat...

— Cóż ty będziesz we flanelę obwijał? »Ruszyła w świat« — tere-fere... To była, podobno, najpierwsza granda w Warszawie! Jeden facet, co mu ojciec nieboszczyk buty robił, rozpowiadał staremu, że to, mówię ci, hrabiowie, nie hrabiowie...

— No dobrze, dobrze! — mruknął Tomasz z niecierpliwością.

— Gniewa cię to? — śmiał się tamten ordynarnie.

— Chcę ci powiedzieć, jak było, boś o tem zaczął, a nie wiesz: zebrała sobie kupę pieniędzy, mieszkanie najęła na drugiem piętrze, cztery pokoje... miała śliczne meble. Czego tam nie było!

— Podobno szyk najpierwszy!

— Tak jeszcze stała, gdy mnie wzięła do siebie. Była już wtedy przekwitła, życia dawniejszego nie prowadziła, ale bywało u niej mnóstwo znajomych. Grało to w karty, piło. Przychodzili najrozmaitsi ludzie, młode i stare baby. Tam ja to rosłem, jak różyczka

w ogródku... — mówił z bolesnym uśmiechem. — Pierwszych lat byłem na posyłkach, froterowałem, czyściłem posadzki, myłem w kuchni garnki, rądle, nastawiałem samowary i latałem, latałem bez końca za sprawunkami. Jeszcze dziś pamiętam ten dom, te schody kuchenne! Ile ja tam cierpień... Może we dwa lata wzięła ciotka i wynajęła pokój w korytarzu z osobnem wejściem jednemu studentowi. Płacił niedużo, ale za to miał obowiązek mnie uczyć i przygotować do gimnazyum. Ten facet mię uczył sumiennie i przygotował. Radek się nazywał... Poszedłem do sztuby. Ciotka płaciła wpis. nie mogę powiedzieć, ale też za to używała na mnie, co się zmieści. Dowiedziałem się później, gdy byłem starszy, że dużo przegrała w karty. Wówczas nie rozumiałem wcale tego, co się tam działo. Doświadczałem tylko na sobie bez ustanku, że ciotka jest coraz bardziej skąpa i wściekła. Formalnie wściekła. Opanowywała ją czasami jakaś furya i gnała po pokojach, z jednego w drugi. Nie daj Boże wpaść jej wtedy w ręce! Sypiałem zawsze w przedpokoju, na sienniku, który wolno mi było przywlec z ciemnego pasażyka za pokojem ciotki wówczas dopiero, gdy się już wszyscy goście od niej wynieśli. Kładłem się spać późno w nocy, a wstawać musiałem najwcześniej ze wszystkich. Z czasem gości przychodziło coraz mniej, ale za to wynajęła trzy pokoje, do których wchodziło się ze wspólnego korytarza sublokatorom. I wtedy nie wolno mi było kłaść się spać przed powrotem ostatniego z tych nędznych, nocnych włóczykijów. Wstawać musiałem, gdy jeszcze wszyscy spali. Prał mię, kto chciał: ciotka, służąca, lokatorowie, nawet stróż w bramie wlepiał mi

jeśli nie kułaka w plecy, to przynajmniej słowo, często twardsze od pięści. I nie było apelacyi. Moje lekcye, gdy Radek się wyprowadził po skończeniu budy, odrabiałem w kuchni, na stole zawalonym rondlami, wpośród ziemniaków i masła. Ileż to razy ciotka mię wyganiała precz, za byle winę! Ile razy musiałem błagać na klęczkach, żeby mię znowu przyjęła do swego »domu!« Czasami w przystępie świetnego humoru dawała mi swoje rozklapane trzewiki, w których, ku szczerej radości całego gimnazyum, chodzić musiałem. Trafiła się zima, kiedy sypało się w prunelowych pantoflach z wysokimi obcasami, albo inna, w której całym ciągu mogłeś był widzieć na śniegu ślad moich bosych nóg, choć niby to były okryte przyszwami. Jakem się tylko przywlókł do piątej klasy, bryknąłem stamtąd. Ale całe moje dzieciństwo, cała pierwsza młodość upłynęły w nieopisanym, wiecznym przestrachu, w głuchej nędzy, którą teraz dopiero pojmuję. A zresztą, a zresztą... co to gadać...

— To ci ciocia dopiero... — śmiał się Wiktor. — Nieboszczyk ojciec nie lubił o niej gadać, o tej ciotce, a jak się tylko urznął zdrowo, to zaraz na nią klął, co się zmieści.

Tomasz machnął ręką i szedł w milczeniu.

Ulice pełne już były światła słonecznego. Przy domach utulonych drzewami słały się fiołkowe, pachnące cienie.

Tomasz i Wiktor zawrócili właśnie w kierunku dzielnicy fabrycznej i stanęli na wzgórzu, skąd ją całą można było widzieć. Z głębi odległych murów ciągnęła w szczere pole Wisła, wygięta jak ogromny łuk z ja-

snego srebra. Zdawało się, że płonie białym blaskiem zapalona przez słońce poranne. Spragnione oko chwytało daleki widok tej swobodnej wody, zielonej równiny łąk, sinych lasów, nikłemi liniami ginących w przestworzu. Bliżej nad Wisłą ciemniały kępy jakichś drzew rozłożystych.

Bracia usiedli pod murem ogrodowym na trawniku i, milcząc, patrzyli w krajobraz, klóry mieli przed sobą. Z niziny fabrycznej, z owej masy ślepych murów bez okien, z wązkich i podłużnych budowli, które cięnkiemi rurami wydychały kłęby pary, przecudne w promieniach słońca, jak ruchome bryły srebrne, dochodził niemilknący łoskot żelaza. Doktór Tomasz ulegał złudzeniu, że te dźwięczne uderzenia młotów, owe jęki jak gdyby targanych łańcuchów wydaje para, buchająca na wsze strony z dachów okrytych zadymioną papą. Zdawało mu się, że drżący z jakiegoś nienasyconego pośpiechu, dziki, zdławiony i twardy ryk motorów daje się umiejscowić, że go widać w ogromnych kłębach burego dymu, magających ciągłe i prędkie półkola. Ten dym mnóstwa wysokich kominów z cegły i wązkich, okrągłych z blachy spojonej, gangrenował już przestwór czystego nieba, zniżał się, wałęsał nad gmachami i zalewał ulice, niby szara mgła, w której traciły wyrazistość kształtów domy, latarnie, wozy i ludzie. Kiedy niekiedy dawały się uczuć w równych odstępach czasu dwa idące po sobie ciosy młota parowego, dzięki którym ziemia drżała w odległości kilkudziesięciu kroków od fabryki. Po rozbitym bruku ulicy toczyły się wozy, ciągnione przez ogromne koniska. Wehikuł taki, składający się z dwu słupów złą-

czonych, które leżąc na grubych osiach, dźwigały ciężar żelaza, przewłóczył z miejsca na miejsce bryły »gęsi« surowcowych, podobne do zastygłych skib grudy, płaskie sztaby żelaza, proste albo zwinięte jak wstążki, relsy, drągi, ogromne części mostów, krat, maszyn. Niektóre z nich słychać było w sąsiedniej ulicy. Jakieś dwa ogony długich, kutych sztab, wysunięte poza tylne koła wozu przy każdem jego wstrząśnieniu trzepały się o siebie, wydając wrzask nieznośny. Zdawało się, że to wściekłość obłąkana, skuta łańcuchami w dyabelskiej furyi wali ogonem i wyszczekuje w męczarni ostatnie swoje tchnienie.

Kiedy Judymowie siedzieli, przeczekując nerwami wędrówkę jednego z najhałaśliwszych transportów, nagle z drugiego trotuaru dał się słyszeć głos:

— Judym! Czegóż ty tam siedzisz... Judym!

Bracia nierychło ten głos usłyszeli. Wreszcie Wiktor rzucił okiem i wnet wstał z miejsca. Z drugiej strony ulicy szedł młody człowiek wysokiego wzrostu, blondyn, z jasną, krótką brodą i niebieskiemi oczami. Twarz jego była po fabrycznemu przybladła, ale usta zachowały jeszcze uśmiech i barwę zdrowia. Miał na sobie zniszczone ubranie i perkalową koszulę. Głowę jego okrywał duży kapelusz z rondem w postaci skrzydeł.

— To nasz nowy pomocnik tego inżyniera, co pierwszy ustawiał »gruszkę«, — rzekł Wiktor.

Młody człowiek zbliżył się do nich i zaczął rozmawiać. Co parę chwil rzucał bystre, jasne, prawdziwie badawcze spojrzenia na Tomasza.

— To mój brat, — rzekł Wiktor, — doktór. Wrócił w tych dniach z Paryża.

Technik wyciągnął rękę i powiedział niewyraźnie, jak zwykle przy prezentacyi, jakieś nazwisko.

Rozmawiając o rzeczach obojętnych, wszyscy trzej schodzili wolno w dół ulicy. Wiktor, pełen zadowolenia, że może się pochwalić takim bratem, choć usiłował tego nie zdradzać, mówił dużo, a wreszcie, nie pytając Tomasza, prosił młodego inżynierka, czyby doktór nie mógł zwiedzić fabryki, a osobliwie stalowni. Ten wahał się przez chwilę, a wreszcie przyrzekł protegować gościa. Zeszli w wązką uliczkę, utworzoną przez nagie mury fabryk i stanęli u ciasnych drzwi. Była już zapewne godzina siódma. Na podwórzu fabrycznem otoczył ich szczęk młotów i głuche warczenie motorów dynamo-elektrycznych o sile blizko tysiąca koni. Wiktor gdzieś znikł i doktór został sam na sam z młodym zawodowcem. Ten prowadził go przez sale, gdzie heblowano sztaby żelaza, długie kilkadziesiąt łokci, gdzie borowano w nich dziury zapomocą świdrów i gdzie skromne maszynki w mgnieniu źrenicy wybijały w płytach grubych na dwa palce duże otwory z taką łatwością, jakby rzecz szła o przedziurawienie palcem plastra miodu. W jednym miejscu nitowano kraty mostów zapomocą śrub rozpalonych do białości, gdzieindziej cięto nożycami sztaby, jak płótno. Z ogromnych izb warsztatowych Judym przeszedł do pustej hali, gdzie pracowało zaledwie kilkunastu ludzi. Tu spajano relsy.

Doktór Tomasz ciekawie przyglądał się tej robocie. Mało tam miały do czynienia maszyny. Działały za to wyłącznie muskuły i młoty na długich toporzyskach. W rogu sali dłubał nad czemś mężczyzna

o takim kadłubie, o takich bryłach mięśni, że Judym przypatrywał mu się, jakby nieznanemu gatunkowi człowieka. Widział podobne kłęby bicepsów, ale tylko w marmurze i na rysunkach. Zdawało się, że gdyby to ramię podniosło się, ta pięść w mur trzasnęła, toby go w mgnieniu oka zgruchotała na szczątki. I był to wspaniały widok, gdy siłacz ujął swój młot i zaczął do spółki z towarzyszem łączyć uderzeniami dwa rozpalone końce szyn. Doktorowi nie chciało się stamtąd wychodzić. Z żywą ciekawością przyglądał się siłaczowi, rozpatrywał i przepowiadał sobie na nim muskuły. Zdaleka posuwając się za swym inżynierem, cieszył się widokiem kowalskiego kadłuba.

— To także silny chłop! — rzekł towarzysz.

— Który?

— A ten...

Obok potężnego kowala stał bokiem odwrócony człowiek młody, lat może dwudziestu ośmiu, z twarzą tak piękną, że Judym, ujrzawszy ją, stanął jak wryty. Były to ostre rysy chudej twarzy, regularne i jakby wyrzeźbione z kości. Górną wargę ocieniał mały, czarny wąsik. Człowiek ten był prawie szczupły, tylko jakoś przedziwnie kształtny. Ruchy miał nie szybkie, lecz pewne swego celu, nieodzowne i harmonijne.

— Czyż to także kowal? — szepnął Judym. — W porównaniu z Herkulesem, wygląda jak chrabąszcz.

— Ej, tak źle nie jest... — uśmiechnął się przewodnik.

Wkrótce potem chudy robotnik, gdy kolej na niego przyszła, dźwignął swój młot i zaczął uderzać.

Wtedy dopiero Judym zobaczył. Młot obiegał krąg rozsunięty i trzaskał w żelazo z ogłuszającą potęgą. Nagie ręce wyrzucały go w prawo i w tył i zadawały sztabie cios z boku, a od samej ziemi poczęty. Korpus ciała stał prosto, jakby w tej czynności nie brał udziału. Tylko biodra wzdrygały się pewnym, minimalnym ruchem, który ukazywał stopień samej siły, i mięśnie łopatek naciągały koszulę. Snopy iskier wyfruwały z pod młota w kształcie gwiazd błękitnych i złotych. Otaczały wspaniałą figurę rycerza, jakby aureolą, należną wielkiej mocy i cudownej piękności. Po ostatniem uderzeniu młody kowal usunął się w kąt hali melodyjnym ruchem, wsparł ręce na toporzysku i świstał przez zęby. Krople potu stały na jego czole i płynęły strugami z usmolonej twarzy.

Z szopy kowalskiej wchodziło się do odlewni żelaza i stali. Dym słomy wolno węglejącej, zapach przeróżnych kwasów i duszne, do ostatka wynaturzone powietrze wypełniały te hale grobowe, czarne, ziejące ogniem. Grunt ich zryty i sprzewracany dymił się i parzył nogi. Czarne, ranami okryte ściany dygotały, jak gdyby z wiecznego bólu. W jednym końcu olbrzymiej szopy stało naczynie w kształcie gruszki. Podstawa jego była szeroka, szczyt zwężał się i zakończony był niedużym otworem. Ta wielka retorta obracała się na poziomej, wewnątrz próżnej osi, która wprowadzała do środka ogrzane powietrze z maszyny wiatrowej. Całe to naczynie mogło przechylać się w taki sposób, że przez otwór górny wylewała się we właściwej chwili zawartość. Gdy Judym wszedł do sali, »gruszka« stała pionowo, naładowana warstwami surowcu i koksu. Pu-

szczono prąd powietrza o temperaturze ośmiuset stopni, które z dołu wdziera się do wnętrza i dmie z olbrzymią siłą. Wówczas przez otwór w górze zaczął wybuchać czarny kopeć, w którym błyskał kiedy niekiedy rozdymający się płomień. Mroczne kłęby napełniły budynek i wypływały przez ogromne wrota. Dym strzelał w górę ze wzrastającą szybkością, był coraz bielszy i cieńszy. W pewnych odstępach czasu miliardy gwiazd leciały z jego głębi. Gdy koks spalił się całkiem, zaczął z pomiędzy nich buchać z przeraźliwym hukiem wielki płomień długi, drgający. Zrazu był czerwony, później bladł, błękitniał, wreszcie przybrał jakiś kolor, który oślepiał. W samym prawie ogniu, tuż przy gruszce było kilku ludzi. Na czele ich stał młody technik. Iskry przepaliły mu rondo kapelusza, zniszczyły ubranie. Twarz jego wznosiła się ku płomieniowi. Zakrwawione oczy badały kolor ognia, ażeby po jego barwie osądzić, czy stal się już wytwarza.

W pewnej chwili dał rozkaz, ażeby wrzucić w paszczę naczynia krzemionkę (silicium), która się w tej temperaturze 1400 stopni asymiluje mechanicznie z żelazem.

Płomień szalał. Słup jego zwężony, jak miecz obosieczny, wydawał zduszony ryk — i leciał. Zdawało się, że ten ogień wydrze się ze swego miejsca, zerwie i buchnie w górę. Wzrok nie był w stanie znieść blasku, który rozświetlił ponurą halę.

Wówczas na galeryi z żelazną balustradą, za płomieniem a w połowie jego wysokości, zdawało się, że w samym ogniu, jak salamandra, ukazała się czarna figura.

Doktór ciekawie wlepił wzrok i śledził ruchy tej postaci.

Robotnik długie narzędzie, pewien rodzaj miotły kominiarskiej zanurzył w ciecz parskającą.

Wtedy doktór poznał w tej czarnej osobie swego brata — i serce zapaliło się w nim, jakby w nie zleciała iskra z płomienistego ogniska.

## MRZONKI.

Powrót z wywczasów letnich doktora Antoniego Czernisza stanowił dla świata lekarskiego jak gdyby otwarcie roku. Doktór Czernisz był prawdziwie niezwykłym człowiekiem. Jako lekarz zajął jedno z pierwszych miejsc nietylko w Warszawie. Imię jego było na ustach publiczności, powtarzało się w pismach specyalnych i nie obce było naukowemu światu zagranicy. Owszem, wyznać trzeba, że tam cieszyło się większem uznaniem, niż w domu.

Dr. Czernisz pochodził ze sfery ludzi biednych. O własnej sile ukończył nauki, zdobył sobie imię w świecie i byt. Stosunkowo dość późno, bo dopiero po czterdziestym roku życia, gdy już był człowiekiem zamożnym, ożenił się z kobietą wielkiej piękności. Pani Czerniszowa była »jedyną nadzieją« zrujnowanej rodziny półarystokratycznej. Wyszła za mąż nie z miłości prawdopodobnie, lecz z przekonania. Była to swego czasu żywa bojowniczka emancypacyi. Z biegiem czasu dzieci przychodzące na świat, obowiązki i stosunki usunęły ją od życia szerszego, ale nie zburzyły

jej aspiracyi i wierzeń. Do sprawy uczciwej zawsze przyłożyła ręki. Już to nie były dawne prace, tchnące entuzyazmem, ale jeszcze tkwił w nich pewien umiarkowany zapał. W salonach doktorstwa Czerniszów gromadziła się sfera myśląca. Wszystko, co Warszawa miała wybitnego, znajdowało tam gościnę. Przyjęcia rozłożone były w ten sposób, że jednego tygodnia w umówione środy zbierała się inteligencya wszelkich zawodów, drugiego — tylko lekarze. Jeżeli w dniu niewłaściwym przybłąkał się ktoś z poza koła medycznego, był gościem pani. Grono lekarskie nie trwoniło swych zebrań środowych na gawędkę. Zgromadzenia te, początkowo obejmujące grupę najbliższych przyjaciół gospodarza, literalnie wciągały ludzi. Jeżeli kto miał ukończoną pracę, to ją tam czytał; jeżeli nastręczał się komu w praktyce niezwykły wypadek, to tam był podawany do wiadomości kolegów. Przybył ktoś ze świata, z wycieczki naukowej, tam zdawał sprawę z tego, co widział i do stosowania w kraju, w granicach sztuki lekarskiej, za słuszne uważał. Posiedzenia nie miały charakteru napuszonego, ale też nie trąciły szlafrokiem. Liczono się z niemi, a co ważniejsza, lubiono je. Gospodarz, człowiek skromny a mądry, pełen dystynkcyi i słodyczy, pani domu czarująca każdem słowem i giestem, salony, w których znajdowało się urządzenie wytworne, niejedno dzieło sztuki, a nadewszystko owa atmosfera myśli, wyższości prawdziwej i kultury — przyciągały wszystkich.

Judym, który doktora Czernisza znał, będąc jeszcze studentem, złożył mu w pierwszych dniach września swe uszanowanie i został zaproszonym do koła.

W połowie następnego miesiąca odbyła się pierwsza środa lekarska. Dr. Tomasz wybrał się na to zgromadzenie... z odczytem. Wahał się bardzo długo, lękał i zapalał, aż wreszcie postanowił przedstawić rzecz swoją. Napisał ją dawno, jeszcze w Paryżu. Teraz przypiął do niej wstęp i trochę cyfr statystycznych miejscowych. Dr. Czernisz zachęcał go do czytania tej pracy, (której zresztą wcale nie znał), usilnie i wymownie, prosił, a nawet zobowiązywał.

— Jakto? — mówił — kolega pytasz się, czy masz nam wyrazić myśl, którą przywiozłeś z Paryża po dwuletnich blizko studyach... Więc cóż mamy czytać, gdy się zejdziemy? To, co wiemy wszyscy, co tu między sobą obgadaliśmy tysiąc razy?...

Judyma przekonywały te argumenta tem skuteczniej, że za granicą zdarzało mu się czytać w towarzystwach różne wypracowania. Było w tem nawet nieco ambicyi z lichszego kruszcu... Powstrzymywała go tylko jakaś trwoga czysto lokalna. W dniu oznaczonym jeszcze raz zbadał swój rękopism, ubrał się w czarne szaty i o zmroku wyruszył. Gdy miał już przekroczyć bramę domu, uczuł mocne ściśnienie w gardle, które wnet zwyrodniało w zupełną chęć odwrotu. Była nawet chwila zupełnego tchórzostwa... Mimo to przycisnął wreszcie guzik dzwonka, nad którym widniało nazwisko »Dr. Czernisz«. Wnet usłyszał z bólem w głowie kołatanie we drzwiach zasówki, szereg tępych dźwięków, wydających coś, jak bełkot, czy jak śmiech szyderczy...

Wszedł na marmurowe schody, zasłane szerokim, barwnym chodnikiem, do rzęsiście oświetlonego przed-

pokoju i poczuł na ramieniu dłoń gospodarza. Otoczył go gwar mężczyzn, żywo rozmawiających.

Niezgrabnie, potykając się na dywanach, zawadzając o meble, przyszedł wreszcie, prowadzony przez Czernisza, do kozetki, z której podnosiła się śliczna kobieta. Miała może lat trzydzieści. Była ubrana bez elegancyi, ale z takim wdziękiem obłóczyły ją te proste suknie, że Judym uczuł zaraz swoją wrodzoną, szewską strachliwość i wprowadził w czyn niemniej szewskie ukłony, oraz maniery. Pani Czerniszowa spostrzegła to jego stropienie się i wnet nietylko zrozumiała je z całą żywością natur szlachetnych, ale sama czuła się równie zmieszaną i nieszczęśliwą. W tej chwili dr. Tomasz przypomniał sobie, że bez względu na ten brak jasności umysłu, który w danej chwili przechodził, ma jeszcze czytać, zabrać głos wśród tych ludzi obcych, pewnych siebie, przygotowanych do sądu, do rozmowy i do wyładowania konceptu.

Doktorowa mówiła z nim o Paryżu i usiłowała to sprawić, żeby się poczuł swobodnym. W części jej się to udało.

Judym powziął dla niej rozpaczliwą sympatyę. Zaczął mówić... Tymczasem ktoś inny przysiadł się z lewej strony, ktoś trzeci odwołał ją w drugi koniec salonu.

Rozglądając się, gdy sam został, Judym spostrzegał wielu lekarzy. Znał ich z widzenia, ze szpitala i z ulicy. Uściśnieniem ręki mógł przywitać ledwie paru. Siedział w swym fotelu sztywnie, ze zdrętwiałemi nogami, które, jak kłody tkwiły na miękkim dywanie — i przechodził męczarnie oczekiwania. Co

chwila u drzwi brzęczał dzwonek i nowa osoba ukazywała się w jasnem świetle. Gdy już salon i przyległe gabinety napełniły się zupełnie, dr. Czernisz swym cichym, miękkim głosem zawiadomił zebranych, iż kolega, dr. Judym, świeżo przybyły z Paryża, odczyta pracę swą pod tytułem... »Kilka uwag« czyli »Słówko w sprawie higieny«. Judym słuchał tego zawiadomienia z formalnem przerażeniem. Jednakże, gdy oczy zgromadzonych zwróciły się do niego, ochłódł, wstał pewien siebie, zbliżył się do małego stoliczka, wydobył swój rękopism z bocznej kieszeni surduta. Gwar wolno jakby niechętnie, zamieniał się na szept, w którym brzmiał dźwięk mętny... Judym... Judym... niby akord gasnący w przestrzeni.

Dr. Tomasz zaczął czytać. We wstępie, ukutym robotą kowalską ze zdań i wyrazów pełnych erudycyi była mowa o współczesnym stanie higieny. Nietylko sentencye, w których ten sam rzeczownik powtarzał się kilkanaście razy, ale i myśli były twarde, tudzież znane, jak »Powrót taty«. Prelegent czuł na sobie i widział, niby we mgle spojrzenia zimne, ostre i już ubarwione drwiną. Ale to mu dobrze zrobiło. Czytał o nowych usiłowaniach w sprawie dezinfenkcyi stosowanych w szpitalach, które zwiedził, o nowych środkach i zabiegach, naprzykład o chinozolu, o przeróżnych stosowaniach sublimatu, o wszystkiem słowem, co z książek i czasopism obcych wygrabił. Zaczęło to poniekąd interesować słuchaczów. Ciekawość ich wzrosła, gdy opisywał nowe środki dezinfekcyonowania mieszkań prywatnych, jak niepolimeryzowany formaldehyd — i inne. Ta kwestya wypełniła pierwszą część rozprawki.

Na początku drugiej Judym zadał sobie pytanie, co nauka, tak bardzo wogóle interesująca się sprawą zdrowotności, przedsiębierze dla higieny życia motłochu. Ażeby zbadać tę kwestyę ze stron rozmaitych, zaczął opowieść o zjawiskach, które miał możność widzieć w Paryżu i gdzieindziej. Mówił tedy o trybie życia tak zwanej armii rezerwowej przemysłu, o bandach koczujących, przepojonych absyntem, balujących w sali *du Vieux-Chêne*, przy ulicy Mouffetard, albo w sali *de la Guillotine* i t. d. Była to długa historya.

Słuchano jej z pewnem zajęciem. Prelegent, opuściwszy ten przedmiot, zwrócił się do opisu instytucyi noclegowej Château-Rouge.

— Chodziłem tam często, — mówił, — a nawet, wyznać muszę, spędziłem w tej norze jedną całą dobę. Nigdy nie wyjdzie mi z pamięci ten sen nocy zimowej. Wchodzi się tam z małej uliczki Galande, leżącej w sąsiedztwie Notre-Dame, w najstarszej dzielnicy paryskiej. W pobliżu kwitnie sławny szynk Père-Lunettes. Klientela dawnego pałacu »pięknej Gabryeli« (d'Estrées) jest dwojakiego gatunku. Pierwszą stanowią »goście« zwiedzający, drugą biedacy, którzy tu znajdują tani absynt i kilkogodzinny przytułek. Tak zwana *consommation* kosztuje w Château-Rouge 15 centymów, za co gość ma prawo siedzenia przy stole, tudzież oparcia dwu rąk i głowy na jego krawędzi, aż do godziny drugiej w nocy. W czasie mroźnych i dżdżystych wieczorów, goście, z których rzecz prosta, ani jeden nie posiada mieszkania, leżą poprostu jedni na drugich. Wyrzuceni po pierwszej w nocy, rozłażą się w cztery

strony świata. Jedni idą spać pod mosty, na fortyfikacye, do Lasku Bulońskiego, na Vincennes... Inni, którzy mają w kieszeni kilkanaście groszaków, szukają jakiegoś *marchand de sommeil.* Największa ilość nocuje w Château, poczem jedni idą do hal centralnych, ażeby za dwa *sous* spożyć *soupe au riz*, a w ciągu dnia za kilkanaście, czasami za kilkadziesiąt centymów pomagać urzędowym tragarzom. Inni, zbieracze ogryzków papierosowych, niedopałków cygar, czekają przy pomniku E. Doleta, na placu Maubert, już o godzinie szóstej rano i robotnikom, dążącym do fabryk, sprzedają torebki z wytrząśniętym tytoniem po 10 centymów sztuka. Château-Rouge może w sobie pomieścić kilkaset osób. W zimowe noce bywa ich tam pięćset. W pierwszej izbie z bufetem zbierają się przeważnie kobiety i dzieci, ponieważ kopci się tam w blaszanym piecu. W drugiej, dawnej sypialni pięknej kochanki Henryka IV, leżą na gołej podłodze sami mężczyźni. Za prawo snu do drugiej w nocy właściciel pobiera od każdego 10 centymów. W izbie trzeciej, ozdobionej freskami, którą zowią Senatem, ludzie śpią na stołach i na ziemi. Tam zbieracze niedopałków wydmuchują z gilz swój towar i układają go w torebki, tam *les dos* czekają cierpliwie na swe *marmittes*, nocne pracownice, które ich utrzymują. Tam śpią znużeni akrobaci podwórzowi, częstokroć tatuowani, drobni rzemieślnicy, ludzie, których zajęcie stanowi pławienie psów w rzece, otwieranie dorożek przy dworcach kolejowych, wyławianie zdechłych kotów i inne fachy, nie nadające się do ogłoszenia. Z lewej strony od Senatu jest izba, zwana *Salon des morts,* gdzie pokotem leżą pijani,

chorzy, albo osoby, cieszące się względami gospodarza. Istnieje wreszcie t. zw. *Salon* z freskami, wyobrażającymi dzieje zbrodniarza *Gamahu*, zabójcy *mme Bannerich.* Zwykle jakiś nędznik objaśnia te tajemnicze bohomazy gościom zwiedzającym, albo im śpiewa w *argot parisien*, piosenki, które ukazują bezdenną nędzę rodu ludzkiego jak ta, naprzykład, zaczynająca się od słów:

»C'est de la prison que j't'écris;
Mon pauv' Polyte,
Hier je n'sais pas c'qui m'a pris,
A la visite;
C'est des maladi's qui s'voient pas,
Quand ça s'déclare,
N'empêch' qu'aujourd'hui j'suis dans l'tas,
A Saint-Lazare!...«

Kiedy do Château-Rouge wszedłem po raz pierwszy, miałem na głowie cylinder, więc uprzejmy właściciel pałacu wziął mię za Anglika, zwiedzającego osobliwości miasta i z lampą w ręce oprowadzał po swej instytucyi. Była to noc późna. Rozmowa nasza i światło budziły niektórych gości. Z pod muru podniosła się uliczna dziewczyna w łachmanach, z twarzą obrzękłą, spieczoną przez jakiś ogień wewnętrzny i przez kilka minut patrzała na mnie dużemi oczami. Ten wzrok był tak straszliwy, tak nieopisany, że, jeśli wolno użyć słów poety: »aż dotąd pali moją duszę...«

Tego rodzaju wyskok liryczny zdziwił słuchających. Poczytywano go za zwrot krasomówczy i puszczono płazem niefortunną przygrywkę na sentymentalnej fujarce. Judym tymczasem uczuł w sobie istotny »ogień«, który pali duszę. Opowiadał o dzielnicy *cité*

*Jeanne d'Arc*, w sąsiedztwie szpitala Salpetrière mieszczącej kilkadziesiąt mieszkań wyrobniczych. Każda familia ma tam swój kąt, lecz wszyscy przez cienkie ściany słyszą nawzajem swe kłótnie; dzieci całemi gromadami snują się po schodach, rynsztokach i ulicy, zarażając się wzajemnie chorobami i zepsuciem. Kobiety żyją w nierządzie, mężczyźni hulają. Nawet ten cień ogniska domowego znika u mieszkańców *cité Doré*, *cité des Khroumirs*, oraz *cité de Femme en culotte* za północno-zachodniemi fortyfikacyami. Jedno z takich obozowisk składa się z alei chałup, otoczonych śmietnikami, po których łaziła dawniej właścicielka gruntu, ex-śmieciarka, nie wiadomo czemu w męskie szaty ubrana, i zbierała komorne. Drugie zbiorowisko składa się z istnych chlewów, wzniesionych na wolnych terenach, gdzie dzieci śpią na kupach gałganów i brudu, gdzie Haussonville widział wiekową niewiastę, skrobiącą żyły mięsne ze starej kości śmietnikowej na skórkę zczerniałego chleba, — tudzież parę starców, »mających za mieszkanie budę na kołach«, w której ci »ludzie« przenosili się z jednej *cité* do drugiej.

»Niech nas to przecież nie przyprawia o smętek. I my mamy swój własny »Paryż« za murem powązkowskim, oraz dzielnicę żydowską wcale nie gorszą od *cité de Khroumirs*. Warto choć raz w życiu przejść się zaludnionemi ulicami w stronę żydowskiego cmentarza. Można tam zobaczyć wnętrza pracowni, fabryczki, warsztaty i mieszkania, o jakich się filozofom nie śniło. Można zobaczyć całe rodziny, sypiające pod pułapami sklepików, gdzie już niema ani światła ani powietrza. W tem samem gnieździe kilku rodzin leżą stosy wik-

tuałów, załatwiają się rzeczy handlowe, przemysłowe, familijne, miłosne i łotrowskie, praży się jadło na śmierdzących tłuszczach, kaszlą i plują suchotnicy, rodzą się dzieci, i jęczą przeróżni nieuleczalni, wlokący kajdany żywota. Te miejsca odrażające wzdychają, gdy się przechodzi. A jedynem na to wszystko lekarstwem jest antysemityzm.

»A na wsi? Czyliż nie jest zjawiskiem pospolitem lokowanie dwu rodzin z mnóstwem dzieci w jednej izbie, a raczej w jednym chlewie folwarcznym, gdzie znajduje się spiżarnia odgrodzona deskami z kupą gnijących ziemniaków i zbiorem żywności, jak kapusta, buraki i t. d.? Robotnicy nieżonaci (fornale), tak zwani stołownicy, mięso dostają tylko na Wielkanoc i Boże Narodzenie, a tłuszcz w strawie okraszonej stęchłą słoniną, czyli tak zw. sadłem w homeopatycznej dozie, gdyż przy większej ilości, z racyi silnego odoru i smaku sadła, strawa nie byłaby jadalną. Specyalnego pomieszczenia dla siebie ci ludzie nie mają. Śpią w stajniach i oborach pod żłobami, dziewczęta zaś w jednej jakiejś izbie, nie rzadko razem z kupą mężczyzn. U żonatych parobków w jednej izbie, wśród błota zalegającego od ścian na wiosnę hodują się razem dzieci i prosięta«.

Zgromadzeni przyjmowali te wszystkie szczegóły w milczeniu, które nie wiedzieć co oznaczało. Tymczasem mówca wchodził w fazę, o jakiej marzył. Uczuł w sobie jakby zarzucenie się żelaznego haka na czekające ogniwo i szarpnięcie całej duszy na wysokość zimnego męstwa. Wówczas dowodził, że jakkolwiek tego rodzaju objawy dzikości są rezultatem bardzo

wielu przyczyn, to przecież mają także jedną — w obojętności lekarzy.

— Umiemy, — mówił, — pilnie tępić mikroby w sypialni bogacza, ale ze spokojem wyłączamy z zakresu naszego widzenia fakt przemieszkiwania dzieci pospołu z prosiętami. Któryż z medyków tego wieku zajął się higieną hotelu Château-Rouge? Kto z nas tu w Warszawie wdał się w to, jak mieszka rodzina żydowska na Parysowie?

— Co to ma być? — spytał szeptem jakiś głos z głębi sali.

— *Ce sont des* flaki z olejem... — rzekł blondyn o twarzy Apollina, trąc swe binokle w rogowej oprawie. Judym słyszał szyderczy ton i widział złe uśmiechy, ale brnął dalej w swojem podnieceniu:

— Czy nie jest naszym obowiązkiem szerzyć higienę tam, gdzie nietylko jej niema, ale gdzie panują stosunki tak okropne? Któż to ma czynić, jeśli nie my? Życie nasze całe składa się z pasma poświęceń. Wczesną młodość spędzamy w trupiarni, a całość wieku w szpitalu. Praca nasza jest to walka ze śmiercią. Co może się porównać z pracą lekarza? Czy praca na roli, czy w fabryce, czy »zajęcie« urzędnika, kupca, rzemieślnika, nawet żołnierza? Każda myśl tutaj, każdy krok, każdy czyn, musi być zwyciężaniem ślepych i strasznych sił natury. Ze wszech stron, z oczu każdego chorego patrzy w nas zaraza i śmierć. Gdy zbliża się cholera, gdy wszyscy ludzie tracą rozsądek, zamykają w pośpiechu szachrajskie kramy swoje i uciekają, lekarz sam jeden idzie naprzeciwko tej niedoli kraju. Wówczas dopiero widać jak w lustrze, czem my jes-

teśmy. Wówczas słuchają naszych rad, naszych zleceń, postanowień i rozkazów. Ale gdy mór przemija, plemię chlebożerne wraca do swego zgiełku i urządza się tak, jak z tem silniejszym w gromadzie dogodniej. Rola nasza się kończy. Idziemy między tłum i zgadzamy się z rozsądkiem stada. Zamiast ująć w ręce ster życia, zamiast według praw nieomylnej nauki wznosić mur, odgradzający życie od śmierci, wolimy doskonalić wygodę i ułatwiać życie bogacza, ażeby pospołu z nim dzielić okruchy zbytku. Lekarz dzisiejszy — to lekarz ludzi bogatych.

— Proszę o głos! — rzekł wysoki, chudy staruszek z faworytami białemi, jak mleko.

— Proszę o głos! — ostro, z niedbałością rzekł ów blondyn w binoklach, z lekka unosząc się na krzesełku w stronę gospodarza domu.

Przez salę płynął szmer, znamionujący głęboką niechęć.

— Medycyna dzisiejsza, — ciągnął Judym, — jako fakt bierze powód choroby i leczy ją samą, bynajmniej nie usiłując zwalczać przyczyn. Ciągle mówię o leczeniu nędzarzy...

W sali ktoś półgłośno się roześmiał. Szmer był coraz wyraźniejszy i niegrzeczny.

— Ja tu nie mówię o nadużyciach ordynarnych, o praktykach przeróżnych lekarzy kolejowych, fabrycznych i t. d., lecz zawsze o położeniu higieny. Mówię o tem, że gdy człowiek pracujący w fabryce, gdzie po całych dniach płukał sztaby żelaza w kwasie siarczanym, w wodzie i wapnie gaszonem, dostaje zgorzeli płuc i uda się do szpitala, zostanie wykurowany jako tako,

to ów człowiek wraca do tego zajęcia. Jeżeli pracownik, zajęty w cukrowni przy wyrobie superfosfatu przez oblewanie węgla kostnego kwasem siarczanym, gdzie całe wnętrze szopy napełnia się parą kwasu siarkowego i gdzie gazy po spaleniu pikrynianu potasu wdychane wywołują zgorzel płuc, — ulegnie tej chorobie, to po wypisaniu go ze szpitala wraca do swojej szopy. W lodowniach browarów... *pleuritis purulenta*...

— To rzecz jakiejś opieki nad wychodzącymi ze szpitala, a bynajmniej nie lekarza... — rzekł gospodarz.

— Lekarza obowiązek — właśnie wykurować. Gdyby zaczął szukać miejsc odpowiednich dla swych pacyentów, byłby może dzielnym filantropem, ale z wszelką pewnością złym lekarzem... — woła ktoś inny.

— Zawsze »opieka«, zawsze »filantrop« — bronił się Judym. Nie jest moim zamiarem żądać, ażeby lekarz szukał miejsc dla swych uzdrowionych pacyentów. Stan lekarski ma obowiązek, ma nawet prawo zakazać w imieniu umiejętności, ażeby chory wracał do źródła zguby swego zdrowia.

— Dobre sobie! Znakomita idylla! Co też kolega!... — słychać było ze stron wszystkich.

— To właśnie, coście tu szanowni koledzy swoimi protestami stwierdzili, nazywam lekceważeniem i zgoła pomijaniem przyczyn choroby, kiedy idzie o ludzi biednych. My lekarze mamy wszelką władzę niszczenia suteryn, uzdrowotnienia fabryk, mieszkań plugawych, przetrząśnięcia wszelkich krakowskich Kazimierzów, lubelskich dzielnic żydowskich. W naszej to jest mocy. Gdybyśmy tylko chcieli korzystać z przyrodzonych

praw stanu, musiałaby nam być posłuszna zarówno ciemnota, jak siła pieniędzy...

To rzekłszy, Judym złożył zeszyt i usiadł. Nie był to wcale koniec odczytu. Istniała tam jeszcze część trzecia, zawierająca przeróżne liryczne projekty. Do wygłoszenia tego ustępu, oddzielonego w rękopiśmie trzema gwiazdkami, dr. Tomasz nie czuł się na siłach, formalnie tchu nie miał. Miny zgromadzonych, zakłopotanie gospodarstwa, sama wreszcie atmosfera zebrania wyraźnie znamionowała zbazgranie się prelegenta zupełne. Lekcya ani była dość silna, żeby rozjątrzyć i wstrząsnąć, ani dość nowa, ażeby czemkolwiek olśnić. Patrzono na Judyma ze spokojem i bez gniewu, a te wejrzenia mówiły: widziało się, żeś lew srogi, a tyś tylko dudy czyjeś i to kto wie, czy nie ośle...

Gdy się zupełnie uciszyło, wstał z krzesła staruszek z faworytami, dr. Kalecki, i zaczął wyłuszczać swe zdania sformułowane i pełne życia:

— Kolega Judym, — mówił, — dał nam rzecz piękną, pochlebnie i wymownie świadczącą o jego uczuciach altruistycznych, żywości imaginacyi — i studyach w Paryżu. Miło jest w dzisiejszych czasach, niestety, bardzo przesiąkniętych utylitaryzmem, spotkać lekarza z czuciem tak żywem, z sercem tak gorącem i pełnem tkliwości. To też ośmielę się złożyć w imieniu zgromadzonych koledze Judymowi szczery wyraz wdzięczności za jego pracę...

Po tym zwrocie, który Tomaszowi zdał się być natrząsaniem z jego nędzy, dr. Kalecki przystąpił do odczytu ze strony krytycznej i mówił:

— Rzecz poruszona przez kolegę Judyma wła-

ściwie składa się z kilku kwestyi, a zahacza o niebo i piekło. Z tego wszakże, cośmy słyszeli, dadzą się, jak myślę, wydzielić trzy sprawy główne: *primo* — sprawa czysto naukowa, sprawa higieny żywota klas ubogich, — *secundo* — sprawa społeczna, — *tertio* — środki zaradcze. Każdy z tych punktów — to góra obrosła dzikim lasem, zawalona odłamami skał, przecięta jarami, gdzie jeszcze wiedźmy nocują. A więc — co się tyczy punktu pierwszego. Nie będę wspominał o tem, co tu kolega prelegent nam przedstawił. Są to fakty sumiennie spostrzeżone i barwnie opowiedziane. Fakty, dodam od siebie bardzo smutne. Co się tyczy stosunków francuskich, to rzecz prosta, kwestyę muszę zostawić na uboczu, gdyż jej nie badałem specyalnie. Wiem jednakże z pewnością, iż cele miłosierdzia pochłaniają w Paryżu dziesięć milionów, wyraźnie, dziesięć milionów franków rocznie. Nie jest to sumka mała. Wiadomo również, że istnieją tam całe stowarzyszenia łotrów żebrzących, całe syndykaty, utrzymujące baby, które na ulicach symulują porody; rozsyłające mniemanych epileptyków, obłąkanych, wszelkiego rodzaju kaleki — i t. d. Wogóle nie należy zapominać, kiedy się te sprawy roztrząsa, o wiecznie mądrem zdaniu Herberta Spencera: »wymawiając słowa — biedny człowiek, nie myślimy wcale — zły człowiek«. Nie chcę przez to powiedzieć, że lekceważę takie zjawisko, jak *Cité de femme en culotte...*

Przejdźmy do stosunków naszych. Kolega prelegent ubolewał tutaj nad dolą parobków, żydowstwa i t. d. W istocie rzecz się ma i tu i tam nieświetnie, ale z naciskiem to muszę sformułować, choćby się kolega

Judym miał na mnie gniewać, że to nie są rzeczy lekarza. *Amicus Plato, sed magis amica veritas* — to darmo. Tak to wygląda, jakby lekarz pogotowia ratunkowego, wezwany do dwu szewców, którzy się kłuli nożami, zamiast ich opatrzeć, rozpoczął prelekcyę o szkodliwości bójek. Co tu mogą zaradzić lekarze? Oświecać, oświecać ciemny motłoch folwarczny i wpływać na jego chlebodawców — to i wszystko. Ale to się robi, robi na pewno, jak stwierdzają koledzy praktycy z prowincyi. Robi się więcej, niżby sądzić można zdaleka, z wysokości takich czy innych paradoksów. Jak wszędzie, tak i tutaj najlepszą cząstkę obiera sobie, a przynajmniej powinna obierać, filantropia, owa siostra miłosierdzia ludzkości. Patrzmy na stan rzeczy. Mamy przed oczyma wzrost ducha miłosierdzia, ofiarności, istnego zapału klas wyższych do spieszenia z pomocą tam, ku tej nizinie, którą dr. Judym z taką swadą maluje. Ileż to ofiar spłynęło do sakwy jałmużniczej w ciągu tego roku, ile łez otartych zostało bez żadnego frazesu, w sekrecie nawet przed obrońcami »ludu«. Nie będę nazywał, nie będę wytykał palcem tych, z pomiędzy kolegów tutaj zebranych, którzy spieszą na każde wezwanie cierpiącej niedoli, którzy czas swój, zdrowie i życie niosą w ofierze bez myśli o tem, że spełniają jakąś tam misyę. Po prostu czynią, co trzeba, co wskazuje obowiązek serca, sumienia... źle mówię, przyzwyczajenia, albo wprost — nałogu.

— Brawo! brawo!... — słychać było żywe okrzyki ze wszystkich kątów lokalu.

— Ale teraz rzućmy jeszcze okiem... Czy w istocie

tak źle jest z nami? Oto powstają wystawy higieniczne, towarzystwa przeciwżebracze, urządza się przytułki noclegowe, funduje kąpiele dla ludu, zabawy — a wreszcie towarzystwo higieniczne, nic nie mówiąc o dziełach miłosierdzia, dokonywanych w ciszy. Panowie, nie mamy potrzeby rumienić się wobec zarzutu kolegi dra Judyma, jakoby lekarz dzisiejszy był lekarzem ludzi bogatych. We wszystkich tych sprawach, na które patrzymy, stan lekarski nie tylko dawał inicyatywę, ale może z dumą o sobie mówić: *magna pars fui*. Kolega Judym jest młodym człowiekiem. Serce podyktowało mu słowa goryczy bo samo, widać, wiele cierpień zniosło. Dziś on się może jeszcze do zawziętości, do stronniczego uprzedzenia względem medyków warszawskich nie przyzna, ale gdy mu szron włosy ubieli, napewno potwierdzi moje słowa, że wydał dziś sąd zły i krzywdzący. My mu to wszystko już dziś szczerze i zupełnie z serca odpuszczamy...

Judym uczuł w sobie ni z tego ni z owego coś w rodzaju skruchy. Nawet w myśli nie postało mu nigdy przypuszczenie, że to, co mówił o rzeczach higieny, można mu będzie z serca odpuścić. Zanim jednak zdołał zoryentować się w gąszczu nowych, a tak niezwykłych uczuć, wstał doktór Płowicz, który był jednocześnie z drem Kaleckim o głos prosił i ostrym, donośnym tonem rzekł co następuje:

— Szanowny kolega Kalecki sformułował wszystko, co o materyałach przez prelegenta poruszonych rzecby można. Według mnie kolega Kalecki w jednem tylko miejscu użył barwy zbyt nikłej, na odparcie zarzutów doktora Judyma. Mówię o tym punkcie, gdzie autor

odczytu narzuca lekarzowi dzisiejszemu obowiązek ulepszania stosunków społecznych. Jest to pretensya dzika, a przemienia się w napaść formalną, gdy surowy krytyk twierdzi, że praca lekarza polega na udoskonaleniu życia bogaczów, ażeby pospołu z nimi dzielić się okruchami zbytku. Ja tu wiele rzeczy pominę zupełnem milczeniem. Nie będę się rozwodził nad tem, że rdzeniem życiowym, istotą praw ludzkich, niezwalczoną, jest dążność każdego człowieka do kultury, wyższości, życia w pięknem mieszkaniu, nawet, *horribile dictu!* dążność do bogactwa. Nie wiem, dlaczego lekarz miałby być wykluczony od uczestnictwa w podziale tych zresztą marnych bogactw tutejszego padołu. Chyba dlatego, że, jak sam przyznaje nasz srogi zoil, charujemy ze wszystkich zawodowców najciężej i w najpodlejszych warunkach. Ale, jak żaznaczyłem, nie będę się nad tem rozwodził, bo, co tu w bawełnę obwijać, niema nad czem. Gdy doktór Judym zawiesi na swych drzwiach tabliczkę z godzinami przyjęć, gdy będzie miał do okrycia i wykarmienia nietylko swe studenckie ciało, ale także osoby drogiej kobiety i dziecka, wówczas da Bóg doczekać, może usłyszymy od niego mniej surowe słowo na temat przywar stanu lekarskiego.

Chcę tu podnieść rzecz inną, mianowicie zwrócę uwagę kolegi Judyma na tę okoliczność, że jego myśli i wzloty altruistyczne nie mają silnego gruntu. Lekarze nie trzymają wcale w ręku władzy, jaką im kolega przypisuje. Gdyby najszczerzej i najusilniej chcieli zmusić szynkarza z Château-Rouge do zastosowania tak zwanych wymagań higieny, to im się to w żadnym

razie nie uda. Świat, jest to chytry przemysłowiec, który nie myśli wcale pieniędzy zebranych wydawać w tym celu, ażeby biedny pracowniczek mógł sobie lepiej, a wygodniej przepędzać życie. Dla sprawdzenia, że tak jest, trzeba zstąpić z wyżyny na padoł. Kazania choćby i bardzo piękne, nic tu nie poradzą.

To powiedziawszy doktór Płowicz usiadł. Nastało milczenie trwające czas pewien, milczenie kłopotliwe i przykre.

— Chciałem dorzucić parę wyrazów... — rzekł Tomasz głosem wątłym, chwiejnie dźwigając się ze swego krzesełka.

— Prosimy... — szepnął ktoś z głębi.

— Otóż, otóż... nie myślałem, że mój wywód, to jest... moje przedstawienie rzeczy sprowadzi tak niespodziewane opinie. Nie miałem myśli obrażania stanu lekarskiego, owszem pragnąłem go uczcić zapomocą tego, com mniemał o jego roli w społeczeństwie ludzkiem. Zdaje mi się to być dziwnem, że szanowni koledzy znaleźli w tem właśnie kamień obrazy. Przecie ja nie wymagałem od lekarzy ani filantropii, broń Boże! ani tego, żeby nie byli ludźmi bogatymi. Czyż ja to mówiłem? Mówiłem i powtarzam, że lekarz dzisiejszy jest sługą, lekarzem ludzi bogatych. Czy sam jest bogaczem, to rzecz drugorzędna. Ponieważ zaś moja myśl zrozumianą nie została, więc ją rozwijam w inny sposób. Lekarz dzisiejszy nie chce nawet zrozumieć, a raczej usiłuje nie zrozumieć tej prawdy, że sprowadzając do zera posłannictwo swoje, współdziała z chytrym, jak mówi dr. Płowicz, światem przemysłowym. Nie należy służyć *mamonie*. Mieć ją można, —

mnie to ani grzeje, ani ziębi. A teraz co do mieszkań, przytułków i tych poczciwych kąpieli... Sądzę, że szanowny kolega Kalecki źle zapatruje się na znaczenie tych instytucyi. Fundowanie kąpieli dla ludu przez osoby postronne, przez filantropów, uważam za dążność chybioną...

— Paradne! — zawołał ktoś na sali.

— ...Gdyż odwraca naszą uwagę od tego, czyim obowiązkiem jest kąpiel dla swoich pracowników urządzić. Jeśli dyrektor kopalni węgla wychodzi z podziemia, to ma do dyspozycyi wannę, urządzoną przez właściciela kopalni. Cóżbyśmy sądzili, gdyby dla takiego dyrektora fundował wannę kolega doktór Płowicz z własnych, krwawo zapracowanych, a jednak marnych funduszów? Tymczasem, gdy chodzi o jakiegoś człeczynę, poniżej sztygara stojącego na drabinie socyalnej, nic nie mamy przeciwko temu, ażeby doktór Płowicz z własnego majątku fundował mu sposób ablucyi zabrudzonego siedliska duszy. Oto gdzie leży kwestya. Utyskujemy, łamiemy ręce nad brudami miast, nad niechlujstwem ludu, my lekarze, a gdy nastręcza się możność od jednego zamachu skasować niechlujstwo...

— Ciekawa rzecz, gdzie się ta możność nastręcza?

— ...Żądając otwarcia łaźni przez tego, w czyim interesie potem i brudem okryli się ludzie, — my natomiast, do filantropa. To samo...

— Ale kto ma nastawać, kto? Jaki organ, jakim sposobem?

— My, lekarze! My, sól ziemi, my, rozum, my, ręka kojąca wszelką boleść...

— Jakim sposobem, jakim cudem?

— Zmówmy się między sobą, naradźmy, wydajmy uchwałę i walczmy z głupotą społeczeństwa, które nie widzi, co to jest ulica Krochmalna, albo Kazimierz krakowski...

— Kpisz pan, czy o drogę pytasz!

— Bynajmniej! Jeżeli przychodzą do mnie po radę, to niech jej słuchają! W przeciwnym razie nie leczę, nie leczę, wcale! Jeśli nie niszczę źródeł śmierci...

Mówiąc to wszystko, Judym tracił stopniowo a szybko poczucie pewności siebie. Formalne, kategoryczne a śmiałe zaprzeczenia wydarły mu z głowy najsilniejsze argumenty. Chciał mówić jeszcze o mnóstwie kwestyi, ale podobnie jak przedtem stracił odwagę. W tej samej chwili gdy on nie wiedział co właśnie dalej mówić, nastało w sali zupełne milczenie. W przeciwległym kącie grono zebrane przy stoliku zaczęło głośno rozmawiać o czem innem. Gospodarz uniósł się ze swego miejsca i oczyma dał znać żonie, że czas prosić do kolacyi. Większość zebranych wstawała...

Judym usiadł na swem miejscu spocony, z uczuciem jakby miał głowę pełną suchego piasku. Widział, że goście przechodzą grupami do sali jadalnej... Nie był pewny czy ma wyjść, czy zostać. Gdy się wahał, usłyszał obok siebie głos dra Czernisza:

— Kolega będzie łaskaw... Proszę...

Wtedy wstał ze swego miejsca i wraz z innymi przeszedł do pokoju stołowego. Przy kolacyi, która dla niego była prawdziwą męczarnią, miał w sąsiedztwie doktorową Czerniszową, która zadawała mu jakieś uprzejme pytania, zmuszała do wypowiadania bez-

myślnych zdań o literaturze, malarstwie, nawet o jakimś bilu angielskim... Chwilami czuł dziką wściekłość; miał formalny impuls, żeby powstać i zdzielić tę piękną kobietę pięścią między oczy. Jak na urągowisko nietylko trzymał, ale ze wszystkich stron widział w umyśle racye swoje, głębokie fikcye obmyślone w samotności. Nikt nań uwagi nie zwracał, więc mógł w przerwach między pytaniami gospodyni ćwiczyć dowoli swój *esprit d'escaliers*. Kiedy niekiedy tylko zatrzymywało się na nim w przelocie czyjeś spojrzenie i wówczas widział w niem drwinę, której bezlitosne oblicze zakryte było kapturem towarzyskiej przyzwoitości.

Późno w nocy skończyła się kolacya. Część zgromadzenia wróciła do domu. Inni z cygarami wędrowali do gabinetu, niektórzy zaś po angielsku wymknęli się za drzwi. Do szeregu ostatnich należał Judym. W bramie kamienicy, która była oddawna zamknięta, kilku z uczestników zebrania »wypukiwało« stróża, stękającego przed opuszczeniem izdebki. Grono to milczało i gdy się drzwi otwarły, pożegnano Judyma szybkiem »dobranoc« i uchyleniem kapeluszów. Został i szedł w tę samą stronę tylko jakiś otyły, nizki, wiekowy eskulap, którego Judym zauważył na zebraniu. Była to figura rozlana, o żydowskich rysach i ruchach.

— Kolega w którą stronę? — spytał Judym.

— Ja? W stronę Krochmalnej... A kolega?

— Na Długą.

— No to idziemy w jednym kierunku.

— Niekoniecznie.

— Owszem. Dlaczego? Ja mogę zboczyć. Przyznam się zresztą koledze, że milej mi będzie iść razem.

O tej godzinie... poprostu strach jest iść piechotą. W naszej okolicy niech Bóg zachowa!

— A, jeżeli tak.

Judym szedł wielkimi krokami. Grubas biegł przy nim, sapiąc i wydmuchując dym z cygara, którego niedopałek żarzył się w samych niemal jego wąsach.

Gdy już oddalili się znacznie od mieszkania doktorstwa Czerniszów, dr. Chmielnicki rzekł:

— Szczerze dziś współczułem koledze...

Judym miał inne wyobrażenie o tem współczuciu, zauważył był bowiem przypadkowo tłuściocha, jak prześcigał innych we wzgardliwem nadymaniu ust i w obfitości min ironicznych.

— Dlaczegóż to kolega miał mi współczuć?...

— Jakto dlaczego? Czy kolega może dziś czuć przesyt z nadmiaru krytyki życzliwej? U nas, niestety, tak zawsze. Jeżeli kto wyrasta nad głowy tłumu, zaraz go...

— Szanowny kolego, ja nie marzyłem o wyrastaniu nad jakiekolwiek głowy.

— Ja wiem, ja rozumiem! Mówię nie o zamiarze, lecz o fakcie...

— Żałuję teraz, że czytałem moją elukubracyę...

— Ależ dlaczego?

— Dlatego, że ten wyskok sprowadził między innemi takie oto drwiny szanownego kolegi.

— Kolega się mylisz! Na honor... Mnie imponują ludzie odważni. A co znaczy być wyśmiewanym, być zadręczonym tym wiecznym śmiechem, jak chory indyk przez stado, to ja wiem najlepiej.

— Jakto?

— Proszę kolegi od pierwszej klasy przez całe gimnazyum, przez cały uniwersytet, przez całe życie jestem śmieszny. Dlaczego? Ja nie wiem. Oczywiście dlatego przedewszystkiem, że mam przyjemność być z żydów, a powtóre dla tego, że się nazywam Chmielnicki. Przodkowie moi, nawiasem mówiąc, wcale nie lichwiarze, ani nie oszuści, pochodzili z miasteczka Chmielnika, wiec ich zwano Chmielnickimi. Gdyby byli wiedzieli, ile z racyi tego nazwiska wycierpi ich potomek, wcale nie głupi doktór, byliby wybrali dla siebie i dla mnie, nie tyle kozackie nazwisko. Mogliby się byli przecie nazwać Staszowskimi, Stopnickimi, Oleśnickimi, Kurozwęckimi, Pińczowskimi, Buskimi. Byłoby to im, a i mnie, najzupełniej obojętne. Ze mnie drwili nawet profesorowie. Pamiętam w Dorpacie nasz nieboszczyk prosektor pyta mię pewnego razu przy całem auditorium:

— Panie Chmielnicki, czy aby wierzysz w nieśmiertelność duszy?

Pytanie było żartobliwe a kategoryczne. Odpowiedziałem:

— Panie profesorze, tak jest, ja wierzę.

— A gdzież ona jest ta pańska dusza?

— Jakto gdzie? Jest w ciele człowieka.

— W całem ciele, czy w jakiej części siedzi pańska dusza, panie Chmielnicki?

— W całem ciele siedzi, profesorze.

— A jeżeli człowiekowi urzynają nogę, cóż się dzieje z duszą? Czy urzynają również kawałek duszy?

Pomyślałem chwilę i mówię:

— Nie. Wtedy zapewne dusza podnosi się cokolwiek wyżej. Ten dyalog szeroko i daleko uczynił mię sławnym. Gdybym dziś dał światu nieomylny sposób leczenia gruźlicy, zawsze pamiętanoby, że to ten »czerkies« Chmielnicki, co ma nieśmiertelną duszę, która w miarę okoliczności podnosi się wyżej.

— Proszę kolegi, czyliż jest choć jeden człowiek, któryby nie dźwigał na plecach takiego kosza śmieszności? My sami każdemu z przechodzących wrzucamy jakąś bryłkę ciężaru. To samo czynią z nami bliźni nasi. Nic darmo...

— Nie, nie! Co innego jest to, o czem kolega mówisz, a co innego specyalne brzemię moje. To nie kosz, który można zrzucić, lecz garb. Niosę zawsze taki, jakiego ciężar poznałeś pan dzisiejszego wieczora.

— Ależ to co innego.

— Tak, co innego, bo to było, daruje kolega, zasłużone, cokolwiek zasłużone, moje zaś jest to śmieszność, którą się niesie bez własnej winy.

— Więc ja dziś zasłużyłem...

— No, nie! Ja się mało znam... Ale, proszę kolegi, jak można... Takie ostre wystąpienie przeciwko uznanym prawdom, a nawet, powiem sumiennie, przeciwko... oczywistości. Medycyna to jest medycyna, to jest fach. Ja się nauczyłem, wydałem pieniądze, włożyłem ogrom pracy, ja umiem, mam patent — więc leczę. Dlaczego medycyna ma być związana z filantropią, a inżynierya nie, prawo nie, filologia nie!

— Nic nie chcę słyszeć o filantropii!

— No to z tymi obowiązkami społecznymi. Dla-

czego niema obowiązków społecznych rzeźnik, stolarz, poeta, tylko lekarz?...

— Wie pan co, nie mówmy o tem.

— Możemy nie mówić, jeżeli kolega nie życzysz sobie mówić o tem ze mną. Ale mnie kolegi żal.

— Ech, jeszcze stoję na nogach...

— Kolega wspomniałeś o tych biednych szajgecach z Parysowa... Ach, Boże! To była krótka wzmianka, ale w niej malowało się coś takiego... Dzisiaj już mało kto mówi u nas o żydach, jak o ludziach. Jeżeli się o nich mówi, to po to tylko, żeby ich przyrównać do »robactwa«, które oblazło i żre »ludzi«. Kiedy czytam dzisiejsze pisma, pisma, które jawnie wzywają do nienawiści, do wygładzania, wyrzucania, tępienia żydów, dzisiaj i to w imię Jezusa Chrystusa...

— Proszę kolegi...

— Proszę kolegi, ja każde niedzielne wydanie pism... tych pism antysemickich odchorowuję...

— Pocóż się wzruszać byle czem!

— Byle czem!

— No, tak. Pisma takie wydają szuje, nędzne łajdaki, które na szerzeniu nienawiści między ludźmi, na niszczeniu solidarności robią majątki. Z tego brudnego posiewu budują sobie kamienice. Ale czy wy sami dużo zrobiliście dla podniesienia żydowskiej masy?

— Czy wiele zrobiliśmy! Życie w to kładziemy. Pracujemy dzień i noc.

— Więc dlaczegóż kolega mówisz, że nie mam racyi, wzywając medyków do roli, jaka im się należy?

— Bo tamto robimy dla żydów my, żydzi. Tu gra rolę miłość.

— Właśnie, właśnie. Miłość! Mało też zrobiliście, nadymani przez waszą »miłość«. Ja chciałem udowodnić lekarzom, co powinni czynić pod naciskiem nie miłości bynajmniej, lecz wskazań zimnego rozumu.

Byli na Długiej, przed bramą domu, w którym mieszkał dr. Tomasz. Na odgłos dzwonka dr. Chmielnicki zoryentował się dopiero, że, gawędząc, przycwałował aż tak daleko. Właśnie przejeżdżała dorożka, więc ją zatrzymał i, gramoląc się na stopień, perorował:

— Kolega się mylisz! — Medycyna — to fach.

Zlazł raptem znowu, potknął się w rynsztoku, chwycił Judyma za klapę paltota i mówił mu w sekrecie:

— Medycyna, to interes, jak każdy inny. Nie zapomnij kolega o tem...

— Dobrze, dobrze. Nie mam możności o tem zapomnieć, nie mam nawet środka. Ale gdyby mi nawet danem było przeżyć na tym świecie pięćdziesiąt lat jeszcze, ujrzałbym wszystko to, o czem dziś mówiłem, jako fakty zrealizowane. Medycyna będzie wykreślała drogi życia masom ludzkim, podniesie i świat odrodzi.

— Mrzonki...

— Tak samo z pewnością mówili w zeszłym wieku ci »medycy», co to z narzędziami swego »fachu« objeżdżali dwory pańskie, pokornie wypytując się, czy kto nie jest słaby, gdy im kto twierdził, że stan lekarski będzie zajmował to ogromne stanowisko, jakie

już ma dzisiaj. Kolega się żalisz na szyderstwa, które cię spotykają. Pomyśl, coby cię czekało, ciebie żyda-lekarza sto lat temu?...

Doktór Chmielnicki wwalił się w dorożkę i krzyknął na woźnicę, pragnąc zagłuszyć wzmiankę o żydowstwie:

— Krochmalna!...

## SMUTEK.

Piątego października doktór Judym wyszedł na spacer w Aleje Ujazdowskie. Był to dzień piękny. Słońce rozlewało ciepło łagodne i blask jeszcze jasny, ale już odchodzący za dziewiątą górę, za dziesiątą rzekę. Szereg drzew Alei, których widok tak dużo wspomnień nasuwał, okrył się już rdzą czerniejącą. W dali, z pomiędzy koron kulistych jeszcze, wysuwały się gałęzie bez liści, jak smutny jakiś drogowskaz. Ze szczytów sączyły się barwy trupie, zgniłe, czerwonawo-rude i coraz niżej wsiąkało w ciemną zieloność jasno-żółte zniszczenie. Tu liść jeszcze żywy otoczył płomień śmierci, jakby obwódką dziwnej żałoby, gdzieindziej strawił go do rdzenia, pozostawiając tylko prążki zielone. Błękit niebieski, rozciągniony nad tą wązką smugą przestrzeni, był już nikły, zasnuty przędziwem chmurek zwianych i płynących wiotkiemi pasmami w dal niedościgłą dla oka.

Doktor minął bramę i wolno schodził w głąb parku. Ogromne liście klonów płynęły z drzew i migały przed oczyma nad ziemią to tu, to tam jak złote

ptaki. Liście orzechów włoskich i drzew octowych plamiły zieloność trawników, niby krew rozlana i skrzepła. Na dnie pustego parku, w cieniu sokor królewskich, niedostępnym dla słońca, spoczywał i wyciągał się mrok chłodny. Daleko, w przecięciach szpalerowych oświetlone czuby żółtych kasztanów buchały płomieniami, jak jęzory żywego ognia. Wszędzie stał rozlany w chłodnem powietrzu miły, ostry zapach liści zwiędłych.

Unikając miejsc ludnych, Judym szedł dawną aleją na koniec parku. Rosły tam najściglejsze, prawdziwie niebotyczne topole, szeleszczące jeszcze twardymi liśćmi; cicho szumiały srebrne, długowłose wierzby, co patrzą w obumarłe wody kanałów, — i świerki, jak posępne mnichy w czarnych habitach, zamykające odległe widoki, marzyły w samotności. Powiew śmiertelny obszedł już wokoło te drzewa i na straży ich postawił wylękłą ciszę.

Dalekie głębie wydawały kiedy niekiedy szmer prędko gasnący, który i człowieka zmuszał do cichego westchnienia.

Gdy w pewnej chwili rozległ się gwar i śmiech dziecięcy, wydał się czemś dziwnem i rażącem wśród surowego szeptu, który mówi o śmierci.

Na gładkie łączki, niby jeziora śniące między kępami zarośli, zstępowały smugi światła prawie białego i ostrymi rysami przerzynały chłodne murawy. Tuż obok drogi zasłanej liśćmi, taiły się baseny wody nieruchomej, ślepej i głuchej, która przyjmując w siebie poszarpane plamy firmamentu, dawała jakieś kłamliwe ich odbicie, brzask srębrzący się a niepochwy-

tny. Rysowały się tam czarne pnie i gałęzie olch nachylonych. Każdy ptak siadający dla wypoczynku strącał z nich mnóstwo liści. Chłodne oddechy jesienne niosły te zwłoki skurczone i osadzały na zawsze w cichej powierzchni. Zielona woda płaszczyzn bardziej otwartych pieściła w łonie swem gałęzie kasztanów z liśćmi tak żółtymi, że się wydawało, jakoby płynna, jasna farba sączyła się z nich i w głębi odmiennej tonęła. Liście te były zwieszone, przejrzyste, delikatne, a rzucały na środek wody ruchome odblaski, które z jej barwą zlewały się w podobiznę przepysznie lśniącego bronzu. W jednem miejscu słońce, znalazłszy wśród przerzedzonych liści obszerną drogę, rzuciło się w głąb wody, jak wytrysk roztopionego złota o barwie zbyt trudnej dla źrenicy. Między drzewami co chwila migały błyszczące pudła powozów, pędzących na gumowych kołach. Głuchy turkot ich przerywający milczenie był głosem, który z zimnem przyrody harmonizował. To był wyraz bogactwa, czegoś tak obojętnego, jak ona sama. W umyśle budziły się skojarzenia, które milczą, chociaż istnieją, podobnie jak dźwięk w natężonych strunach.

Doktór Tomasz w powszechnej trosce życiowej, nie roztrząsał ich ani kształtował, ale one z dnia na dzień, jak miryady niewidzialnych mikrobów, asymilowały się z umysłowością. Teraz spajały się w silne sylogizmy i od zjawiska przechodziły do zjawiska, sięgając do głębin treści. Były to myśli parweniusza, który trafem stanął u drzwi pałacu kultury. Tkwiła w nich przedewszystkiem skryta pod maską miłości ubogich drapieżna zazdrość indywidualna względem cudzego

bogactwa. Od wieków płonęła, jak piekielny ogień, w sercu przodków, była najsilniejszem, choć najskrytszem ich uczuciem. W duszy ostatniego potomka nie zionęła już z niej śmiertelna, ślepa zemsta, tylko wysnuwał się głęboki, rozległy żal. Niegdyś za czasów dzieciństwa i młodości wytryskiwała z tego samego źródła potężna energia człowieka z ludu, który cwałem biedz musi tam, gdzie wszyscy inni »dobrze urodzeni« równo, systematycznie i bez trudu idą. Później wyłamywały się z tej zazdrości złudy oryginalne, hipotezy, plany i gwałtowne marzenia, które nieraz przeradzają się w namiętności i łamią siłę nawet pieniędzy. Teraz, w dniu spaceru wszystko pierwszy raz owiał jak gdyby chłód jesienny. Judym uczuł w sobie nie dającą się określić jasnemi słowy agonię tych właśnie dawnych marzeń. Uczucie jego znosiło proces podobny do lotu strzały, rzuconej z tęgiej cięciwy i pędzącej jeszcze w przestrzeń, kiedy na wielkiej wysokości zwalnia biegu, uczuwa nagle swój ciężar, który ją wkrótce, choć niewiadomo kiedy odwróci grotem na dół i porwie ku ziemi. W którąkolwiek stronę rzuciła się dusza młodego lekarza, wszędzie uderzała w jakąś siłę zdradziecką, podobnie jak pływak z męską mocą wyrzucający ramiona wśród wodnej przestrzeni, zajęty zwalczaniem tylko jej słabego oporu, gdy się znagła uderzy piersiami o pal nieznany. Judym uczuł pierwszy raz w życiu, że pal mocniejszy jest, niż piersi ludzkie. I pierwszy raz zastanowił się nad tem, że można pływać tylko po wiadomej, przez wszystkich sprawdzonej toni. Z cichego szelestu liści płynęło do jego serca rozumienie, że się na świecie nie jest ni-

czem osobliwem, że się będzie jednym z wielkiego szeregu. Był to jakby bezwiedny rachunek z samym sobą, zbieranie do kupy rzeczy już zdobytych dla sporządzenia skrzętnego ich rejestru. Wypadało z tych obliczeń, że to, co już zostało zdobyte, to jest los bardzo wielki. Ale zarazem nie ginął jeszcze z oczu przestwór dawny, owszem roztwierał się daleki, nieobeszły... To, co chce uczynić, co mógłby, za co życie swe gotów jest położyć człowiek nowoczesny, doktór Judym widział w głębi swego serca. I czuł, że od tych prac musi cofnąć ręce.

Wszystko, czem dusza jego żywiła się tak samo, jak ciało chlebem, w czyn się zamienić nie mogło, musiało pozostać sobą, tem samem, marzeniem. Ze wszystkich tych zazdrości i pragnień ofiarnego działania na dużem polu z żarłocznych ogoizmów, które się przeistoczyły w czucia nadindywidualne, wolno teraz idących drzemać, w przymusową bezsilność, sączył się smutek, jak palące krople trucizny. Napojone nim serce obejmowało świat, ludzi i rzeczy, jakby w minucie pożegnania.

Smutek, smutek...

Rozkuwał marzenia z kajdan myśli i przenikał duszę nawskróś, jak noc przenika wodę. Zostawał z człowiekiem sam na sam, niby ulotny a niewątpliwy cień jego postaci. W którąkolwiek stronę, do jakiej rzeczy wzrok było obrócić, wił się po ziemi niedocieczony a wszędzie obecny.

Doktór Judym szedł pustym szpalerem z głową zwieszoną, z rękami w kieszeniach paltota. Czasami potrącał nogą kasztan świeżo wyłuskniety, błyszczący

 

wśród suchych liści, albo świstał przez zęby aryjkę, gdzieś, niegdyś słyszaną i licho wie dlaczego trzymającą się pamięci. Stanął u końca alei nad wodą i chciał przejść na drugą stronę szosy, ażeby skierować się ku pałacowi, a potem ku wyjściu. Karety jedna za drugą pędzące wstrzymały go na miejscu. Leciała jedna, tuż za nią druga, trzecia... Judym ścisnął zęby i zmrużonem okiem przeprowadzał te pojazdy. Do melodyi jego aryjki przyczepiło się słowo:

— Powozy, powozy, powozy...

Trzeba było jeszcze stać na miejscu, gdyż z oddali pędził ostrym kłusem, czwarty, lśniący wolancik.

Doktór wsparł się na nizkiej baryerze i ociężałym wzrokiem spotykał jadące osoby. Nagle doznał takiego wrażenia, jakby go ze wszech stron otoczyło promienne światło wiosny i zapach róż. W powozie siedziały trzy panienki, z któremi swego czasu zetknął się w Paryżu i jeździł do Wersalu. Starsza z nich, p. Natalia, odwróciła głowę i poznała doktora. Gdy nieśmiałym ruchem niósł rękę do kapelusza, skinęła mu głową i rzekła coś do towarzyszek. Wówczas odwróciła się panna Joanna i Wanda, zajmująca przednią ławeczkę. Doktór zobaczył tylko twarz i uśmiech pierwszej, gdyż konie porwały wolant i uniosły go między drzewa. Uśmiech ten snuł się przez mgnienie oka w jego źrenicach, jak błysk światła. Potem zwolna rozwiał się w nicość.

Promienie słoneczne gasły na wodzie i zamierały w głębinie liści, jakby ustępując przed ostrym chłodem, który się z wody i z ziemi dźwigał. Sennie i z posłuszeństwem, niby na rozkaz tych martwych

fal niewidocznych płynęły żółte liście i kołysały się na powietrzu. Zdawało się, że wybierają dla siebie mogiły, zstępując z ciemnych schodów. Judym szedł w swoją drogę ze spuszczonemi powiekami, zatopiony w marzeniach.

---

## PRAKTYKA.

Proroctwo doktora Płowicza co do dalszych losów Judymowych spełniło się o tyle, że istotnie tablice z wyszczególnieniem godzin przyjęcia umocowane zostały nietylko na drzwiach mieszkania doktora Tomasza, ale także u wejścia do sieni kamienicy, w której zamieszkał. Szyldy te opiewały, że doktór przyjmuje w godzinach popołudniowych, między piątą a siódmą. Całe ranki spędzał w szpitalu na oddziale chirurgicznym, gdzie pełnił obowiązki asystenta. Stołował się, jak za czasów studenckich, na mieście, a od godziny piątej, stosownie do wskazań, spiżowemi literami wyrytych na tablicach, siedział w »gabinecie« aż do siódmej. Nie pozwalał sobie ani najdrobniejszego przekroczenia godziny piątej, tem mniej wydalania się przed siódmą. Już w chwili wynajęcia lokalu zdecydował, że trzymać się będzie tego przepisu jak najściślej, to też wykonywał go ze skrupulatnością nieubłaganą, odtrącając wszelkie impulsy i mamidła przez wzgląd na kształcenie w sobie charakteru, a osobliwie wytrwałości. Prawda, że w ciągu miesiąca września, paździer-

nika, listopada, grudnia, stycznia i lutego, nie zjawił się w tem mieszkaniu ani jeden pacyent, ani jeden »kulawy pies, niosący w zębach rubla«, jednak nie upoważniało to wcale do zrywania tablic, a tem mniej do jakichkolwiek przerw i uchybień w kształceniu woli. Było i jest rzeczą wiadomą, że początki praktyki i t. d. To też doktór Tomasz czekał niezachwianie.

Lokal składał się jak gdyby z trzech pokojów. Największy z nich (właśnie »gabinet«) oddzielony był sienią od znacznie szczuplejszego, który stanowił »poczekalnię«. Zarówno sień, jak poczekalnia przepołowione były forsztowaniami, pierwsza na sień i pseudo kuchnię, druga na poczekalnię właściwą i, jeżeli godzi się tak go nazywać, pokój sypialny. Cały apartament mieścił się na dole, od frontu, co zaopatrywało go wprawdzie w turkot ulicy Długiej, oraz w wilgoć, ale za to pozbawiało światła dziennego. Co się tyczy umeblowania, to doktor Judym żywił i wprowadzał w czyn mniemanie radykalne: Poco — myślał — mam meblować mieszkanie — *cui bono?* Czy mój pacyent zyska co na tem? Czy może ja zapomocą kanap i obrazów zyskam pacyentów? Bynajmniej!

Co postanowił, to wykonał, a raczej nie wykonał w tem mieszkaniu nic prawie. W »gabinecie« stał stolik, przykryty bibułą, na nim kałamarz, pióro i papier do pisania recept. Obok stolika czekały cztery drewniane stołki. Przy ścianie nudziła się stara sofa, obita czemś wzorzystem.

W »poczekalni« mogło się rozsiąść wygodnie co najmniej pięciu pacyentów. Była tam kanapa, dwa fotele, parę stołków, *Tygodnik illustrowany*, pojedyncze

 

numery różowego czasopisma *Głos* i jakiś impresyonistyczny rysunek w ramkach na ścianie. Wszystkie te meble z wyjątkiem naturalnie *Tygodnika*, *Głosu* i rysunku, kupione zostały za gotówkę na ulicy Bagno w pewnym, bardzo renomowanym składzie bardzo »hrabskich« mebli. Podłogi zostały świeżo pomalowane olejną farbą, w przedpokoju umieszczono lustro (wszystko ku wygodzie i niezbędnej potrzebie pacyentów). Co prawda lustro miało właściwości szczególne. Pacyent najbardziej trzeźwo usposobiony, mógł dostać pomieszania zmysłów, ujrzawszy w tej tafli szklanej swe oblicze... Nos ukazywał się tam zawsze rozdęty, jak kolba dubeltówki, jedno oko w czole, a drugie tuż przy prawej dziurce nosa, usta literalnie od ucha do ucha i nad podziw imitujące buzię nosorożca. Obowiązki gospodyni mieszkania, służącej, a zarazem portyerki, którąby na pierwszy odgłos dzwonka otwierała drzwi pacyentom, przyjęła niejaka pani Walentowa, małżonka wędrownego bednarza. Mieszkała w suterynie tego samego domu, a tuż pod »gabinetem« doktora Judyma, co w znacznej mierze ułatwiało komunikowanie się za pośrednictwem walenia obcasem w ziemię. Pani Walentowa, było to babsko stare, grube, skręcone przez rozmaite suterynowe »łamania«, niewątpliwie żłopiące »monopol« w dużej ilości, aczkolwiek w sekrecie, — jednem słowem »grzmot« warszawski.

Jako wyręczycielka »mamy« spełniała czynności mniej więcej piętnastoletnia córka, dosyć ładne dziewczątko, czekając tylko odpowiedniego wieku, ażeby wyjść na ulicę z ciemnicy suterynowej.

Te białogłowy zagospodarowały się w mieszkaniu doktora Tomasza z taką wszechwładzą, że mowy być nie mogło ani o ukróceniu ich praw, ani tem mniej o jakiejś zmianie trybu postępowania. Wyrzec się ich usług nie było możności, gdyż zaczynały obydwie ryczeć jednym strasznym bekiem, wzywając na świadectwo głód, chłód, nędze, bóle, łamania... Procesować się o wszelkie rzeczy ginące nie wypadało, gdyż zaklinały się z miejsca na tyle i takich sakramentów, że chyba człowiek, wyzuty ze wszelkiej delikatności, mogłby je podejrzewać o krzywoprzysięstwo. Co się działo ze świecami, z naftą, węglem kamiennym, cukrem, chlebem, herbatą, masłem, ze składowemi częściami garderoby męskiej i t. d. — to jest wieczną tajemnicą. Każdy prawie przedmiot kupiony za pieniądze tyle istniał w świecie zjawisk rzeczywistych, o ile figurował w rachunku. Poza tem bytował tylko w imaginacyi Judyma, podsycanej przez niektóre ze zmysłów. Świec nabytych nigdy, literalnie nigdy nie było. Wstępując nocną porą w progi domowe, doktór Tomasz zawsze lazł omackiem i nadaremnie szukał zapałek, lichtarza, lampy... Że jednak świece rzeczywiście w mieszkaniu egzystowały i płonęły, o tem świadczyła wielka obfitość kropel zastygłej stearyny nie tylko na lichtarzu, na podłodze, na obiciu kanapy, stołków, na prześcieradłach łóżka, ale także dziwnym zbiegiem okoliczności na inekspryrnablach i żakietach wiszących w szafie na klucz zamkniętej. Lampa była wiekuiście wewnątrz pusta z upalonym knotem, ale za to niewątpliwie naftą pooblewana ze strony zewnętrznej i cuchnąca tem szlachetnem paliwem z odległości pięciu

kroków, co w każdym razie wskazywało, że co kupiono, to wylewano ze szczodrobliwością. Cukru i bułek dr. Tomasz nigdy w szafie nie znalazł, choćby się z głodu wił pod jej drzwiami, natomiast niezamiecione okruszyny słały się wszędzie, a szczególniej w łóżku... Jedna poręcz wyścielanej otomany, kupionej za gruby pieniądz, wkrótce okryta została jakimś szczególniejszym tłuszczem, a druga uczerniona szuwaksem i zwalana błotem, jak to mówią, do cna. Wyobraźnia doktora widziała niby w biały dzień na jednym z wałków cennego mebla wypomadowaną głowę panny Zośki, a na drugim oparte tejże Zośki »kopyta« (wyobraźnia widziała mianowicie »kopyta« — nie nogi). Stolik świeżo »na moje sumienie« politurowany, kiedy go kupowano w sklepie, był wkrótce zbiorowiskiem okrągłych śladów, wymownie świadczących o tem, że jednakże samowar doktorski produkuje znakomity wrzątek. Z początku dr. Tomasz usiłował wytworzyć stosunek pełen życzliwości, braterski. Nim upłynął miesiąc, już walczył, a w listopadzie był zwyciężony i wzięty do niewoli. Odtąd, jeżeli nawet zastał Zośkę wylegującą się na kanapie z »kopytami« obarczonemi błotem, jeżeli nawet spostrzegał Walentową, żłopiącą herbatę z arakiem przy stole obficie zastawionym jego wiktuałami, stosował jedynie możliwą, aczkolwiek mało skuteczną metodę włoską: *guarda e passa.* Nie było innej rady... Zamykał się w swym »gabinecie«, a resztę mieszkania oddawał *in deriptionem...*

W godzinach przyjęcia doktór Tomasz nie ośmielał się czytać książek. Siedział za swym stolikiem wyprostowany i czekał. Tak było we wrześniu, w paź-

dzierniku... Z czasem pozwolił sobie na czytanie gazet w pozie już to siedzącej, już leżącej. Przy końcu grudnia tegoż roku czytanie gazet odkładał w ciągu doby na godziny przyjęć, a po nowym roku zaczął znosić do gabinetu na te właśnie godziny rozległe utwory Zoli, Jokaja, Dumasa, Lama. W sieni zawsze o tej porze siedziała Walentowa na wyścielanem krzesełku z nogami okręconemi jakimś grubym wojłokiem. Z początku tak zwanej wizyty, baba kaszlała, stękała, wzdychała na świadectwo czuwania, — w środku stopniowo zacichała, a wkrótce potem dawało się słyszeć tęgie chrapanie. Bywały dnie takie, że w ciągu drugiej części programu rozlegał się rumor i łoskot. Walentowa w trakcie drzemki zlatywała z chwiejnego krzesła. Po każdym takim wypadku doktór musiał jej dawać kopiejki na arak, gdyż przysięgała na wszelkie świętości, że to słabość z głodu i czczości tak nią rzuca o ziemię. Kilkakrotnie wzywano młodego eskulapa do mieszkańców domu w raptownych wypadkach zasłabnięć przeważnie poniedziałkowej natury. Raz w jesieni przyszedł stary introligator z sąsiedniej kamienicy, zadzwonił, zbudził Walentową i narobił istnego piekła. Judym badał go, stukał, pukał, wyginał, kładł na sofie, gniótł oglądał ze wszystkich stron i wypuścił, rozumie się, bez pobrania honoraryum. Po tem zdarzeniu nastała cisza, trwająca dobre dwa miesiące. Pewnego dnia w marcu, znowu w godzinie przyjęć dał się słyszeć cichy głos dzwonka. Walentowa otwarła drzwi i wpuściła małą, chudą damę w czerni, o twarzy wywiędłej, suchej i mizernej.

Przybyła spytała o doktora Judyma i, powzią-

 

wszy wiadomość, że jest u siebie, weszła do gabinetu.

— Pacyentka, jak mi Bóg miły!... — jął myśleć doktór Tomasz i doznał ciepłego uczucia na samą myśl o pierwszym rublu, zapracowanym we własnym apartamencie.

Dama wśród ukłonów obustronnych zajęła miejsce i rozejrzała się po umeblowaniu.

— Pani dobrodziejka jest cierpiąca? — zapytał doktór.

— O, tak, panie konsyliarzu... Od lat, od całego szeregu lat...

— I jakież to cierpienie?

— Gdybyż to jedno! Cały szereg chorób, które inną osobę, mniej wytrzymałą, dawnoby wpędziły do grobu.

— Ale główna, zasadnicza?

— Czy ja wiem, panie konsyliarzu. Zapewne wątroba...

— Wątroba... Otóż...

— Bo to jakaś duszność, bezsenność, kaszel, bóle...

— Więc są bóle? I to w tej okolicy?

— Ach, jakie bóle! Język ludzki wyrazić tego nie jest w stanie!

— Bóle... rozdzierające, uczucie rozdzierania, nieprawdaż?

— Tak, bywa i to. Nieraz budzę się rano, to jest, podnoszę się rano, przepędziwszy noc bezsenną, i jestem tak upadająca...

— Proszę pani, apetyt?

— Ale któżby na to wszystko zwracał uwagę,

panie konsyliarzu, któżby przykładał swoje cierpienia do tego, co znosi nieszczęśliwa ludzkość.

— Patrzajcież... — myślał Judym — a to co znowu?

— Zapewne pan konsyliarz słyszał... — zaczęła dama, poprawiając się na krześle i przyciskając do piersi swoją torebkę, — o naszem stowarzyszeniu, którego celem jest nawracanie dziewcząt, pojmuje pan konsyliarz, złego prowadzenia się...

Tu dama spuściła oczy i zaczęła patrzeć w kąt gabinetu.

— Nic a nic nie słyszałem... — rzekł Judym.

— Otóż... celem naszego stowarzyszenia jest — po pierwsze.

I jazda! Minęło pół godziny, trzy kwadranse, godzina... Dama bez przerwy mówiła o celach stowarzyszenia. Na początku drugiej godziny zaczęła mówić o środkach, a właściwie o braku środków.

Gdy upłynęło mniej więcej sześć kwadransów od chwili zaczęcia tej dyskusyi, nastąpiła wreszcie prośba o wsparcie zasiłkiem stowarzyszenia, które i t. d.

Doktór bez wahania wyjął rubla papierowego, położył go na stole i rozprostował palcami. Dama niezwłocznie wzięła datek zapisała coś w karneciku i znowu wśród słów biblijnych, ukłonów, uśmiechów i dziękczynień wionęła za drzwi.

Walentowa po wyjściu kwestarki dostała wściekłego kaszlu. Doktorowi, gdy stał na środku gabinetu i świstał przez zęby, wydało się, że »grzmot«, który, rozumie się, podpatrywał przez dziurkę od klucza, pęka ze śmiechu, że się dusi i parska...

 

Takie były w krótkim zarysie dzieje początkowe karyery doktora Judyma. Resztki funduszu, zostawionego przez ciotkę wyczerpały się, kredyt u sklepikarzy był poderwany, a przyszłość nadchodziła mglista. Od chwili wypowiedzenia niefortunnej lekcyi o pauperyzmie w salonach doktora Czernisza, Judymowi było w świecie lekarskim nijako. Nie mógł się skarżyć na to (nie miał prawa), żeby ktokolwiek odsunął się od niego, czy świadomie stronił, ale czuł dokoła siebie próżnię i wyziębłe miejsce. Starsi i młodsi koledzy witali go, jak dawniej, uprzejmie; byli tacy, co może nawet niżej kłaniali mu się kapeluszami, ale w powietrzu drgała rada: bierz manatki, filozofie, i ruszaj w świat, bo tu nic nie wysiedzisz...

Doktor Tomasz rozumiał to sam znakomicie, że w organizmie żywym uczepił się, jak obce ciało, które tamuje krążenie krwi pulsującej. Gdyby się był zbliżył do ludzi wybitnych, zasięgnął ich wskazówek, odwiedzał ich, jako gość i domownik, stałby się wkrótce jednym z trybów tej maszyneryi i zyskał klientelę. Rozumiał to wszystko bardzo pięknie, widział, jakby być mogło, coby należało zrobić, ale dzikie myśli i uparte trzymanie się tego, co one już spłodziły, powstrzymywały go od zmiany trybu postępowania.

Zdecydował się iść drogą, którą sobie był obrał, no, i szedł, rzecz prosta, w niezupełnie całych butach.

W tym czasie (przy końcu marca) wczesnym rankiem przybiegła Wiktorowa z wiadomością o mężu. Rozpowiadała, jak co było głosem z płaczu oślizgłym blizko godzinę, a później, wymieniwszy wszelkie szczegóły skrupulatnie, zabrała się i odeszła do swej fabryki.

Doktór długo siedział w mieszkaniu, pełen myśli iście marcowych. Wszystko szło dziwnie źle, opacznie, piętrzyło się, jak zator kry na rzece, tamując bieg życia. Rozmyślał o tem, że musi obecnie pomagać bratowej, utrzymywać i ją i całą familię w zastępstwie Wiktora, gdyż zostawić ten obowiązek wyjątkowo na barkach biednej kobiety — nie było możności. Tymczasem finanse były w stanie opłakanym. Pełen gorzkich myśli udał się Judym do swego szpitala. Wyszedł stamtąd wcześniej, niż zwykle, czuł bowiem w sobie jakąś niemoc wewnętrzną, przeszkadzającą mu w pracy. Ze wstrętem powlókł się do mieszkania Wiktora. Zastał tam tylko ciotkę, która coś pod oknem ścibała, i dzieci, dokazujące w sąsiedniej izbie. Ciotka miała oczy przekrwione od płaczu, usta zacięte, nos jeszcze bardziej ostry. Przywitała go wzrokiem pełnym niechęci, prawie odrazy. Zawsze na niego krzywo patrzyła, jako na pupila i spadkobiercę siostry swej, którą przed laty okropnemi słowami wyklęła... Teraz, widać, zawziętość wzmogła się i dosięgła ostatniej granicy.

Judym nie zwracał na starą uwagi. Usiadł w kącie i sennem okiem przypatrywał się izbom, dotąd nieuporządkowanym. Widok zdziczałych dzieci nasunął mu myśl, żeby teraz, kiedy nic lepszego nie ma do roboty, zająć się edukacyą tych siostrzeńców. Wziął na spytki chłopca i przekonał się, że urwis czyta jako tako, choć z ciężkiem stękaniem, ale poza tem ani be, ani me. Owa sztuka czytania było to dzieło ciotki, która teraz z pod oka patrzyła na praktyki Judymowe. Karola zaledwie umiała rozróżnić litery.

Był prawie zmrok, kiedy doktór stamtąd wyszedł.

Brnął z nastawionym kołnierzem, ze wzrokiem upadłym, pełen wewnętrznej nudy i lenistwa. Odruchowo, nie widząc ani ludzi, ani ulic, żeglował w stronę cukierni, gdzie czasami czytywał dzienniki. Na rogu, szybko skręcając w dzielnicę ludniejszą, zetknął się z doktorem Chmielnickim.

— O, cóż to kolega tak siarczyście maszeruje? — zawołał grubas, — o małoście mię nie uszkodzili...

— Ja? Ale gdzież tam, — idę...

— Widzę, widzę, — do chorego.

— Akurat! — parsknął Judym na całe gardło.

— Nie do chorego? — spytała chluba miasta Chmielnika z odrobiną ironii w głosie.

— Nie mam wcale chorych! — rzekł Judym i wyciągnął rękę na pożegnanie.

— Zaraz, czekajcie chwileczkę! Jeżeli wam do zdechlaków nie pilno, to dlaczegóż nie uciąć gawędki?

— Kiedy zimno. Chodź kolega na kawę, to będziesz gadał, a ja posłucham.

— Dobra! Idę na świeżego *Kuryera*, akurat mam odrobinę czasu.

Poszli ulicą i wkrótce zasiedli przy marmurowym stoliku w pięknej cukierni. Dr. Chmielnicki wyładowywał ze siebie półgłosem rozmaite świeże »kawały«, z wielkim objektywizmem wciągając do tej seryi »kawały«, gdzie jego rodacy prezentowali się nieszczególnie. Judym śmiał się z anegdot, ale tym śmiechem warg, w którym oczy nie biorą żadnego udziału i który zbyt przeczulona subtelność narratora mogłaby poczytywać za impertynencyę. W trakcie jednej ze

szczególnie jakoby paradnych historyjek, »czerkies« z nienacka zapytał:

— Ale, ale, możebyście wyjechali na prowincyę?

— Czego? — krzyknął dr. Tomasz.

— Nic, nic! Ja tu mam misyę wyszukania asystenta dla mojego kolegi Węglichowskiego, który jest dyrektorem zakładu w Cisach. Jeśli wy nie chcecie, to trzeba będzie szukać kogoś innego. Na śmierć zapomniałem...

— No to ja nie pojadę na prowincyę.

— To nie jest jakaś ordynarna prowincya, jakieś Kurozwęki (choć to stamtąd niedaleko), ani tym podobny Łagów. Uchowaj Boże!

— Nie jadę do Kurozwęk, ani nawet do Łagowa.

— Ach! Czy ja was biorę za kołnierz i ciągnę do Łagowa? Mówię tylko, *relatą refero*. Niezwłocznie obraza! Rozumie się, że wy nie możecie tam jechać. Jakto? Być w Paryżu u Lucas Championier'a i potem jechać do Cisów. To przecie nonzens.

— Spodziewam się, że to nietylko »nonzens«, ale nadto nonzens.

— Bez wątpienia. No, ale nie idzie za tem, żebyśmy nie mieli deliberować nad kwestyą obsadzenia asystentury u tego kochanego Węglicha.

— Co to znaczy słowo Węglich?

— Węglichowski jest moim kolegą z Dorpatu. Mieszkaliśmy razem. Tęgi lekarz... mógłby z niego być, gdyby nie to, że ten człowiek zawsze wszystko brał lekko. Nie lubi czytać — ot co jest. A od chwili znanego przewrotu w medycynie warszawskiej, kto nie czyta, kto nie pozuje na uczonego, ten musi szukać jakichś Cisów. Znasz kolega Cisy?

 

— Nie znam. Słyszałem o tem coś... To w Kieleckiem, zdaje się...

— Aj, »zdaje się«... Jak można takich rzeczy... »Cudze rzeczy znać dobrze, a swoje potrzeba!«

— Kolega mi aplikuje niniejszą sentencyę, w sensie admonicyi, czy tylko jako wzór krajowego przysłowia?

— Doskonale, paradnie! Ale wracając do Węglicha...

— Ach, z tym Węglichem...

— Ależ posłuchajcie! Wy tam młodsi znacie się między sobą, łatwiej możecie wskazać odpowiedniego człowieka. Miejsce wcale niezłe. Dają tam sześćset rubli...

— Fiu — fiu...

— Pyszny lokal i całe utrzymanie.

— A cóż trzeba robić?

— Zwyczajne rzeczy. Głupstwa. Latem zjeżdża się dosyć chorych, więc pospołu z innymi lekarzami trzeba się nimi zająć. Kąpiele, uważacie, wanny, natryski — o takie rzeczy. Figle w gruncie rzeczy, a w okolicy praktyka, jak sto tysięcy dyabłów. To nie jest byle co. Może kto z waszych znajomych skusi się na te Cisy.

Judym zamyślił się, kazał sobie podać jeszcze jedną filiżankę kawy, wypił ją duszkiem, odstawił i rzekł do Chmielnickiego:

— No, dobrze, ja mogę jechać na to miejsce.

— A co? Nie powiedziałem! Pyszna myśl!

— Gdzież jest ten doktor Węglichowski?

— Jest właśnie w Warszawie i jutro zgłosi się do was.

— No to już może ja do niego?

— A dlaczego? Przyjdzie do was. O której godzinie?

— Między piątą a siódmą.

— Tam u was, na Długiej?

— Na Długiej.

— Dobra!

Dr. Chmielnicki zapisał sobie coś w notesiku, patrząc do jego wnętrza lewem okiem, jak przez lupę, złożył gazetę na sąsiednim stoliku, gdzie właśnie jakaś »piękna Iza« szczerzyła zęby do wymokłego lowelasa, i podał Judymowi prawicę.

— A więc do jutra! Świetna myśl...

— Zobaczymy... — mruknął doktór Tomasz, zwieszając głowę.

Gdy dr. Chmielnicki zniknął, pogrążył się w rozmyślaniach:

— Tak, tak... Trzeba dokądś iść, to darmo. Wiktorowa się nie wyżywi, a i ja czyż długobym potrwał z taką sumą pacyentów, jak obecnie. Pojadę. Może nie na zawsze, może na rok, na dwa. Może, gdy wrócę, będzie, do stu tysięcy dyabłów, co innego.

Za powrotem do domu, w nocy i następnego dnia bez przerwy myślał o wyjeździe. Żałował Warszawy całem sercem. Porzucenie jej było dla niego tem przykrzejsze, że sam był z urodzenia łykiem, mieszczuchem, znającym wieś z wycieczek letnich, z romansów, opowiadań ustnych, z rysunków. O tem, jak się to zimą mieszka wśród tych pól olbrzymich, po których zamieć tańcuje, nie myślał nigdy. Teraz to wszystko snuło mu się przed oczyma i przygnębiało.

Nazajutrz o godzinie piątej zasiadł w swym fo-

telu i spokojnie oczekiwał kataklizmów, mających nastąpić. Minęły zaledwie dwa kwadranse, gdy dzwonek mocno szarpnięty zadrżał jakby ze strachu i począł krzyczeć na starą o roztwieranie drzwi co rychlej. Wszedł do mieszkania i zapytał o Judyma pan nizkiego wzrostu w zniszczonych bobrach. Gdy doktór Tomasz wybiegł na jego spotkanie, usłyszał oczekiwane nazwisko:

— Węglichowski.

Był to człowiek lat pięćdziesięciu kilku, nizki, bodaj za mały, chudy, kościsty. Należał do rasy jędrnych, zdrowych, zwinnych staruszków, którzy prawie nie zmieniają się w ciągu piętnastu, dwudziestu lat, od czasu, gdy posiwieli. Twarz miał przyjemną, o rysach regularnych, ze skórą rumianą, koloru wypieczonego chleba. Z natury krótka, kędzierzawa broda, bieluteńka jak mleko i takież wąsy zdobiły ją harmonijnie i dopełniały mile barwę twarzy, nadając obliczu wyraz szczególnego wdzięku. Mimowoli witało się tę głowę myślą: jaki to przystojny, jaki ładny staruszek! Włosy na jego skroniach, zupełnie tak samo białe, jak broda, srebrzyły się dokoła łysiny. Nadewszystko uderzały oczy. Właśnie uderzały. Czarne, jak tarki, błyskotliwe, mieniły się od postrzeżeń, znamionując rozum, a raczej spryt pierwszorzędny. Dr. Węglichowski ubrany był w skromne, czarne suknie, które na nim dziwnie dobrze leżały. Jego zwykły, stojący kołnierzyk, czarny, nie modny krawat, były w harmonijnej zgodzie z całą postacią, a jednocześnie wskazywały na dbałość o siebie, daleką od elegancyi, na czyściuchowstwo, które stało się przywarą, nałogiem, prawem.

Wszedłszy do gabinetu, doktór Węglichowski zmierzył badawczem wejrzeniem (wcale nie ukradkiem, ani przelotnie) wszystkie sprzęty, usiadł na podanem krześle zdala od stolika, strzepnął jakąś prószynkę z klapy surduta, zmrużył powieki i wlepił w Judyma swe mądre oczy. Ten doznał bardzo niemiłego uczucia przymusu, a raczej podwładności wobec tego człowieka, którego pierwszy raz w życiu widział i z którym był mocen rozejść się bez zwłoki. Poznanie wewnętrzne mówiło mu, że nie mógłby władać tym staruszkiem zapomocą żadnej siły: ani zapomocą pieniędzy, ani zapomocą siły nauki. Jakby dla skasowania tej obserwacyi twarz dra Węglichowskiego rozwidnił grzeczny uśmiech:

— Przyjaciel mój z czasów dorpackich, doktór Chmielnicki, mówił mi, że kolega zgodziłbyś się wyjechać z Warszawy w charakterze asystenta...

Słowa te brzmiały miękko i cicho.

— Tak, wspomniałem koledze Chmielnickiemu... — odrzekł Judym, bez własnej woli i wiedzy tym samym tonem, — chociaż zależałoby to od wielu okoliczności.

— Zależałoby od wielu okoliczności... Kochany panie.... Czy znasz kolega Cisy?

— Nie, ani trochę, tak dalece, że wczoraj nie umiałem powiedzieć, gdzie, w jakiej gubernii, w jakiej okolicy kraju leżą te Cisy.

Dyrektor Węglichowski milczał przez taką akurat chwilę, jaka mogła w sobie zawrzeć zdanie: Dziwi mię, że się tem chwalisz...

— Czemu chcesz wyjechać z Warszawy, kochany panie? — rzekł głośno.

— Dla bardzo prostej przyczyny: nie mam tu z czego żyć.

— Z czego żyć... — powtórzył doktór Węglichowski, jak echo takim głosem, jakby nietylko racya wydała mu się zupełnie wystarczającą, ale nadto jakby położenie młodego lekarza bez praktyki uważał za całkiem wzorowe i z prawem zgodne.

— Zresztą, — ciągnął doktór Tomasz niechętnie, — są jeszcze inne powody. Nie chcę ich ukrywać przed panem. Miałem tu w jesieni roku zeszłego odczyt, który jest wyrazem moich stałych i niezmiennych przekonań, a który nie podobał się ogółowi lekarzy. Nie mam nadziei, żebym kiedykolwiek mógł tutaj stworzyć sobie możność jakiejś szerszej działalności.

Dyrektor nie spuszczał z Tomasza oka, gdy ten mówił frazesy powyższe. Oczy jego nietylko przypatrywały się twarzy mówiącego, ale wywłóczyły zeń prawdę, jak magnes rusza i ciągnie z ich miejsc martwo leżące opiłki żelaza. Po długiej chwili takiego indagowania wzrokiem dr. Węglichowski rzekł:

— Wiem o tem. Opowiadano mi tę historyjkę ze wszelkimi szczegółami. Wiedziałem o niej, gdym się tu wybierał. Kochany pan byłeś w Paryżu?

— Byłem.

— Rok z górą?

— Tak jest.

— No i mówisz po francusku?

— Mówię.

— Płynnie, wykwintnie, po parysku?

— Czy tak znowu po parysku, tego twierdzić nie mogę. Mówię z zupełną swobodą.

— Z zupełną swobodą... Czy nigdy nie zdarzyło ci się widzieć za granicą urządzeń kąpielowych? Naprzykład hydropatycznych, wanien?...

— Owszem, widziałem to w Paryżu, a szczególniej w Szwajcaryi, w Albis, w Baden, na Righi i w innych miejscach. Jeździłem tam ze znajomym, pewnym inżynierem z górnictwa, który tułał się po takich zakładach.. Wyciągnąłem go z ogródka systemu Kneippa w Zürichu i woziłem z miejsca na miejsce. Znudziło mię to prędko, więc zostawiłem go na pastwę kąpielowym w doskonałem Righi Kaltbad.

— Kaltbad... Doskonałem... Proszę kochanego pana, czy możesz mi określić, jakie jest twoje usposobienie, czy lubisz towarzystwo, tańczysz, bawisz się?

Judym musiał powtórzyć sobie w myśli to pytanie, ażeby przedewszystkiem samemu sobie zdać sprawę, jakie właściwie jest jego usposobienie.

— Zdaje mi się... — rzekł ze śmiechem, — że dosyć lubię towarzystwo, tylko nie bardzo umiem być człowiekiem miłej zabawy, gdyż pochodzę...

— Kochany panie, wiem, skąd pochodzisz i dlatego tu przyszedłem... — przerwał dyrektor głosem szorstkim, i patrząc mu w oczy tak prosto, jakby w tym wzroku i brzmieniu mowy istotna prawda zamknięta była. — Lekarz, kochany panie, ma w herbie lancet. Zresztą, o czemże to mówimy! Czy znasz warunki utrzymania w Cisach?

— Nie znam.

— Otóż są takie: lokal, światło, opał, całkowite utrzymanie, usługa, konie i t. d. Pensyi sześćset rubli rocznie. Prócz tego możesz czynić użytek z gabinetu

i narzędzi do praktyki osobistej zimą, latem zaś urządzisz sobie ambulatoryum w specyalnym budynku poza parkiem. Istnieje tam nadto mały szpitalik także poza parkiem w dominium pani Niewadzkiej. Bo nie wiem, czy wiesz, że egzystuje zakład Cisy i majątek tegoż nazwiska, własność pani Niewadzkiej.

— Pani Niewadzkiej? — zapytał Judym, oszołomiony mnóstwem tych wiadomości.

— Tak jest. Stara babina, bardzo uczynna, kochany panie, bardzo... Matrona...

— Czy ta pani nie podróżowała w roku zaprzeszłym, czy nie była we Francyi?

— Była, a jakże, z wnuczkami.

— Z dwiema wnuczkami i nauczycielką?

— Tak, z panną Podborską. Skądże wiesz o tem, kochany panie?

— Ależ bo je spotkałem... Jeździłem z nimi do Wersalu.

Staremu dyrektorowi oczy się zaświeciły.

— Widzisz, kochany panie, to ładnie się składa. Nasza dziedziczka będzie zadowolona, gdy w nowym asystencie pozna towarzysza wycieczki. Co się tyczy lekarskiej strony Cisów, to ta przedstawia się, jak następuje.

Tu dr. Węglichowski rozwinął przed Judymem historyę tej instytucyi: pierwsze lata istnienia, rozkwit, później prawie zupełny upadek, blizkość ruiny całego przedsięwzięcia, zmiany różnych zarządów, a wreszcie swój w całej sprawie współudział. Na odchodnem wydobył z bocznej kieszeni surduta sprawozdanie roczne na ozdobnym welinie z widokami, mapą, tablicą i wręczył je Judymowi.

— To wszystko, co mogę powiedzieć na razie. Rozważ to, panie kochany, rozpatrz się. Kiedyż mógłbyś mi dać decyzyę ostateczną?

— Dam ją, dam ją... jutro.

— Jutro, o tej samej porze?

— Tak, ale to już ja zgłoszę się do szanownego kolegi.

— Proszę, proszę... W mieszkaniu Chmielnickiego. Więc o tej porze?

— O tej porze...

— Żegnam cię kochany panie i życzę: przynieś mi jutro zgodę.

Doktór Węglichowski wyciągnął rękę z życzliwym uśmiechem i przez chwilę zatrzymał w niej dłoń Judyma. Później prędko się oddalił.

Było ciemno. Judym nie kazał babie przynosić światła i po wyjściu dyrektora błądził zamyślony z kąta w kąt gabinetu. Już się zdecydował na wyjazd. Rozpoczynał jak gdyby nową stronicę życia. Czasami błąkał się w jego myślach zgryźliwy frazes: filister zabiera się do robienia karyery, filister, filister, — lecz szybko ta gorzka nuta ginęła w cichej rozkoszy, jak tęsknota ściskająca piersi. W mroku napływającym do pokoju zdawały się być z nim uśmiechy dziewicze i śliczne twarze, już prawie zapomniane, uparcie wymykające się od schwycenia ich wyobraźnią, jakby między ciemnemi drzewami szły w przestworze. Ukazywały się i cofały w ciemny obłok. Tam jedna z nich w ramie bujnych, czarnych włosów, twarz biała, tak biała, że zdaje się światło naokół rozlewać.

Oto druga: — szczupła, delikatna. Chowa w sobie milczącą a szaloną namiętność, która porywa, która wypełnia duszę zapachem, rozkoszą i westchnieniami...

## SWAWOLNY DYZIO.

Jednego z ostatnich dni kwietnia dr. Judym ukończył wszelkie rachunki z miastem Warszawą, spakował manatki do walizy, którą bez żadnego zgoła wysiłku mógł nosić z miejsca na miejsce, wręczył honorarya i napiwki starej, Zośce, stróżowi, — wsiadł do powozu i kazał się zawieźć na dworzec. Uregulowanie rachunków odbyło się na konto przyszłej pensyi w Cisach. Dr. Węglichowski nadesłał był Judymowi listownie rodzaj zaliczki w kwocie stu rubli i uprzejmie żądał przyjęcia jej celem spłaty długów i opędzenia kosztów podróży. Dr. Tomasz burzył się w duchu na wydawanie pieniędzy, których jeszcze nie zarobił, ale koniec końców nietylko zużytkował tę sumę, ale zużytkował tak gruntownie, że opłaceniu biletu klasy drugiej w wagonie dążącym z Warszawy, do ostatniej stacyi kolejowej przed Cisami, została mu w kieszeni trocha łupaków miedzianych i dwie marki po siedm kopiejek każda. Gdy pociąg ruszył, Judym wsunął się do przedziału, gdzie służący ulokował jego walizę i znalazł miejsce w rogu sofy. W *coupé* siedziały już trzy osoby:

jakiś wiekowy oficer i dwie panie. Osoby te miały dużą ilość kufrów, a zabierały się do drogi systematycznie: pan umieścił swą szablę i czapkę w rogu, panie rozstawiły obfity zbiór koszyków, skrzynek, pudeł, neseserów itd. Gdy przebyto most, Pragę, resztki zabudowań, gdy nasunął się pierwszy las, brzozy, jak senne marzenia wynurzające się z ciemnej głębiny sosen, pola z ich nikłą runią zbóż jasnych, dr. Tomasz nie mógł od okna wzroku oderwać. W niebiosach, gdzie przecudny, dobrotliwy błękit zdawał się roztwierać ostatnie swoje zasłony, płynęły wiotkie chmurki. Na ziemi wszystko tchnęło życiem, rozrostem i pięknem. Czasami odmykał się przestwór równiny dalekiej, to znowu zasłaniały go wsie, dwory i piękne, prawdziwie czcigodne sylwety kościołów.

Judym nasycał oczy tym krajobrazem, gdy wtem drzwi otworzyły się i nie tyle weszła, ile wdarła się do przedziału dama wysoka i chuda, prowadząc za rękę chłopczyka mniej więcej dziesięcioletniego. Dama była nie piękna i, jak się rzekło, chuda w sposób taki, że widzowi mimowoli przychodził do głowy akt dziękczynienia za to, że istnieją, chwała Bogu, szaty damskie i że uwalniają śmiertelnych od widoku dam tego rodzaju — w negliżu. Nowo przybywająca miała spory nos, usta ściągnięte i oczy zmrużone. Konduktor i jeszcze jakiś funkcyonaryusz wagonowy wrzucali za nią do przedziału kupy węzełków, skrzynek, wózków, drewnianych koni wielkości źrebięcia, parę walizek i pudełek kartonowych. Dama zostawiła to wszystko razem i każdą rzecz z osobna losowi naturalnemu. Zepchnęła tylko niektóre meble, krępujące

swobodę jej ruchów na nogi sąsiadom... Ukończywszy to zajęcie, padła na sofę i wzięła się do oglądania towarzyszów drogi. Mały Dyzio stał pośród sprawunków, nawalonych w przejściu między siedzeniami i, gwiżdżąc, również przyglądał się obecnym. W ręce trzymał brudny patyk ze sznurkiem uwiązanym do niego w kształcie bata. Włosy tego chłopięcia były szare, a rosły jakoś naprzód, w kierunku widza. Cała postać, a szczególniej oczy, włosy i ręce, przypominały rysia, czy żbika. Ubranie było wytarte niepospolicie i świadczyło o jakichś piekielnych walkach z ziemią, wodą i smarowidłami. Pończochy wypchnięte na kolanach i przedziurawione, odsłaniały nogi okryte krwią i mnóstwem siniaków.

— Dyziu, usiądź... — rzekła matka głosem omdlewającym.

Mówiąc to, nie patrzyła na swego potomka, lecz na Judyma, jakby do niego mianowicie zwracała się z tą serdeczną i troskliwą radą.

Dyzio zachował się tak, jakby słowo matki rzeczywiście skierowane było do kogo innego. Z żywą ciekawością pochylił się ku oficerowi, siedzącemu w kącie przedziału i zaczął szczegółowo oglądać guziki munduru, biorąc każdy z nich w palce, zwalane rozmaitemi substancyami. Wojskowy zgodził się bez protestu na tę badawczość młodocianej imaginacyi i z niejakim uśmiechem czekał końca oględzin. Tymczasem Dyzio dostrzegł pałasz, wiszący w kącie na haku i sięgnął śmiałą ręką po tę broń między głowy dwu pań. Wówczas oficer usunął go od siebie i towarzyszek delikatnie, z uprzejmością i w milczeniu.

— Dyziu, zachowaj się, jak należy... — rzekła matka — bo pan oficer wyjmie pałasz i utnie ci głowę.

Żywy chłopczyk znowu nie wysłuchał słów matki z należytą uwagą. Zamierzył był właśnie dostać się do okna i ruszył w tym kierunku po nogach osób siedzących. Rozległ się krzyk dam i pana w mundurze, oskarżający Dyzia, że włazi na odciski. Dyzio z miną tryumfatora, obojętnego na wszystko, przedarł się, dokąd zamierzył. Rozkraczywszy nogi, stanął na dwu siedzeniach i wychylił się za szybę ruchem tak lekceważącym wszelkie niebezpieczeństwo, że obecni w przedziale zobaczyli raptem odwrotną część jego ubrania zdartą, kto wie, czy nie bardziej, niż pończochy. Jedna z pań zwróciła się do stroskanej matki i rzekła:

— Proszę pani, synek może wylecieć za okno...

— Dyziu, na miłość Boską, nie przechylaj się tak bardzo, bo ta pani mówi, że możesz wylecieć za okno!

Znowu żadnego skutku! Przez pewien czas wszyscy byli zaambarasowani tak wypiętą pozą chłopczyny, ale krzyk trwogi buchnął z piersi wszystkich, kiedy malec nachylił się jeszcze bardziej, widocznie chcąc dostać rękoma tabliczki przymocowanej pod oknem. Dla zachowania równowagi stanął wtedy na jednej nodze, a druga, w miarę ruchów tułowia, wierzgała po przestworze około głów pań siedzących Oficer zerwał się z miejsca, ujął kawalera za pasek i wciągnął do wagonu. Wtedy Dyzio sprezentował, co umie. Przedewszystkiem wydarł się z rąk i rzucił znowu do okna. Gdy mu to po raz drugi zostało wzbronione, zaczął szarpać się, kopać nogami na wszystkie strony bez

względu na to, czy razy jego obcasów trafiały w kuferki, czy w stopy z odciskami.

— Proszę pani, — krzyknął oficer, — co to jest! A to ślicznie wychowany chłopak! Może pani będzie łaskawa!...

— Dyziu, zaklinam cię na wszystkie świętości! — wołała zmęczona matka.

Ten nie uznawał się za zwyciężonego: oficera łokciami odepchnął, a w kierunku matki wywiesił język tak długi, że można go było za pieniądze pokazywać. Nie było rady. Zostawiono Dyzia w spokoju, ale i on się jakoś umitygował. Patrzał tylko ze szczególną niechęcią na oficera i spluwał przed siebie. Po pewnym czasie usiadł między matką i Judymem. Nogi wyciągnął aż na przeciwległą ławkę, ręce wpakował w kieszenie kurtki i wlepiał w każdą osobę z kolei swe sowie oczy. Była to cisza pozorna, wkrótce bowiem zaczął atakować Judyma. Zaglądał mu w oczy, wpierał się w niego ramieniem, łokciem kolanem, wreszcie wywlókł z pod ławy swój bat, koniec biczyska wtłoczył w nogę doktora Tomasza i zaczął niem oburącz świdrować. Doktór odjął patyk i usunął rękę chłopca. Nie na wiele się to przydało, gdyż wkrótce zaczęła się ta sama historya. Matka Dyzia przyglądała się tej procedurze z kwaśną miną — a wreszcie wyseplenila:

— Proszę cię, nie rób tego... Po co to? Czy grzeczny chłopczyk bawi się w ten sposób, czy to ładnie? Już tyle razy mama cię prosiła, żebyś nie zaczepiał panów w wagonie. Robisz tem mamie ogromną przykrość... Chyba chcesz, żeby nas i z tego *coupé* pan konduktor wyrzucił, jak z tamtego. Co? powiedz otwarcie...

Dyzio skierował na rodzicielkę przelotne spojrzenie i wziął się do nowej czynności. Na ławce leżał kapelusz Judyma. Chłopczyk chwycił go w ręce sposobem cyrkowym, zaczął kręcić, wyrzucać w górę i łapać na patyk.

— Ach, Dyziu, Dyziu... — jęczała dama. — Nie rób tego, bo ręczę ci, że ten pan rozgniewa się i znowu zwymyśla mamę tak samo, jak pan pułkownik. Chyba chcesz, żeby ten pan zwymyślał mamę. Powiedz otwarcie... Chyba chcesz...

— No chcę, żeby mamę zwymyślał... — mruknął syn nielitościwy.

Nic tedy nie skutkowało. Dopiero znużenie wzięło górę nad żywością usposobienia. Usiadł na wolnem miejscu, ku powszechnemu zadowoleniu ziewnął raz i drugi... Wreszcie usnął. Judym z całą pieczołowitością umieścił jego kończyny na sofie, a sam wyniósł się z przedziału. Nie wrócił tam aż w Iwangrodzie, kiedy trzeba było zabrać walizkę dla przeniesienia jej do innego wagonu. Ze szczerą satysfakcyą myślał o tem, że się z Dyziem rozstaje.

Jakaż była jego złość, gdy ujrzał matkę ze swawolnym synem, wstępujących do wagonu, gdzie siedział. Była tam salka drugiej klasy, wspólna dla znacznej części pasażerów, to też Dyzio używał co się zmieści.

Około godziny trzeciej popołudniu zbliżano się do stacyi, na której Judym miał wysiąść i dalszą drogę, to jest pięć mil, odbyć końmi. Wydobywszy się z wagonu i minąwszy dworzec drugorzędnej stacyjki, zastał duży, parokonny powóz i furmana w błyszczącej liberyi. Walizę przyniósł w ręku bardzo stary żydek

i umieścił ją na koźle. Doktór skoczył jeszcze do bufetu, żeby kupić papierosów. Gdy prędko biegł z powrotem, ujrzał Dyzia i jego matkę sadowiących się właśnie do jego powozu. Ręce mu opadły i dawno nieużywane, szewskie przekleństwo splamiło usta. Znużona matka Dyzia już wiedziała od woźnicy, że ma jechać z jakimś panem, już poznała walizkę i z bardzo ujmującym wyrazem twarzy czyniła zbliżającemu się miejsce obok siebie.

W pierwszej chwili Judym zasadniczo zdecydował się nie jechać za żadne skarby świata. Ale szereg prędkich zestawień i obliczeń funduszu, wywołał w jego umyśle inną decyzyę, a na oblicze wyraz szczęścia i słodyczy. Z tem piętnem na twarzy zbliżył się do damy i zawiązał rozmowę, pełną wykwintnych ogólników. Wkrótce tobołki umieszczone zostały, gdzie się dało, Dyzio, z obawy, ażeby, broń Boże, nie spadł pod koła, wskutek usilnych próśb matki, zasiadł na ławeczce w nogach i landara wwaliła się w bagnistą uliczkę żydowskiej mieściny.

Dama ciągnęła dyskurs nieustannie, wtedy nawet, gdy powóz przechodził istne konwulsye w dołach, wybojach, bajorach i suchych grobelkach miejskich. Judyma mdłości ogarniały na samą myśl, że ta zabawka towarzyska trwać bedzie na przestrzeni pięciu mil, ze wzmianek bowiem matki Dyzia okazywało się, że jadą do Cisów. Ale wkrótce za miastem doznał pociechy, gdy mu prosto w twarz wionął oddech wilgotny, lecący z niedocieczonego przestworza, z pól, lasów. Role, po długich deszczach rozmiękłe, porznięte brunatnemi smugami brózd mokrych już tu i owdzie jaśniały

szaro-żółtą barwą, wysychając w miejscach wzniesionych. Nad nimi kurzył się lekki, siwy opar. Niwki ozimin snuły się wzdłuż i wpoprzek cudną barwą swoją, która w oddali mieniła się rozmaicie, to zielono to niebieskawo, jak kolor piórek na szyi pawia. Wysoko stały białe obłoki, jakby zaspy śniegów spiętrzonych, pomalowane ślicznymi cieniami. W głębi ich skrzydeł rozlegał się istny chór skowronków. Nad jasną runią pastwisk magały się czajki, co chwila wydając okrzyk swój wesoły.

Konie rwały ostrego kłusa i z pod kół zaczęły się rozlatywać bryzgi tężejącego błota. Wiatr przeszkadzał mówieniu, to też »konwersacya« stawała się cokolwiek mniej dokuczliwą. Judym tonął oczyma w nowym pejzażu. Był on dla niego nowym prawdziwie. Wsi, a raczej ziemi, gleby, przestworu w tej porze roku doktór nigdy jeszcze nie widział. Budził się w nim święty instynkt pra-człowieczy, mglista namiętność do roli, do siewu i pielęgnowania zboża. Uczucia jego rozproszyły się i błąkały w tych szerokich widokach. Tam pod lasem, który dopiero zaczęły barwić liście, wśród wzgórza otoczonego drzewami leży miejsce na dom. Olchy i sokory jeszcze są czarne. Tylko wysmukła, strzelista brzoza okryła się już cienką mgłą liści tak szczelnie, że nagie pręty już się ukryły. Dokoła pniów uśmiechają się blado-niebieskie przylaszczki. Obok lasu ciągnie się wązka dolina, a środkiem niej przepływa strumień. Jakiś człowiek idzie po zboczu górki, schyla się, coś tam robi, nad czemś pracuje, coś sadzi, czy sieje...

— Szczęść ci Boże, człowieku... Niech się stokrotnie urodzi twe ziarno... — myśli Judym i za-

tapia oczy w tem miejscu, jakby było domem jego rodzinnym. Ale oto staje mu w oczach inny dom: suteryna, wilgotny grób, pełen śmierdzącej pary. Ojciec wiecznie pijany, matka wiecznie chora. Zepsucie, nędza i śmierć... Co oni tam robili, czemu mieszkali w jamie podziemnej, umyślnie zbudowanej na to, żeby hodować w ciele choroby, a w sercu nienawiść do świata?...

I znowu pieści się z oczyma to wzgórze, uśmiechnięte do słońca...

Powóz minął wioski, karczmy, lasy, rozdroża i mknął gościńcem błotnistym. Słupy wiorstowe dość często nasuwały się przed oczy i upalono już ze dwie mile drogi, kiedy Dyzio dał znak życia. Do tej chwili pogrążony był w pewien rodzaj somnambulizmu. Siedział zmartwiały, jak bryła soli, wyłupionemi oczyma wodząc po rowach. Właśnie Judym tłumaczył matce coś interesującego, gdy uczuł, że go malec zaczyna łechtać po łydkach. W pierwszej chwili sądził, że mu się zdaje, ale wkrótce, rzuciwszy okiem, zobaczył na obliczu łobuza znamię chytrości i wywieszony język, którym ten pomagał sobie niejako w procedurze łechtania. Dyzio wsuwał rękę między nogawicę spodni Judyma i cholewkę jego kamaszka, odchylał skarpetkę i wodził po gołej skórze długą, ostrą słomą. Judym nie zwracał na to uwagi w nadziei, że mania psotnicza ominie małego towarzysza drogi. Stało się przeciwnie. Dyzio wynalazł pod siedzeniem jakiś zabłąkany długi, ostry badyl i tym sięgał aż do kolana. I to mu nie wystarczyło: wyskubywał nitki ze skarpetek, usiłował zdjąć kamasz, zawijał i inekspryrnable dopóki się dało i t. d. Poczęło to wreszcie doktora drażnić. Odsunął

szorstkim ruchem rękę łobuza raz, drugi, trzeci. Wszystko na nic. Język wywieszony na bok coraz bardziej wskazywał, że gotują się nowe eksperymenty. I rzeczywiście: Dyzio zaczął zbierać dłonią duże i lepkie bryzgi błota, które osiadały na wachlarzu powozowym, lepił z nich wielką pigułę i pakował na gołe ciało za cholewkę doktorskiego kamaszka. Judym wyrzucił pierwszą taką bryłę. Gdy malec ulepił drugą i wpakował ją znowu, odepchnął go mocniej, a gdy wreszcie po raz trzeci przygotowywał się do tejże czynności, rzekł do niego:

— Słuchaj, jeżeli się zaraz nie ustatkujesz, to ci zerżnę skórę.

Chłopak uśmiechnął się się zjadliwie, zebrał ręką nową garść błota i rozpostarł je na obnażonej nodze. Wtedy Judym kazał furmanowi stanąć. Skoro tylko powóz się wstrzymał, otwarł drzwiczki, jednym zamachem skoczył na ziemię i wyciągnął ze sobą Dyzia. Tam ujął go za kark lewą ręką, przechylił w sposób właściwy na kolanie i wysypał mu prawą około trzydziestu klapsów z pod ciemnej gwiazdy. W trakcie tej operacyi słyszał rozdzierający krzyk damy, czuł szarpanie za rękawy, nawet drapanie paznogciami, ale nie zwracał uwagi. Matka nieszczęsnego skazańca zerwała Judymowi kapelusz z głowy, rzuciła go w pole i wrzeszczała, jak obłąkana. Gdy doktora dłoń zabolała od razów, wrzucił chłopaka na siedzenie powozu, wyciągnął swoją walizkę, wziął ją w rękę i kazał jechać.

— Proszę pana doktora, jakże to jechać? — rzekł furman, — jakże jechać? Niechże pan doktór wsiada.

— Nie wsiądę? Jedź do Cisów z tą panią. Ja idę piechotą...

Furman zafrasował się i zmartwił. Patrzył to na Judyma, to na damę.

— Jedź, kpie, kiedy ci mówię! — krzyknął doktór w pasyi.

Woźnica wahał się jeszcze i mruczał:

— Pan administrator kazał mi jechać po nowego doktora. Jakże tu?... Ładnie to tak, żeby... Ij... u Boga Ojca!...

Ruszył ramionami i stanął.

— Jedź do licha!

— To choć niech pan doktór wsiądzie na kozieł!

— Nie wsiądę! Słyszałeś?

— Słyszałem. Ale żeby na mnie nie było.

Splunął na bok, podciął z lekka konie i ruszył noga za nogą. Jeszcze obejrzał się i zobaczył Judyma, idącego z walizą w ręku brzegiem drogi. Wtedy ruszył prędzej i powóz oddalać się zaczął.

Doktór maszerował z ciężarem swoim, sapiąc potężnie i klnąc na czem świat stoi. Otwierała mu się przed oczyma najgłupsza pod słońcem sytuacya, ale nie chciał się już cofnąć. Nie był w stanie przywołać furmana i zmienić tonu oświadczenia. Jak na złość nigdzie nie było widać ani wsi, ani ludzi. Gdzieś daleko z za pochyłego garbu wzgórza, z jakiegoś, widocznie rozdołu, wznosiły się nikłe, śniade słupy dymów. Doktór szedł w tamtą stronę suchą miedzą, wśród pól rozoranych. Rzeczywiście ujrzał z wyniosłości dużą wieś w nizinie. Było do niej jeszcze daleko, ale marzenie o wynajęciu furmanki skracało

drogę. Stanął wreszcie u progu pierwszej chaty zmęczony, literalnie w pocie czoła. Mokra i przepadająca rola, w której brnął, ostre powietrze i znużenie wprawiały go we wściekłość. Szedł od chaty do chaty, pytając się o konie. Tu nie było ich wcale, tam nie chciano wynająć, gdzieindziej przypatrywano mu się ze śmiechem.

Wreszcie trafił się pewien młody gospodarz, który odrazu zgodził się jechać. Zaprzągł do wasąga parę małych bułanków i bocznemi drogami, przez dziury i wertepy pomknął, jak strzała. Dobry humor wrócił, a nawet wstąpiła w eskulapa swada burszowska. Trafił się na rozstajnych, błotnistych szlakach sklep z trunkiem. Woźnica tam utknął, zaczął koniom podwiązywać ogony, majstrować koło wozu, wchodzić do izby, wychodzić stamtąd ociężale... Judym zrozumiał, że jego towarzysz ma chęć wypić kieliszek »Leopolda«.

Zawołał tedy:

— Gospodarzu, weźcież sobie flaszeczkę gorzałki.

— Jakąże, proszę wielmożnego pana, wziąć, małą, czy dużą? — spytał tamten bez namysłu.

Judym zawahał się. Jakże było powiedzieć, że małą.

— Juści z tych większych.

W chwili, gdy to mówił, przypomniał sobie stan kasy i przeraził się, czy aby ma dosyć pieniędzy...

Na szczęście wystarczyło jeszcze kopiejek, ale zostało ich kilka zaledwie w kieszeni. Chłop wyjął korek piorunem i zmusił Judyma do »zapróbowania«. Kiedy ten obrzęd został spełniony, sam wziął się do flaszki. Wypił z połowę, resztę schował do kieszeni i wlazł na siedzenie. Teraz zaczęła się prawdziwa jazda!

Małe, zwinne konięta rwały, jak sarny, wóz wpadał w wyrwy, pełne »bajecznego« błota, rozwalał kałuże, stojące między opłotkami i leciał w siarczystych bryzgach. Ziemia w tej okolicy była mocno gliniasta, to też drogi były ślizkie. Wóz na pochyłościach zataczał się, jak na lodzie i tylko szybkość jazdy wstrzymywała go od wywrotu. Z każdej górki chłop popędzał konie i leciał na łeb na szyję, wprost do jamy głębokiej, a kisnącej zwykle w takim »dołku«. Orczyki biły szkapiny po nogach i zmuszały do wściekłego galopu. Z jednej drogi woźnica zawracał w inną, leciał dróżkami wązkiemi, jak miedze, nieraz do szerszych szlaków jechał wpoprzek pola. Judym nabrał przekonania, że nie dąży w kierunku Cisów. Ale było mu najzupełniej wszystko jedno. Ta waryacka wyprawa była dlań źródłem prawdziwej satysfakcyi. Wiatr świszczał koło uszu, błoto pierzchało w nos, w oczy, trafiało do ust i kupami leżało na ubraniu.

Gdy tak przejechali z półtory mili drogi, chłop zaczął śpiewać. Po każdej śpiewce, zwykle nie nadającej się do druku, wysączał z butelki potężny łyk i zacinał konie. Mijali jakieś wsie, objeżdżali lasy, pędzili przez pastwiska.

— Daleko do Cisów? — spytał doktór.

Furman zwrócił na niego białe oczy i coś wybełkotał. Zarazem wrzasnął ochrypłym głosem i z szerszego nieco gościńca skręcił co pary w szkapach na boczną drogę. Miejsce było pochyłe i wóz szedł naukos. W pędzie szturchnął się o przykopę. Judym nagle uczuł, że leci w przestrzeń i padł głową w miękki zagon. Leżał tam bez ruchu, nie mając siły poruszyć

ani rączką, ani nóżką. Widział obłoki, głębię firmamentu i gdzieś daleko smugę lasu. Dźwignął się wreszcie, usiadł i zaczął się trząść ze śmiechu. Był cały okryty gliną, gdyż rozwalił po drodze ze trzy zagony. W sąsiedztwie leżał chłop wśród błota, przysypany słomą siedzeń, i martwym wzrokiem patrzał na wóz, wywrócony do góry nogami. Konie zeszły w rów i z apetytem szczypały młodą trawkę. Od czasu do czasu spoglądały obojętnemi oczyma na gospodarza, jakby mu miały zamiar wyrazić zdanie:

— Widzisz, ośle, coś tu narobił!

Po długiej bezwładności woźnica ruszył się wreszcie i wziął do dźwigania wasągu. Okazało się wtedy, że wóz ma złamaną rozworę. Gdy go postawiono na koła, wyglądał, jak człowiek z przetrąconym kręgosłupem. Chłop, krzątając się koło odrobienia złego, miał ruchy coraz bardziej mdlejące, a koniec końców wgramolił się na wóz i runął do jego wnętrza z jakimś śpiewnym bełkotem. Judym był w położeniu rozpaczliwem. Nogi jego aż do kolan tonęły w rzadkiej glinie, palto, kapelusz, twarz, ręce, okryte były urodzajną, wymierzwioną glebą. Zgnieciona walizka dzieliła losy jej właściciela. Nie było rady...

Zostawił lekkomyślnego woźnicę wraz z końmi i wasągiem na drodze, a sam wziął walizę i ruszył przed siebie. Zbliżał się wieczór. W odległości kilku wiorst widać było wieże kościelne i jaskrawe dachy miasteczka. W tę stronę ciągnął eskulap, pogwizdując i co chwila parskając śmiechem. Upalił już tym trybem ze dwie wiorsty drogi, gdy nagle usłyszał za sobą tętent kilku koni. Z szerokiej alei, przecinającej gości-

niec wypadły dwie amazonki, a obok nich dwaj jeźdźcy, i ostrym kłusem pędząc,. zrównały się z Judymem. Konie ich były zmydlone, zbryzgane błotem i buchały parą. Pierwsza z amazonek jechała w szeregu z młodym człowiekiem, który siedział na ślicznym, gniadym koniu. Był pochylony na siodle w stronę swej damy i coś żywo mówił. Zaledwie obydwoje zwrócili swe twarze w stronę wędrowca... Ale dość było dla Judyma tego momentu, żeby poznać pannę Natalię. Ona raz jeszcze odwróciła głowę, ale tylko na sekundę, na jedną sekundę... Widziała go niewątpliwie, uśmiechnęła się, ale wnet skierowała oczy gdzieindziej, jakby nie miała chwili czasu do stracenia, jakby nie miała prawa zajmować się nawet rzeczą tak śmieszną, jak Judym w tej chwili.

On stał zmaltretowany. Słyszał szatański, parskający śmiech panny Wandy, która w drugim rzędzie z jakimś starszym towarzyszem jechała galopem, ale nie zwrócił na to uwagi. Wszystką pochłonęła tamta, przechylona w siodle ku lewej stronie, z mocą i wdziękiem, jak w krześle, osadzona, podająca się wraz ze skokiem rumaka, cudowna w każdym ruchu...

Stał tak długo w miejscu zgłupiały, śmieszny dla samego siebie i nieszczęśliwy nad wszelki wyraz. W rowie bełkotała woda zbrudzona iłem, jakby i ona śmiała się do rozpuku.

Jeszcze za dnia doktór był w miasteczku i wnet otoczony został przez chmary żydków, dziadów, włóczęgów, którzy go witali chichotem.

— Co to za miasto? — spytał pierwszego z brzegu.

— Miasto? Dlaczego miasto?

— No?

— To miasto nazywa się Cisy.

— Dobrze! — krzyknął Judym z radością. — Szajgec, weź ten kuferek i nieś go za mną do zakładu. Wiesz, gdzie zakład?

— Jak ja nie mam wiedzieć, gdzie zakład? Pan dobrodży z daleka? Pan dobrodży sze cokolwiek zabłoczuł...

— To nie twoja rzecz, krajowy cudzoziemcze! Nieś to do zakładu.

Długie, starodrzewne aleje, zniżające się ku wielkiemu parkowi otwarły się przed oczyma doktora. Tragarz objaśniał go, gdzie jest zakład, gdzie kursal, gdzie zamek, gdzie pałac »hrabiny«, gdzie czyja willa. W alejach i w parku było pusto, to też nikt nie spostrzegł przybycia doktora, odzianego w gliniany kostyum.

W dużym przedsionku zakładowym żydziak wynalazł człowieka mianującego się portyerem, który z rozdziawioną gębą i niedowierzaniem odprowadził przybysza do pokojów »młodego doktora«. Judym jął co tchu zrzucać z siebie mokre obuwie i ubranie, myć się i przebierać w suchy, czarny kostyum. Wkrótce był gotów. Za chwilę miał wyjść, chciał bowiem przedstawić się swoim nowym zwierzchnikom. Czekał tylko na paltot, który portyer zabrał do czyszczenia. Skorzystał z tej chwili, żeby przypatrzeć się mieszkaniu. Składało się z dwu pokojów, a raczej z dwu salonów. Za oknami, przy których stał, o jakie pół łokcia wyniesionemi nad poziom, ciągnęła się naprost nich wązka aleja młodych drzew, przeważnie grabowych. Jedne z nich były już tęgimi pniami, kiedy inne

trwały jeszcze w okresie pacholęctwa. Gałęzie ostatnich były poobcinane i wyglądały, jak urwisy w szkole ze łbami ostrzyżonymi przy samej skórze. Równolegle z tą aleją ciągnął się duży, kilkułokciowy, stary i gruby mur, nakryty mocnym daszkiem z cegieł. Oblekła go już pleśń, zielona wilgość powyżerała od ziemi. Teraz z wiosną i na nim puszczał się młody, aksamitny porost. Między szeregami drzew szła w odległą dal parku wązka, wygracowana dróżka. Środkiem była już sucha, ale w zagłębieniach, jej grzbiet ograniczających nęciły oko ciemno-siwe pasy wilgoci. Młode listki grabowe, które dopiero co na świat się urodziły, zmarszczone i tak delikatne, jakby się kurczyły nawet od pocałunków promieni słonecznych i od westchnień pachnącego wiatru, zdawały się badać za pomocą delikatnych cieniów swoich żółty piasek, ciemną, pulchną ziemię i mdłe trawki, wybijające się z gruntu. Były tak cudne i tak wesołe, jak oczy dziecięce. Gruby mur za którym już się kryło słońce, rzucał na alejkę i jej śliczne tajemnice, cień czarny, niby drzwi więzienia. Tylko w samym końcu parku, gdzie się mur zwracał pod kątem prostym i przecinał odległy wylot alei, jeszcze chropawa powierzchnia miała na sobie świetlistą suknię. Zdawało się, że ciężka ściana ma w tamtem miejscu jakby swoje oblicze, pełne zadumy, że w głąb rozkwitającego parku spogląda niewidzialnemi oczami i że powszechny, radosny uśmiech stamtąd wypływa. Bliżej okien, za murem rosły dwie kolosalne topole. Pnie ich sękate wydzierały się z głębi wiotkiej tkaniny młodocianego zadrzewienia, jak torsy okute w kolczugę, kryjącą mięśnie tak silne i nie dające się przebić, jak

ona. Skądś z wysoka, nie wiadomo z którego drzewa leciały na ścieżkę złoto-różowe łuski pęków...

Judym stał przy otwartem oknie. Czuł w sobie zjednoczenie z tem, na co spoglądał. Przez jego ciało zdawała się płynąć siła natury, stwarzająca rozrost drzew i wykwitanie liści. Judym uczuł w sobie tę siłę i uczuł władzę spożytkowania jej w wielkiej pracy. Nadzieja trudów, które przewidywał w tem miejscu, poiła go rozkoszą. Patrzał w przestrzeń i uderzał ją silnemi oczyma.

Nareszcie, nareszcie! Oto miejsce, gdzie mu będzie wolno włożyć jarzmo i drzeć starą glebę głęboko sięgającym pługiem. Będzie tu siał, będzie pracował za tłum ludzi, będzie oddawał światu wszystko, co wziął od niego. Nie pożałuje ramion, nie będzie skąpił potu! Niechże wiedzą, jak się wywdzięcza ten z motłochu, kogo przyjmą do swej kultury, komu udzielą cząsteczki swych praw do czynu.

W owej chwili siły jego duszy spoczęły na czemś nieuchwytnem, jakby na dźwięku płynącym w przestrzeni, jakby na szeleście grabowych liści, który pośród drzew zamierał.

Było to krótkie, radosne błogosławienie tajemnych potęg świata za owo święte prawo człowieka do pracy i za siły, za mocne barki, które do niej służą.

---

## Cisy.

Zakład kuracyjny »Cisy« leży w dolinie między dwoma łańcuchami wzgórz, porosłych pięknym lasem. Środkiem doliny przepływa strumień, tworzący w samym parku dwa stawy, z których drugi jest motorem maszyn zakładowych. Dokoła stawów ściele się olbrzymi park, łączący się z lasami na wzgórzach sąsiednich. Zakłady kąpielowe (t. j. łazienki, hydropatya, natryski etc.) mieszczą się w gmachu, zwanym, Bóg raczy wiedzieć dlaczego, »Wincentym«, a stoją nad drugim stawem. Z tej samej strony na wzgórzu świeci się wspaniały kursal, otoczony gajem roślin, klombów kwiatowych, gazonów, trawników, alejek zacisznych i szpalerów. W obrębie parku, tudzież poza nim, przy drogach, dążących w różne strony, a nawet wprost wśród lasu stoją wille. Jedne z nich skupiły się w szereg, jak chaty we wsi, inne szukają samotności i odgradzają się od świata gąszczami ogrodów.

Z drugiej strony stawu, w połowie wyniosłości królującej nad okolicą, wznosi się pałac i liczne murowane zabudowania dominium Cisy. Jeszcze wyżej za

pałacem, na szczycie góry widać kościół z dwiema strzelistemi wieżami, które ukazują się oczom wszędzie, gdziekolwiekby się w okolicy było.

Nazajutrz po przyjeździe dr. Judym składał wizyty, zwiedzał miejscowość, uczył się tajemnic zakładu — i był oszołomiony. Miał tutaj nietylko poznać wszystko z dokładnością przed zaczęciem zbliżającego się sezonu, ale nadto brać udział w rządzie...

Dziś tedy obznajmiał się ze składem chemicznym źródeł, jutro studyował maszyny, wprowadzające wodę do wanien, badał system ksiąg kancelaryjnych, oryentował się w procedurze gospodarczej, w prowadzeniu hotelu i t. d. To tu, to owdzie ukazywały się przed nim całe perspektywy rzeczy, których wcale nie znał, i nikły, przywalone innym szeregiem zjawisk. Nadewszystko interesował go szkielet przedsiębiorstwa, jego budowa materyalna. Zakład leczniczy Cisy był istytucyą akcyjną, o kapitale stałym wysokości blizko trzechkroć stu tysięcy rubli. Spólników było dwudziestu kilku. Ci wybierali z pośród siebie radę zarządzającą, złożoną z prezesa i dwu wiceprezesów, komisyę kontrolującą również z trzech członków, tudzież dyrektora, administratora i kasyera. Obowiązki prezesa rady zarządzającej pełnił wybitny adwokat, stale mieszkający w Moskwie. Jednym z wiceprezesów był *honoris causa* wspólnik Leszczykowski, zamieszkały aż w Konstantynopolu, a drugim bogaty przemysłowiec warszawski pan Stark. Dyrektorem był dr. Węglichowski, administratorem Jan Bogusław Krzywosąd Chobrzański, wreszcie kasyerem, oraz szczęśliwym małżonkiem damy, z którą dr. Tomasz podróż odbywał

z Warszawy i ojcem swawolnego Dyzia, niejaki pan Listwa.

Sporo czasu upłynęło, nim dr. Tomasz nauczył się historyi tego zakładu, która w Cisach była istotną *magistra vitae.* Historya, a raczej rozmaite minione historye miały tam wpływ dobitny na bieg spraw codziennych. O ile ją dr. Tomasz mógł poznać z ust wielu, historya zakładu była następująca.

Cisy znane były ze swych wód jeszcze w początkach zeszłego stulecia. Tu i owdzie trafiają się w pamiętnikach wzmianki, że w Cisach leczył się taki a taki dygnitarz. Nie była to jednak miejscowość kuracyjna w szerszem znaczeniu tego wyrazu. Korzystały z wód rozmaite osoby, ale tylko dzięki uprzejmości właściciela dóbr cisowskich, źródła bowiem znajdowały się w parku, otaczającym stary zamek rodowy. Od niepamiętnych czasów majątki te należały do rodziny Niewadzkich. Ostatnio był ich właścicielem mąż owej staruszki, którą Judym poznał w Paryżu. W ciągu siódmego dziesiątka lat tego wieku ów pan Niewadzki wyjechał z kraju. Kiedy powrócił do Cisów, był starcem złamanym i nieuleczalnie chorym. Ogrom cierpień przeżytych zmienił zasadniczo jego poglądy. Główną myślą starca było teraz dobro bliźnich, a że sam był chory, więc i uczynki jego miłosierne skierowały się przedewszystkiem do wspomagania ludzi cierpiących. Kąpiele w wodzie ze źródeł w jego parku uznane zostały za skuteczne, więc p. Niewadzki wszystkie siły wytężył w tym celu, żeby urządzić zakład leczniczy w Cisach. Dla przyspieszenia tej sprawy darował projektowanej instytucyi miejscowość, obejmu-

jącą kilkadziesiąt morgów przestrzeni wraz z parkiem, źródłem, częścią przyległych lasów i z budynkami, jakie się w obrębie terenu znalazły. Sam stworzył spółkę, do której wciągnął przyjaciół, przeważnie po świecie rozsianych. Największą sumę udziałów wziął stary kolega i towarzysz, kupiec z nad Bosforu, Leszczykowski. Inne rozebrali adwokaci, lekarze, przemysłowcy. Na czele zakładu stał w pierwszych latach dyrektor nieodpowiedni, który usiłował z tej nowo powstającej miejscowości uczynić odrazu kurort europejski. Budowano tedy wspaniałe gmachy i wille, a urządzano je z przepychem, któryby mógł zadowolić najdalej sięgające wymagania. Te ryzykowne eksperymenty popchnęły całe przedsięwzięcie ku ruinie. Do Cisów zjeżdżały z całego kraju, a nawet z daleka familie arystokratyczne dla rozrywki. Zakład usiłował zyskać sobie opinię stacyi letniej europejskiej i urządzał się coraz wykwintniej. W tym czasie zmarł założyciel, Niewadzki. Na posiedzeniu rocznem okazało się, że Cisy nietylko nie dają żadnego dochodu, ale wykazują deficyt. Wobec tego, a głównie, jak to zwykle u nas, wobec ubytku podpory, która tę rzecz dla idei dźwigała, całe przedsięwzięcie chwiać się zaczęło. Wówczas zgłosił się ów handlarz dywanów z Konstantynopola. Wsparł ducha stowarzyszonych, załatał deficyt swoim groszem, otwarcie wymógł na ówczesnym dyrektorze zrzucenie się z tej godności i znalazł nowego, również kolegę swojego i nieboszczyka właściciela, mianowicie dra Węglichowskiego, który bodaj czy nie więcej od dwu pierwszych świata obszedł. Gdy tylko doktór Węglichowski ster wziął w ręce, zaraz rzeczy poszły innym

torem. Przedewszystkiem nowy dyrektor zrzekł się prowadzenia części gospodarczej. Mianowano administratorem znowu wspólnego kolegę Krzywosąda Chobrzańskiego.

Następny rok nie był już wcale szeregiem zabaw, tańców, teatrów, wyścigów, gonitw, strzelań do gołębi, polowań etc., lecz istotnym sezonem kuracyjnym. Wzięto się do reorganizacyi łazienek, hotelu itd., słowem do budowania istotnej stacyi leczniczej. Dr. Węglichowski projektował wiele nowych rzeczy i przedstawiał je radzie. Jeżeli się nie zgadzała, pisał list do Leszczykowskiego, a ten bez wahania załatwiał sprawę własnym sumptem. Taka stanęła napisana umowa.

Stary Leszczykowski był wdowcem. Miał pasierbów greków, którzy go ssali, jak gąbkę. Był to człowiek bogaty. Burza wyrzuciła go na brzeg Bosforu w jednym obdartym surducie i w krypciach bez podeszew. Bywał tragarzem okrętowym, zamiataczem ulic, roznosicielem dzienników europejskich, ajentem w pewnym sklepie francuskim, subjektem, komiwojażerem, a wreszcie właścicielem ogromnych magazynów, handlarzem dywanów, przemysłowcem itd. W trakcie tych zajęć z jego pięknego nazwiska zostały tylko pierwsze trzy litery, możliwe dla wymówienia w handlu persko-turecko-angielsko-francuskim. Sam się, nieborak, zwał starym »Les« i odmieniał ten strzępek przez przypadki. Leszczykowski był synem ubogiego szlachcica z pod Cisów. Już w sławnej szkole wojewódzkiej kieleckiej zbratał się z pankiem Niewadzkim, z Węglichowskim i Krzywosądem. Twarde życie i dziwne jego koleje na zawsze wyrwały go ze strony rodzin-

nej. Syn rolników od prapradziada Piasta został kupcem. Pracował po kilkanaście godzin na dobę i nigdy sobie nie udzielał świąt, ani wakacyi. Był to nie człowiek ułomny, lecz jakby zbiorowisko sił maszyny stalowej, zuchwałych i niezwalczonych. A przecież ten »M. Les« wśród wielorakich prac swoich dniem i nocą myślał o czem innem. Trzeźwy, chytry handlarz, którego ani ormianin, ani greczyn nie ubiegł w sprycie, którego anglik nie wyprzedził w żelaznej systematyczności, był w głębi duszy marzycielem i ascetą. Sypiał na twardem łóżku, mieszkał w ciasnej izbie, ubierał się byle jak. Pewnę sumę przeznaczał »ssakom« — pasierbom, a resztę słał w różne strony. Co dnia prawie na jego biurku leżał list w »ludzkim« języku, pisany nieraz z dalekich lądów świata. I żaden nie był odrzucony. M. Les był bystry. Nigdy go nie podszedł oszust i nie wyłudził grosza, ale ostatni uczciwy fantasta ciągnął zeń tysiące franków. Najukochańszą wszakże myślą M. Lesa był zakład leczniczy cisowski. Stary, szczwany kramarz śnił wiecznie o przekształceniu swego zakątka, o ucywilizowaniu go jak najwyżej. Gromadził pieniądze, odkładał żelazne sumy, ciułał, jak sknera pewne »ciche kasy« na niesłychane przedsiębiorstwa, jakie założy pod Cisami w swoim Zagórzu i okolicy, gdy tylko wróci...

»Ciche kasy« brał pierwszy lepszy inżynier, jadący na studya, malarz potrzebujący Paryża, lekarz, technik (zawsze wynalazca *in spe*), wreszcie inny jaki. I znowu zaczynały się specyalne operacye w celu napełnienia próżni. Tak płynęły lata. Gdy Niewadzki ufundował zakład leczniczy w Cisach, który, rzecz

prosta, nie mógł pozostać bez dodatniego wpływu na los okolicy, stary Leszczykowski mruknął: trzeba to wspierać. I wspierał po swojemu, ze swoją już nie żelazną, ale stalową wytrwałością i ze swem dziecięcem zaufaniem.

W kilka dni po przyjeździe do Cisów doktór Judym otrzymał z Konstantynopola ogromny list. W piśmie tem stary emigrant rekomendował się młodemu lekarzowi i zawierał z nim znajomość. List pisany był straszną polszczyzną. Plątały się tam wyrazy angielskie, francuskie, greckie, bułgarskie, a częstokroć stały dźwięki zagadkowe, prawdopodobnie tureckie, czy perskie. Wewnątrz była gabinetowa fotografia starego Lesa. Ten list i fotografia dziwnie się dopełniały. Zdawało się, że spojrzenie oczu mówi to wszystko, co się w słowach zawrzeć nie mogło, czego język wyłamany w służbie pieniędzy oddać nie miał siły. Trudno było wzrok oderwać od chudej twarzy i od ciemnych, wlepionych w patrzącego oczu. Silnie sklepione czoło, nos wystający i wązkie usta miały w sobie piętno rezygnacyi, niezłomności i uporu. Judym przeczytał kilkakrotnie ten list cudaczny i dziwnie przyzwyczaił się do jego stylu, jakby go uznał nietylko za zjawisko normalne, ale nawet za konieczne. W zdaniach powtarzających się to tu, to tam, opisywał się ten człowiek daleki, a tak przecie mocny, że zdawał się chodzić po miejscach, o których w liście mówił. Znał w Cisach wszystko od *a* do *z*. Zwracał uwagę młodego lekarza na drobiazgi, których ten wcale jeszcze nie dostrzegł. W końcu listu była prośba o fotografię i częste, bardzo częste listy.

»Kocham, pisał M. Les, młodych, bo oni śmiało biorą się do pracy. Ludzie to są zwykle *lazy*, wiesz pan doktór, jak Anglik powie. A ja nie cierpię! Człowiek nasz, Polak, coś zrobi i wnet się zestarzeje. Poto pracuje, żeby nic nie robić. Wtedy, jak nic nie robi, korzysta z pracy młodego, jego krew pije i jego ramieniem się podpiera tego młodego, a sam udaje, że to jego jest *labour*. Nie tak robi Anglik. On wiecznie idzie! *Forward!* Do końca życia. A nie może już nastarczyć, to nie leży innym na drodze, idzie na świeżą trawkę, do spacerowania. Wtedy młody na jego miejsce przychodzi i od tego miejsca rozpoczyna, gdzie tamten stanął. A my to jeszcze wierzymy w *kismet*, jak Turcy. Kiedy przecie wszystko leży tu! Wszystko można zrobić! Gdybym ja był jeszcze młody, jabym wszystko zrobił. Mnie się zdaje, że my będziemy razem się wspierali, mój panie doktór Judym...«

Od chwili ujęcia steru przez doktora Węglichowskiego i administracyi przez Krzywosąda upłynęło lat kilkanaście. Cisy stały się zakładem uczęszczanym, renomowanym, znanym powszechnie. Osobą wielce wpływową był administrator Krzywosąd Chobrzański. Był to stary kawaler, przystojny, wysokiego wzrostu i pięknej figury. Nosił długie, spuszczone w dół wąsy, które zarówno jak resztki włosów na skroniach czernił tanią farbą, wskutek czego miały kolor zielonkawo szary. Ubierał się prawie zawsze w długie buty, szerokie hajdawery i coś w rodzaju czamarki. Człowiek ten przeszedł Europę wzdłuż i wpoprzek. Mówił chyba wszystkimi językami indo-europejskimi, a przynajmniej chętnie wygłaszał słowa w najrozmaitszych dya-

lektach, — i wszystko prawie umiał. Jeżeli była mowa o chemii, wtrącał się do takiej rozmowy częstokroć trafnie. Jeżeli kto zaczął dyskurs o malarstwie, rzeźbie, literaturze, kucharstwie, złotnictwie, rymarstwie, podrabianiu obrazów, handlu starożytnościami, krawiectwie, szewstwie, płatnerstwie, a przedewszystkiem o wszelkiego rodzaju mechanice, Krzywosąd z każdej z tych dziedzin zdradzał zapas wiadomości fachowych. Nie dość na tem: znajomość każdego z tych kunsztów umiał czynem potwierdzić. Na wigilię on sam gotował zupę i przyrządzał ryby. Wprawdzie zupa była oryginalna, bo jeśli ją przesolił w sposób żołnierski, to dla złagodzenia ostrości smaku sypał do wazy funt cukru. Wszystkie siodła w zakładzie były jego roboty, a raczej jego przeróbki. Jeżeli jakieś stadło zaręczało się lub pobierało w ciągu sezonu, Krzywosąd wypraszał sobie tę łaskę, żeby on mógł robić obrączki. W całych Cisach pełno było dzieł jego. Sam reparował wszelkie maszynerye, murował z mularzami, rąbał i piłował z cieślami, heblował i malował ze stolarzem, kopał z ogrodnikiem.

Dyrektor Węglichowski miał zegarek emaliowany, dar Krzywosąda i jego dzieło. Tak przynajmniej świadczył podpis wydrapany na kopercie tego zegarka jakimś ostrym rylcem: »*J. B. Krzywosąd de Chobrzanowice Chobrzański eques polonus fecit Lutetiae Parisiorum. Anno Domini 1868*«. W sieni kursalu stał zegar szafkowy, grający na żądanie, za pociągnięciem sznurka ucieszną aryjkę. Zegar ten był jakoby rozbity i odbudowany przez Krzywosąda na podziw.

W czytelni zakładowej stało jego arcydzieło,

t. zw. *Groupe allegorique*. Był to stolik, na którym sklejone kamienie, kryształki, ułamki porcelanowe, szkła, korale i t. p. tworzyły jakieś niby wirchy, jeziora, pieczary. Z głębi tych pieczar miał wychodzić na pogodę zakonnik, ale, co prawda, nigdy nie wychodził. Szczyt zdobiły rozmaite alegoryczne figurki, kogutki, żołnierzyki, chorągiewki, wieńce cierniowe, a w środku siedział biały ptak ze szkła w rodzaju gęsi, z czarnemi oczami, co mu nadawało pozór, jakby był w okularach. W sali do gry w karty stał inny majstersztyk Krzywosąda. Była nim szafa starożytna, kością wykładana z okuciem tak przecie misternem, że aż się słabo robiło. Na górnym gzemsie tego mebla widniała data, utrwalona zapomocą inkrustacyi: »A. D. 1527«. Rzecz prosta, że administrator był tylko odnowicielem tego zabytku wieków minionych, aczkolwiek złośliwi twierdzili, że był właśnie twórcą nietylko szafy, inkrustacyi i okucia, ale także owej daty na szczycie.

J. B. Krzywosąd Chobrzański znalazł się w Europie w tym samym czasie, co M. Les. Kiedy jednak drugi udał się na wschód, Krzywosąd poszedł na zachód. Faktycznie poszedł własnemi nogami przez Śląsk, Czechy, Bawaryę do Francyi. Tułał się w Paryżu, Londynie, Brukselli, zarabiając na chleb, czem się dało. W Paryżu był retuszerem u podrzędnego fotografa na *rue Picpus*. Do Londynu zwabił go kolega, który tam uczepił się w fabryce broni. Krzywosąd pracował przez czas pewien, jako zwyczajny robotnik, nabrał, jak mówiono, wiele wprawy w fachu rusznikarskim. Łatwiej wszakże było przyzwyczaić do tej roboty, ręce, niż wdrożyć szlacheckiego ducha. Uciuławszy nieco gro-

sza, Chobrzański wraca na kontynent i wędruje do Brukselli. Nie znaczy to wcale, że był próżniakiem. Ani trochę! Umiał on wstać o świcie, dzień spędzić bez wytchnienia przy twardej pracy i późno w nocy skłonić głowę na nędznem posłaniu. Chodził w zniszczonej odzieży, a gotów był i tę oddać biedniejszemu, byleby o tem ludzie wiedzieli. Gdy ktokolwiek zgłosił się do niego o wsparcie, o pożyczkę, każdemu jej udzielił, ale chciał, żeby też i jemu wyświadczono to i owo dla zasług. Od warsztatu w Londynie odepchnęła go jakaś siła niewytłómaczona, żądza czegoś lepszego. Krzywosąd nie myślał ani o spokojnem życiu, ani o wielkiem bogactwie, choć lubił dostatek. Wśród najcięższych kolei losu dążył zawsze do sławy, do wyniesienia się, do znaczenia, do wpływu i rozgłosu wśród swoich. Chętnie podjąłby trud bohaterski byleby tylko nie stawał się jarzmem codziennem, pracą obowiązującą jego tak samo, jak wszystkich, ordynarną i stałą. Mimo to był przez czas dość długi kasyerem w pewnej dystrybucyi brukselskiej. Przywykał już nawet do tego zajęcia, gdy grono kolegów, koczujące w Monachium, dało znak życia. Monachium, które widział w przejeździe do Paryża, podobało mu się niezmiernie. Ruszył tedy do »Mnichowa«. Znalazł tam całą kolonię. Byli to malarze, studenci, artyści wszelkiego kalibru, rzemieślnicy i sieroty bezdomne »*die unglücklichen Polen*«. Wrzało tam jak w ulu. Toczyły się spory, tworzyły stronnictwa, partye, odbywały zgromadzenia, sądy, a nawet bójki. Chobrzański wszedł, rzecz prosta, do jednego ze stronnictw i wkrótce objął tam dowództwo. Był to kierownik energiczny. Zaprowadził

w swojej partyi taki ład, że częstokroć wykonanie przepisów kończyło się w biurze policyi. Adwersarzy, których trafnie nazywał »ptakami, plwającymi we własne gniazdo«, zwalczał ręką tak żelazną, że mu grożono wybiciem szyb i skóry. Gdy własnego mieszkania nie miał, groźby redukowały się do nastawania na całość skóry, co znowu umiał odeprzeć krzyżową sztuką, zażywając sękatego kija. Wnet po przyjeździe, nim trafiły się późniesze roboty, pozował malarzom. Jego piękna twarz, pełna dziwnego wyrazu melancholii, dumy i hardości pociągała artystów. Zyskał sobie opinię ciekawej głowy i znany był dość szeroko, jako *»unglückliche Pole«*. Z czasem ta ściśle etnograficzna nomenklatura przeistoczyła się w mniej określoną: *»unglückliche Fratze mit vielen Consonanten«*, ale też wówczas Krzywosąd tylko swojej braci pozował i to nie inaczej, jak na koniu. Stosunki z malarzami pchnęły go do całkowicie innej dziedziny. Naród malarski zmieniający miejsce pobytu, niedbały, dziś tarzający się w złocie, a jutro głodu blizki, stał się źródłem zarobków Krzywosąda. Oto, dajmy na to, wyjeżdża jakiś malarzyna w górę, opuszcza Monachium i dąży w świat szeroki. »Wójt« kupuje od niego za byle co, albo poprostu dziedziczy sprzęty artystyczne, stare ubiory, nieraz jakieś połamane zbroje, draperye, niedokończone studya, szkice, rysunki, a choćby potłuczone ramy. Dla innego trzeba zreparować stylowe siodło, zeszyć kostyum, naprawić mebel, skleić jakiś zabytek. Krzywosąd brał to wszystko w ręce i robił. Raz dobrze, drugi raz źle, ale robił. Przypatrywał się dziwnym procesom tworzenia, podsłuchiwał dyskusye, badał ów ogromny

kraj, państwo malarza, i zdobywał encyklopedyczne wykształcenie w zakresie antykwarsko-graciarsko-rzemieślniczo-artystycznym. Jeżeli czego nie umiał zrobić, to przynajmniej wiedział, jak się to robi. Gdyby i tu wytknął mu kto brak stanowczości, to w każdym razie nie mógł zaprzeczyć, że o istnieniu całego mnóstwa rzeczy zupełnie obcych przeciętnemu zjadaczowi chleba, Krzywosąd potrafił gadać. Z czasem w dużej izbie na Schwantaler-Strasse mieścił się dziwaczny zakład. Były tam i narzędzia stolarza i warsztat ślusarski, tygle, retorty, kupy ram, flaszki z różnobarwnymi płynami, skóry, żelastwa. Na ścianach wisiały szkice i obrazy, częstokroć dzieła sztuki, pseudo-perskie dywany, przeróżne kawałki oręża i zbroi. Po upływie lat kilkunastu spędzonych w Monachium, Krzywosąd wyszedł na fabrykanta starożytności. Czasami udało mu się zlepić z ułamków, według istniejącego wzoru, jakąś podobiznę starożytnego sprzętu, czy mebla i odstąpić to antykwaryuszowi, wymyć zczerniałe malowidło, kupione za byle co, i puścić w świat, jako »szkołę« włoską, czy »holenderską«. Szczególniejszą miłością »wójta« cieszył się styl gotycki. Krzywosąd widział ten styl wszędzie, tam nawet gdzie był inny. Szczytem pochwały w jego ustach było słowo: — gotyk! Stąd zbiory jego zawierały tyle rzeczy śpiczastych. Wszystko, co tylko miało kształt ostrołuku, zasługiwało na uwagę, a więc: żelazne ozdoby sztachet, klucze, okucia drzwi, lichtarze chłopskie z okolic jeziora Bodeńskiego, klamerki u pasków, ramy i t. d., nie mówiąc już o istotnych ułamkach gotyku.

U Krzywosąda zbierały się nieraz rozmaite grupy

 

burszów i artystów. Stary wąsal częstował tę młódź lekkomyślną niesłychaną szpagatówką »swego chowu«, serem, który sam wyrabiał i suchym chlebem, którego jeśli sam nie piekł, to przynajmniej osobiście archaizował w swych bezdennych szafach do stanu spleśnienia na kolor biały. W drodze szczególnej łaski pozwalał wówczas byle komu zbliżać się do »broni«, rozwieszonej na ścianach, oraz wywłóczył skądś, ze spodu stare, zagwazdane rysunki i z wyrazem zupełnej niedbałości, jakby obwieszczał rzecz najobojętniejszą w świecie, mówił, wskazując palcem ten lub ów bohomaz:

— Piotr Paweł Rubens...

Albo:

— Szkoła bolońska... Trzeci okres Gwido Reniego...

Po rysunkach takich mistrzów zaczynała się prezentacya innych zbiorów, jak naprzykład, książeczki p. t.: »Priapeia«, w oprawie białej, z cielęcej skórki. Książeczka ta była w kilku miejscach przebita na wylot. Kiedy zapytywano, co znaczą te rozdarcia, Krzywosąd objaśniał, że to było ulubione dziełko Karola XII-go, które wszakże służyło mu nieraz za cel do strzałów z pistoletu. Była tam również laska Seweryna Goszczyńskiego, zwana czasami laską Wincentego Pola. Był sztylet Beniowskiego, wysadzony muszelkami, — mundur oficera z czasów księstwa warszawskiego, dopełniony przez Krzywosąda w ten sposób, że spłowiałe wypustki zastąpione zostały innym, mniej więcej zbliżonym kolorem, a guziki i szlify odpowiednimi guzikami i szlifami uniformu piechoty

francuskiej z czasów Napoleona III. Za szkłem wisiał żupanik atłasowy ześcibany z niepasujących do siebie kawałków, — stał dziwny, pokruszony sprzęcik, zwany »apteczką Stanisława Augusta«, leżała faja z terrakoty na zgiętym cybuchu, zwana »fajką Stefana Batorego« i t. d.

Nie wszystkim jednak i nie zawsze »wójt« pokazywał swe zbiory. Było, naprzykład, kilku ludzi wśród młodej kolonii, którzy go irytowali i wpędzali w zły humor. Jeden z takich, zetknąwszy się z antykwaryuszem, zaraz po stereotypowem pytaniu o zdrowie, dodawał:

— A cóż Van-Dyck'i, jakże tam? W robocie, co? No, i jakże, udają się?

Drugi wymoczek udawał głuptasa, i kiedy Krzywosąd pokazywał zbiory, wtrącał ślamazarne pytanie:

— A ja gdzieś czytałem, tylko nie pamiętam w jakiem dziele, że Szczerbiec, miecz Bolesławowski, to podobno jest w pańskich rękach, tylko pan unika o tem rozgłosu, żeby go panu stańczycy przez nastawionych zbirów nie wykradli. Namby go pan mógł pokazać... Złożylibyśmy przysięgę, że ani mru-mru...

Miał jednak Krzywosąd i swych wielbicieli. Tym pokazywał wydobyte z dna inkrustowanej szafy kawałki haftowanej materyi i zapewniał, że jest to urywek szaty, której druga część znajduje się w Cluny, — jakąś miniaturkę w zczerniałej ramce... O tym obrazku szeptem i z mruganiem mówił, że jest przez pewnego handlarza ukradziony z Brery w Medyolanie...

Gdy zarząd Cisów przeszedł w ręce doktora Węglichowskiego, Krzywosąd począł się przed M. Lesem

 

uskarżać w listach na tęsknotę i pisywał te listy tak często, że to wnet uderzyło chytrego kupca. M. Les mruknął do siebie:

— Ta zielona małpa coś knuje.

Miał on dziwną predylekcyę do Krzywosąda. Bardzo często kupował jego bezcenne antyki, jego Rubensy i Ruysdael'e, buławy hetmańskie i pamiątki autentyczne po królach. Składał to wszystko w pewnym zielonym kufrze i nazywał go »gabinetem zielonej małpy«.

Nareszcie pewnego razu Krzywosąd wyznał w liście, że ma zamiar wracać. M. Les nie sprzeciwiał się i biedny wędrowiec wrócił do Warszawy, a wkrótce potem objął administracyę zakładu w Cisach.

Lokal jego tutaj mieścił się na dole starego »zamku«. Prowadziła do tego mieszkania brama (rozumie się gotycka), a właściwie jej resztki, grożące ruiną, które Krzywosąd starannie podpierał. Dalej szły na prawo wązkie i strome schodki aż do drzwi mieszkania. Przed progiem wisiał krużganek, otoczony żelazną balustradą. Zarówno schody, jak krużganek były świeżo dobudowane przez administratora. Dla przyśpieszenia procesu archaizacyi tych gotyków nie zamiatano tam nigdy śmieci i nie sprzątano śladów pobytu wróbli, które całemi stadami pod drzwiami wysiadywały. Krzywosąd kochał ptaki. Rozmawiał z nimi i sypał tyle okruszyn chleba, że wróble miały tam istną synekurę i nie odlatywały z krużganku.

Kiedy doktór Tomasz zbliżał się z uszanowaniem, wolnym krokiem do drzwi administratora dla złożenia mu pierwszej wizyty, zobaczył scenę tego rodzaju. U wejścia na schody tłoczyło się, wrzeszczało

w niebogłosy kilkanaście sztuk dzieci folwarcznych, żydków z miasteczka i innej hołoty. Wysoko stał Krzywosąd w pantoflach i reniferowej, zczerniałej kurcie. Na poręczy ganku siedział chowany sokół, o którym słyszał już doktór Tomasz całą historyę. Sokół ten chorował przez całą zimę i ulegał kuracyi. Krzywosąd lał mu w gardło oliwę i sadzał go przy kaloryferze w takiem gorącu, że biedne ptaszysko dostawało, widać, czegoś w rodzaju pomieszania zmysłów, bo palacze znajdowali je częstokroć leżące obok drzwiczek wielkiego pieca wśród węgli i popiołu. Tylko błyskanie oczu wskazywało wówczas, że jeszcze żywot kołacze w nieszczęsnym pacyencie. Teraz, gdy słońce wiosenne świeciło tak jasno, sokół pierwszy raz wyniesiony został na dwór. Siedział na balustradzie, mocno ściskając pręt żelaza, rozglądał się, ruszał i dawał wielostronne znaki zdrowia. Krzywosąd pragnął, widocznie, pokazać chłopakom nietylko ptaka, ale i jego sztuki. Schylił się tedy i tkał mu pod dziób swą głowę, przemawiając jednocześnie:

— *Kąsi* pana, *kąsi*...

Chodziło o to, że sokół powinien był pieszczotliwie szczypać dziobem resztki farbowanych włosów. Czy świeże powietrze, czy może lepszy stan zdrowia wpłynął na sokoła tak fatalnie, dość, że kiedy administrator ukląkł i podstawiał coraz bliżej łysinę, ptak dźwignął się na łapy, nasrożył i z całej siły huknął »pana« dziobem w czerep aż szczęknęło. Zgromadzeni wydali okrzyk radości, zaczęli klaskać w ręce i podskakiwać. Tymczasem Krzywosąd przyniósł długi pręt i przemówił do sokoła:

— To ja do ciebie, łajdaku, jak do rodzonego siostrzeńca, z pieszczotami, a ty mię będziesz kuł po łbie! *Va-t'en!*

To mówiąc, zrzucił ptaka na ziemię i zaczął go okładać prętem, aż pierze leciało. Sokół rozpuścił skrzydła i na piechotę z wrzaskiem uciekł wgłąb mieszkania, do którego drzwi zostały zatrzaśnięte.

Judym otwarł te ciężkie podwoje i wszedł ostrożnie do wnętrza. Składało się ono z dużej, sklepionej sieni o kamiennej posadzce, tudzież z dwu izb mieszkalnych. Z przedsionkiem sąsiadowało pomieszczenie na kaloryfer, gdzie właśnie sokół znosił w tej chwili tak bardzo zasłużoną karę. Dawały się stamtąd słyszeć jego zuchwałe wrzaski. Judym wkroczył do izby na lewo i zaraz w progu szepnął:

— Twardowski! Jak mi Bóg miły, Twardowski...

W istocie mieszkanie to przypominało do złudzenia lokal mistrza. Mury tu były ogromnie grube, okna zakratowane, sufity sklepione. W pobliżu okna stały warsztaty gospodarcze i krzesło z wysokiem oparciem, skórą obite. W głębi było szerokie, drewniane, starożytne łoże z baldachimem, opartym na słupkach misternie rzeźbionych. W kątach leżały stosy żelastwa, rzemieni, klepek. Na ścianach wisiały owe sławne obrazy, o których Judym tyle już słyszał.

Gdy Krzywosąd po egzekucyi przyszedł wreszcie do izby, zajął się gościem z żywością. Posadził go w fotelu, co na Judyma wywarło taki urok, jakby go zanurzono w wannie, i puścił się w dyskurs uprzejmy. Gdy rozmowa zeszła na Cisy, Krzywosąd wyrażał się o całej instytucyi z taką samą niedbałością, jaka ce-

chowała jego mowę, w trakcie pokazywania rysunków Rubensa. Judym zauważył również, że administrator używał takich tylko zwrotów stylowych, któreby dobrze malowały jego władzę w tem miejscu. Mówił tedy:

— Kazałem przebudować cały zamek... Muszę wziąć się jeszcze do urządzenia parku. Mam na myśli całkowite odrestaurowanie łazienek, tylko że oto jak na złość brak mi czasu...

Mówił ciągle:

— To się zrobi, to się każe zrobić.

Szczególnie często powtarzał zdanie:

— To mi, wie pan doktór, pasowało... To mi dobrze robiło... Bawiło mi oko, więc kazałem zbudować...

Judymowi ten rodzaj pewności mącił nieco wyrazistość spostrzeżeń. Wiadomą było skądinąd rzeczą, że, naprzykład, przebudowanie gmachów zależało nietylko od tego, czy administratorowi »dobrze« albo »źle robiły«, ale również od innych przyczyn, głównie zaś od decyzyi rady zarządzającej.

Później przekonał się, że jednak taki sposób wyrażania gustów i wpływu tych gustów na bieg spraw cisowskich — wcale nie źle malował istotny stan rzeczy.

Kasyerem zakładu był pan Listwa, którego Krzywosąd w oczy i za oczy nazywał starym niedołęgą, albo jeszcze złośliwiej: — przedętą fujarą. Pan Listwa był mężem matki Dyzia i ojczymem tego chłopczyka. Niedołęgą w ścisłem znaczeniu tego wyrazu, a tem mniej »przedętą fujarą« kasyer cisowski nie był, ale też i do rodu farysów już się nie mógł kwalifikować. W grunce rzeczy był to człowiek zgipsiały w ciężkich

warunkach, a osobliwie w kajdanach małżeństwa. Żona i Dyzio tak urozmaicali życie pana Listwy, że praca w kancelaryi zakładu zimnej i wilgotnej, wysiadywanie tam wśród ksiąg, kwitów, rachunków — była dla niego jedyną wprawdzie, ale za to istotną rozkoszą. Kasyer czuł, że żyje wtedy dopiero, gdy wychodzi z domu. W obrębie progów rodzinnych przypominał coś w guście złamanego parasola: krył się w ciemnych kątach, ustępował z placu i milczał. Mimo tak skromnej postawy był kozłem ofiarnym we wszelkich zatargach z Dyziem, który na wiekowym ojczymie wprawiał się w dowcip. Były chwile, że pan Listwa próbował opozycyi. Ale te eksperymenty mijały szybko i trafiały się coraz rzadziej. Wszystko sprowadzał do absolutnego poziomu jeden jedyny dźwięk, padający z »jej« ust:

— Hipolicie!

---

## KWIAT TUBEROZY.

Poznanie Cisów zajęło Judymowi tyle czasu i tak go absorbowało, że o zwiedzeniu szpitala nie było mowy. Co dnia prawie obijał się o jego uszy ten wyraz: »szpitalik«. Dr. Węglichowski kilkakrotnie wspominał mu wśród innych wiadomości:

— Pamiętaj, kochany panie, że masz pod sobą szpitalik...

— Możebyśmy go mogli obejrzeć... — gorączkował się Judym.

— Nic pilnego! Poznajno kolega zakład, tamto rzecz uboczna. Mówię dlatego, że i tamto...

Tak schodziło. Nareszcie pewnego dnia doktór nie mógł wytrzymać. Rozpytywał się detalicznie, gdzie ów szpital się mieści i poszedł sam, żeby przynajmniej zobaczyć rozmiary i jakość budynku. Nadzieja pracy samoistnej w swoim, niemal własnym szpitalu, nęciła jego entuzyazm.

Za bramą parku rozchodziły się pod kątem prostym dwie ogromne aleje lipowe. Jedną z nich przybywało się do Cisów ze świata, od strony kolei, —

druga prowadziła do pałacu, kościoła i szpitala. Było tej drogi więcej niż wiorsta, drogi szerokiej, ale bagnistej. W chwili, kiedy ją Judym przebywał, podsychała już, ale jeszcze tu i owdzie gładko z wierzchu zmulona i wymyta glina pod nogą rozstępowała się i lgnęła do niej bryłami. Wielkie drzewa, stojące nad tą drogą już okrywały się liśćmi; w rowach szumiały strumienie płynnego iłu, szybko z góry biegnące.

W duszy Judyma było takie wesele, jak chyba nigdy jeszcze w życiu. Gdy się zbliżał do zabudowań folwarku, rozrzuconych na dużej przestrzeni, serce silnie biło mu w piersiach. Wiatr wiosenny owiewał go jakiemiś marzeniami, po prostu uczniowskiemi. Śniły mu się na jawie zdarzenia, bohaterstwa, szalone operacye i niewysłowione pocałunki czyichś ust pachnących. Z obojętną miną, jak na trzeźwego eskulapa przystało, wyminął kilka domów, mieszkań rządcy, kasyera, ekonoma i szedł na lewo ku kościołowi, zostawiając po prawej stronie szeroką drogę wjazdową w stronę pałacu.

Obok kościoła świeżo wzniesionego z czerwonej cegły, — budowy pięknej, z dwiema strzelistemi wieżami w stylu gotyckim, — mieściło się probostwo. Dalej krył się w drzewach znacznie dawniejszy, obszerniejszy dom: szpital.

Judym nie miał zamiaru wchodzić do środka. Pragnął to uczynić w towarzystwie swego zwierzchnika. Poszedł, najprzód obejrzeć kościół, który właśnie był otwarty. Brakowało tam jeszcze posadzki, bocznych ołtarzów w nawach, konfesyonałów, malowideł, ławek. Ceglane filary stały w piasku. Tu i owdzie mieściły

się ławy, zbite naprędce z tarcic. Tylko w prezbyteryum były już stalle rzeźbione. Panowało tam światło różnobarwne, przyćmione przez kolorowe witraże. Właśnie ksiądz odprawiał mszę cichą. Przed głównym ołtarzem stała gromadka ludzi. Judym obszedł lewą nawę i wolno, bez żadnego szelestu po piasku, który zupełnie tłumił odgłos jego kroków, zbliżył się do prezbiteryum. Gdy tam stanął, ujrzał w ławkach kolatorskich trzy swoje znajome paryskie, — panny: Natalię, Joannę i Wandę. Z brzegu siedziała p. Natalia. Doktór poznał ją bardziej przez słodkie zemdlenie zmysłów, przez jakiś chłód wewnętrzny, ściekający po twarzy i piersiach, niż siłą wzroku. Miała na głowie lekki kapelusik, a twarz zasłoniętą woalką barwy rudawo rdzawej. Tło z ciemnych, bronzowych tafli rzeźbionego drzewa, otaczające jej głowę, sprawiało, że wyglądała jak przecudny rysunek sangwiną. Ostre, medalowe rysy jej nosa i brody znaczone były w tkaninie woalki, podczas kiedy oczy znać było tylko, jak ciemne wgłębienia. Judym przez chwilę miał wzrok do tej głowy wprost przykuty. Nie wiedział, czy ma się ukłonić, gdyż nie był pewien, czy go spostrzeżono. Za chwilę dopiero złożył ukłon. Panna Natalia ledwie widocznym ruchem schyliła głowę. Wtedy także oczy Judyma spotkały się z oczami panny Joanny i oddały sobie w przelotnym błysku powitanie dusz młodych i czystych, tułających się na ziemi we wzajemnej tęsknocie. Twarz panny Joanny pełna była uśmiechów, pomimo, że oczy i wargi jej starały się nie wyrażać ich szczerze.

Nabożeństwo skończyło się wkrótce i garstka

mieszczek, gwarząc, opuszczała kościół. Doktór szedł pospołu z tłumem, aby nie było śladu, że czeka na wyjście panien. Ale za drzwiami kościoła krążył to tu, to tam, niby dla poznania architektury pięknej świątyni. Gdy tak stał z głową zadartą, obserwując kamienne łuki, otworzyły się boczne drzwiczki, prowadzące do zakrystyi, i wyszedł tamtędy ksiądz jeszcze młody, który dopiero co mszę odprawił, a z nim trzy panny.

Nastąpiło spotkanie. Doktór przywitał panienki i przedstawił się księdzu. Ten wziął go wnet pod ramię i wszczął miłą rozmowę, pełną życzliwości i smaku. Był to księżyna zażywny, z oczami siejącemi blask wesoły, z ustami do śmiechu. Ledwie kilka srebrnych włosów plątało się w jego bujnej czuprynie, a czerstwa twarz sprzeczała się nawet z temi nitkami.

— Kto nogą stąpił na księże terytoryum, ten idzie do księdza na śniadanie! — zawyrokował młody pleban.

— Z wyjątkiem panien! — protestowała p. Podborska.

— Bez żadnych wyjątków. Ksiądz, panna i anioł trzeci, to rodzone dzieci. Zresztą ja tu rozkazuję nie jakieś tam młode panny. A to mi się podoba! Nieprawdaż, doktorze?

— A skoro takie prawo... Muszą się panie poddać.

— No? I cóż teraz? Ksiądz i doktór, to jest, źle mówię, doktór i ksiądz zdecydowali, więc już jesteśmy na plebanii... — mówił proboszcz, otwierając furtkę w nowym murze, który otaczał cmentarz kościelny.

W dużych, wygodnie umeblowanych pokojach księżego mieszkania pełno było kwiatów, obrazów (oleodruków), pism, ilustracyi. W sali jadalnej mieściła się szafka z wydawnictwami dla ludu, w ustronnym gabinecie leżały na stole pisma tygodniowe, miesięczne, gazety i stała spora biblioteka. Ksiądz bawił gości swym jowialnym humorem, który wszakże usiłował być humorem lepszego tonu, i dopytywał się u zgrabnej gospodyni o śniadanie. Wkrótce je podano. Proboszcz znał już historyę paryską dziewic i doktora. Ciekawy był przedewszystkiem drogi do Lourdes, wybierał się tam bowiem od lat kilku. Panny egzaminowały go, czy duże zrobił postępy w języku francuskim. Przy końcu śniadania proboszcz wywołał Judyma do gabinetu na papierosa, a dziewice przeglądały tymczasem w salonie świeże pisma. Okna gabinetu wychodziły na drogę lipową. Proboszcz mówił żywo i tak rozumnie, że Judym co chwila myślał: — patrzajcież, jaki to mądy i jaki miły pomidorek...

Ksiądz z ciekawością pytał się doktora o różne rzeczy wielkomiejskie, gdy wtem rzucił okiem na drogę i skrzywił się brzydko. Tą drogą szedł właśnie prędkim krokiem młody człowiek w eleganckim demi-sezoniku i jasnym kapeluszu. Dr. Tomasz poznał w zbliżającym się młodzieńcu kuracyusza, którego był widział jadącego konno w dniu swego przybycia do Cisów, a później dostrzegł przy ogólnym stole w zakładzie. Nazwiska nie pamiętał, więc spytał o nie księdza.

— A to jest pan Karbowski, wasz przecie kuracyusz. Choć taki on chory, jak ja aptekarz!

— Dlaczegóż to?

— Widzi pan... to jest łobuzina. Pochodzi, jak mówią, z bardzo dobrego rodu, odziedziczył po ojcu majątek — no i puścił go we dwa lata, ale to co do gronia. Bywał w Monte-Carlo, w Monaco, w Paryżu, gdzie kto chce. Gra w karcięta, ale to nie tak po naszemu, tylko z premedytacyą. W tem sęk!...

— Nie spostrzegłem...

— No to doktór jeszcze zdąży. W sezonie, co tylko przyjedzie bogatszego, a z fiu fiu w główce, młodzież złotą, a nawet rozmaite damule, ogrywa tak, że z płaczem wyjeżdżają. Z tego żyje.

— Czyż tu bywają tacy?

— Bagatela! Ten pan Karbowski — cho-cho... Zimą, gdy się urwie kompania bogatsza, siedzi jak suseł. Czasem wyjedzie, znowu wraca... Gdy go nędza przyciśnie, pożycza od lokajów, od kąpielowych, od żydków, felczerów, od każdego, kto na placu. Mówię dlatego, że i doktora nie ominie.

— Ech, odemnie trudno pożyczyć, szczególniej w tym czasie... — zaśmiał się Judym.

— No, no... Straciłem do niego serce, bo umie oszwabić biednego człowieka. Przychodzi, dajmy na to, do felczera, który przez sezon uskładał sobie pewną sumkę, i prosi go o zmianę dwudziestu pięciu rubli. Głupi Figaro, zachwycony poufałością »takiego pana«, wywleka z szuflady rubeljansy i rozkłada na stoliku, Ten zgarnia to do pugilaresu, później udaje, że zapomniał wziąć ze sobą dwudziestopięcio-rublowego papierka, i każe felczerowi przyjść do hotelu. Zajdziesz, mówi, to sobie weźmiesz, bo mi się teraz nie chce lecieć po pieniądze, — idę akurat do zamku... Lokaje

nauczeni nie dopuszczają golibrody do »pana hrabiego«, a on tymczasem rznie w karty, licząc na to, że wygra owe dwadzieścia pięć rubli i odda.

— Ale czy oddaje przynajmniej?

— Dziś jeszcze oddaje, gdy go nacisnąć. Ale co zrobi jutro? Za numer w hotelu nie płaci chyba od roku. A zresztą teraz on tu ma co innego na myśli...

Gdy to dobrodziej mówił, dało się słyszeć lekkie stukanie we drzwi, prowadzące z przedpokoju do salonu. Ksiądz coś mruknął i wyszedł, pociągając za sobą doktora. We drzwiach przeciwległych stał ów pan Karbowski.

Był to wysmukły, blady brunet. Maleńki, niepodkręcony wąs ocieniał jego czerwone wargi. Ciemne, mgliste oczy zdawały się nie widzieć nikogo w pokoju. Gładko, od lewego kąta czoła przyczesane włosy harmonizowały z całą osobą, pełną szczególnego czaru. Modny smoking leżał na nim i uwydatniał zgrabność powolnych ruchów. Karbowski przywitał młode panienki ogólnym ukłonem, księdza cmoknął w ramię, Judymowi z miłem skinieniem głowy podał rękę i usiadł obok panny Wandy, a naprzeciwko Natalii.

Ta od chwili wejścia do salki młodego człowieka była blada, jak papier. Usta jej przymknęły się w sposób szczególny, jakby miała za chwilę wybuchnąć płaczem, a cała twarz stała się tak piękną, że niepodobna było oczu oderwać. Karbowski mówił do panny Joanny o książce, którą ta trzymała w ręku.

W czasie tej rozmowy pewnym, jakby ociężałym ruchem uchyliły się jego powieki i oszalałe, bezmyślne, dzikie z miłości oczy wlepiły się w twarz panny Na-

talii. Ona także nie miała już siły ukrywać wyrazu swoich. Panna Joanna pełna trwogi i wzburzenia mówiła żywo do Karbowskiego, ale słowa jej plątały się i więzły w gardle. On pytał się, uśmiechał, rozumował, z pozoru sądząc, trzeźwo i chłodno, ale tylko na przelotne i bolesne chwile odrywał wzrok od tamtej. Mówił wolno i dźwiękami, tak widocznie, obcymi jego mowie, że wydawały się nietylko jemu, ale i wszystkim przytomnym czemś dalekiem i kłamanem.

— Pan długo jeszcze zabawi w Cisach? — zapytała go p. Natalia.

— Tak, jeszcze dosyć długo. Nie wiem... Może umrę... — rzekł z uśmiechem prawdziwie śmiertelnym.

— Umrze... pan? — szepnęła.

— Tak długo, tak dawno... tu leczę się bezskutecznie... Straciłem nadzieję.

— Możeby panu jaki inny kurort pomógł... — wtrącił ksiądz, oglądając swe paznogcie.

Karbowski musnął wąsika i przelotnie dotknął proboszcza spojrzeniem, które, zdaje się, mogłoby zabić. W tej chwili rzekł, jak gdyby do siebie:

— Ach, tyle czasy... Tak, tak... Ksiądz proboszcz ma racyę, inny kurort... Może być, że pojadę.

— Kiedy? — zapytała znowu panna Natalia.

Po tem słowie niewinnem panna Joanna drgnęła i wstała ze swego miejsca.

— Jedźmy już! — rzekła do towarzyszek, — babunia będzie niespokojna.

Panna Natalia udała, że nie słyszy tych wyrazów, tylko źrenice jej zaszkliły się białym blaskiem okrutnego gniewu, jak żywe srebro. Panna Wanda, która

przerzucała ułożone z całego roku numery jakiejś ilustracyi, podniosła głowę i zapytała:

— Więc jedziemy?

Nikt nie odpowiadał. Ksiądz siedział przy osobnym stoliku i bębnił weń palcami. Oczy jego patrzały w przestrzeń, a wargi były odęte. Taki wyraz twarzy, nie zdradzał wcale zadowolenia z wizyty pana Karbowskiego, ani z toku rozmowy. Ale panna Natalia i Karbowski tego nie widzieli. Było rzeczą jasną, że chodziło im o wyzyskanie tych sekund *per fas et nefas,* o napatrzenie się sobie wzajem w oczy, o przypomnienie w uśmiechach i dźwięku słów obojętnych, mórz bezdennych tęsknoty. Słowa płynące z ust młodego człowieka panna Natalia witała dziwnymi, pełnymi boskiego wdzięku ruchami warg i nozdrzy, jakby czuła zapach każdego wyrazu i na każdym, niby na róży przysłanej, składała pocałunek.

Panna Joanna żegnała się z proboszczem. Za jej przykładem uczyniły to obydwie towarzyszki. Gdy nadeszła kolej pożegnania Judyma i panna Natalia stanęła przed nim, ujrzał jej srogie oczy, skamieniałe z żalu, a jednak wydające jak gdyby krzyk rozpaczy. Przez chwilę myślał, że oddałby życie, gdyby te oczy jedną godzinę tak za nim tęskniły... Ale wnet zahuczał w duszy jego dyabelski śmiech i coś złamało się wśród głuchego bólu.

Obadwaj z Karbowskim wyszli jednocześnie z probostwa.

Przed gankiem stał lekki, odkryty wolant, do którego wsiadły wszystkie trzy panny. Konie szybko z miejsca ruszyły...

Panna Natalia nie obejrzała się ani razu. Za to Karbowski patrzał w stronę oddalającego się pojazdu wtedy nawet, gdy ten znikł już na skręcie alei. Oczy jego miały wyraz dziwnej senności, a twarz była skrzywiona cierpieniem, którego nie mogła pokryć ani maska dumy, ani uśmiech towarzyski.

Judym zazdrościł temu młodzieńcowi wszystkiego, nawet cierpień, jakich tamten doświadczał. Tą samą drogą szedł przed godziną z sercem pełnem ognia. Rwał się do pracy w szpitału, silnie pragnął przynajmniej ujrzeć mury tego budynku, gdzie będzie kładł duszę w twardą pracę lekarską, a oto teraz cały ów szpital tak nie istniał dla niego, jakby się w ziemię zapadł. Co więcej, aspiracye odczuwane przed godziną wydawały mu się w owej chwili, jak coś głupiego do absurdu, jak coś z nieistniejącej krainy dubów smalonych. Rzeczywistością było to, że panna Natalia jest zakochana w Karbowskim.

Judym przypatrywał się z ukosa postaci tego franta, jego ruchom, giestom, z natury i wystudyowania zgrabnym i w smutku tak bezbrzeżnym, jego ubraniu pełnemu smaku i elegancyi. Nie byłby pewno wyznał tego przed nikim, ani nawet przed sobą, ale czuł to, że całe życie, wszystkie wysiłki, plany, dążenia, jest to jedno wielkie głupstwo w stosunku do życia Karbowskiego. Pocóż to wszystko? Poco zabiegi, ideje, trudy? Czyliż Karbowski nie zrozumiał życia tak, jak je rozumieć należy? Być człowiekiem pięknym, wykwitnym i dla tych przymiotów być kochanym przez najcudowniejsze zjawisko ziemi, przez taką pannę Orszeńską. Wszystko w Karbowskim zdało się Judymowi

doskonałem i logicznem, nawet jego karciarstwo i szacherki. Nie przywiązywał do tego wszystkiego wagi, jak nie przywiązujemy wagi do niczego oprócz piękności, patrząc na tajemniczy kwiat tuberozy.

— Przecie, — myślał Judym, — taki kwiat jest owocem Bóg wie jakich trudów, wydatków, zachodów, jest bezużyteczny i szkodliwy, gdy go porównać ze źdźbłem tymotejki, kłosem żyta, albo kwiatem koniczyny, a przecież komużby przyszło do głowy deptać go za to nogami.

Z głębi duszy młodego lekarza wychylił się znowu żal gorzki i nienasycona zazdrość, czemu i on, czemu i on...

# PRZYJDŹ.

Burza już przeszła... Zdawało się, że wszystko ucicha, gdy w tem zaczynały trzepać nowe bicze kropel ogromnych, ciężkich, sznurem idących na ziemię. Wzdłuż ścieżek wypukłych, rumianych od starej cegły, płynęła bez ustanku lśniąca woda. Po placach nieco głębszych stały jeziorka, pełne baniek szklistych, a wzdętych jakby przez usta swawolnych dzieci. W cieniu kasztanów chowały się zielone smugi, a w nich widać było pnie wywrócone. W górze, między ogromnemi kępami wierzchołków jaśniał wyimek nieba o tle pozłocistem, świecącem, niby owe niebiosa, które oglądać można w ołtarzach kościołów wiejskich. Po nim pędziły kłęby chmur pierzastych, rozwianych, cienkich, fioletowych tak prędko, jak dymy. Co chwila odzywał się jeszcze grom daleki, grom wiosenny...

Najbliżej stała akacya o pniu grubym i czarnym, a gałęziach jakby wykręconych z żelaza. Te potworne konary roztrącały zasłonę delikatnych, jasnych liści. Z cieniów starego muru biły w górę tysiączne gałązki młodych akacyi, które jeszcze krzewem być nie

przestały. Młode pędy osnute żywymi liśćmi, a na samych końcach maleńkimi ich śladami, wyciągały się ku chmurom, gdyby pieszczone ręce dziewicze, których dotąd słońce nie skalało. Czasami przylatał wiatr, rozbujał ten krzew lekko, równo, cicho — i wtedy cudowne strofy liści kołysały się w ciepłem, wilgotnem powietrzu sennymi akordami, niby muzyka, która oniemiała i, przybrawszy na się kształt tak przedziwny, zastygła.

Judym siedział u otwartego okna w swojem mieszkaniu. Płonął od głębokiej radości. W pewnych sekundach wznosiły się w jego sercu jakieś tchnienia uczuć, podobne do tych, co kołysały wierzchołki drzew. Wówczas na jego usta wybiegały dźwięki pieszczotliwe, a zapalające, jakby z ognia. Mówił nimi do drzew wielkich, do młodych krzewów, do jaskółek szybujących wysoko nad szczytami po świetlistej otchłani... Tajemnicza radość pociągała wzrok jego ku końcowi alei, a serce ulatywało z głębi piersi, jak zapach. Na coś niesłychanego czekał, na przyjście czyjeś...

---

## ZWIERZENIA.

*17 Października.* Dziś rocznica mego przyjazdu do Warszawy. Więc to już sześć lat upłynęło! Sześć lat! Ogromny tydzień mojego wieku. Wtedy miałam siedmnaście, dziś już dwadzieścia trzy »wiosny». Jeżeli porównać tamtę Joasię z dzisiejszą — jakiż to deficyt! Joasiu, Joasiu...

Postanowiłam pisać dziennik na nowo, a raczej wskrzesić z martwych dawny. Uczyła nas przecie wszystkie tej sztuki Stacha Bozowska. Ona pierwsza w Kielcach pisała dziennik umiejętny, to jest dziennik szerszych uczuć i »prawdziwych« myśli.

Biedna po stokroć Staszka... W jednym z ostatnich listów pisała do mnie: »Właściwie byłam w tem życiu uzdolnioną autorką mojego dziennika — i niczem więcej. Teraz napaliłam w moim szkolnym piecu trzynastoma księgami, oprawionemi w grubą tekturę i czarne, zrudziałe sukno. Żegnaj dzienniku«...

Źle zrobiła! Dlaczegóż tępić zwierzenia, które nikomu wadzić nie mogą, a dla nas samotnic zastępują (wielki Boże!) kochanków, mężów, braci, siostry

i przyjaciółki? Nie, — będę pisała w dalszym ciągu! Czuję do tego nałóg taki, jak np. mężczyźni do palenia tytoniu. Pod wpływem szyderstw frazesowicza S. przestałam pisać, a teraz niewymownie żałuję. Odmawiałam sobie przyjemności przez lat sześć — i dlaczego? Dlatego, że S. na ten temat dowcipkował? Mniejsza zresztą...

Ileż to zmian! Henryk w Zurychu, Wacława niema, Staszka już dawno w grobie... A u mnie? Ileż to zmian!

Jak dziś pamiętam tę noc ostatnią, gdy przyszedł telegram od pani W. W ciągu czterech godzin zdecydowałam się opuścić Kielce, jechać do Warszawy — i pojechałam. Telegram brzmiał (umiem na pamięć te słowa). »Miejsce u Predygierów jest. Przyjeżdzać niezwłocznie. W«.

Ach, ten dzień, ten popłoch! Zbieranie rzeczy, bielizny, drobiazgów, szybko, szybko, drżącemi rękoma wśród łez i wybuchów odwagi... Poczciwa pani Falikowska »użycza« mi pieniędzy na drogę — i wyjazd! Głęboka, ciemna, noc w jesieni... Jak to wówczas dorożka dudniła w pustych ulicach kieleckich, jakie dziwne wywoływała echa i wrzaski między ścianami starych kamienic! Sama jazda koleją była to już czynność co się zowie. Pod sekretem mówiąc, przecie to pierwszy raz jechałam wówczas »koleją żelazną«. Pierwszy raz — i prosto w świat! Nie zmrużyłam oka, tylko z głową wspartą o deski wagonu marzyłam bojaźliwie o życiu. Tyle akurat o niem wiedziałam, co człowiek idący do lekarza pod naciskiem nękających go, a zagadkowych cierpień. Jak on nic nie wie o istocie

 

samej choroby, nie rozumie, co ona jest, co z niej może wyniknąć, dokąd rzuci jego ciało, losy, myśli, uczucia, — i tylko marzy ostremi a przebiegłemi wiedzeniami, usiłując wszystko zrozumieć, — tak samo ja wtedy... Waliłam w życie z kapitałem, składającym się: z biletu kolejowego, z tobołka rzeczy, pięciu złotówek »grosza gotowego«, no i z telegramu pani W. Za sobą zostawiłam dwu braci, ciotkę Ludwikę, która (w braku kogoś bardziej odpowiedniego) zastąpiła mi matkę, gdym »uczęszczała« do gimnazyum, — która dzieliła się ze mną małym kawałeczkiem swego chleba — i chyba nic więcej... Ach, nie, nie, nic więcej! Kochałam Kielce, różne tam osoby, braci, Wacka i Henryka, Dąbrowskich, Multanowiczów, Karczówkę, Kadzielnię — i tak wogóle wszystkich. W tych latach tak łatwo człowiek właśnie wszystko miłuje! Cóż dopiero Kielce! Tej nocy w wagonie było mi tak żal! Koła uderzające o szyny wołały na mnie okrutnemi słowami. Zgrzyty ich kruszyły mą wolę i siłę na jakąś mgłę trwogi. Przypominam sobie te chwile przestrachu, kiedy nim, jak płomieniem objęta, postanawiałam wysiąść na pierwszej stacyi i wrócić. Wrócić, wrócić! Ale wagon mój rwał w nocy jesiennej wskróś jakichś miejscowości ponurych i żelazną, dziką mocą swoją precz mię unosił od wszystkiego, com czule kochała. Zresztą, czyż mogłam? Wrócić do biednej ciotki, utrzymującej stancyę uczniowską? Mieszkać znowu w nędznej, ciemnej i ciasnej izdebce! Sypiać na starej kanapie, wśród zaduchu sosów, wśród wiecznego deficytu ciotczynego, trosk o masło i żalów na drożyznę kartofli, ach, i wśród afektów ośmioklasistów zepsutych, niemądrych i roz-

próżniaczonych? Nie mogłam, żadną miarą nie mogłam...

Zresztą musiałam przecie, według ślubu, tak solennie złożonego u świętej Trójcy, przygotować drogi dla Wacława, który był wówczas w siódmej klasie, pomagać Henrykowi. Dawne, dawne dzieje...

Ranek dnia przy końcu jesieni, ranek chory i jakby spłakany, gdy drżąca z zimna i (powiedzmy szczerze, co tam!) — ze strachu, trzęsłam się jednokonną dryndulą do pani W. Przybywam, trafiam na tę uliczkę Bednarską, co niby jakaś figura, czy bestya wiła się w moich uczuciach, — i wkrótce idziemy we dwie z panią Celiną do Predygierów. Mijam ulice, które pierwszy raz widziane w taki dzień (przez oczy struchlałe z niedołęstwa) są zimne, obmokłe, niegościnne, niby owa »skorupa«, w której »pływa jakiś płaz«... Wchodzimy. Zmierzone, jak łokciem, okiem lokajskiem wyczekujemy w pysznym gabinecie. Po długiem udręczeniu, słyszę wreszcie jedwabny szelest sukien. Ach, ten jedwabny szelest sukien...

Ukazuje się pani Predygierowa. Nos wprawdzie żydowski, ale za to spojrzenie arystokratyczne, całkowicie według wzorów sarmackich. Mówimy o mnie, o moim patencie, o tem, co mam wykładać Wandzie, mojej przyszłej uczenicy, wreszcie przerzucamy się mimowoli z języka polskiego we francuski. Koniec końców — pytanie: ile żądam miesięcznej pensyi? Minuta wahania się. Później, ja, kielczanka, zdobywam się na heroizm i, własnym uszom nie wierząc, wygłaszam maksymalną cyfrę, jaka kiedykolwiek powstała w mojej imaginacyi: piętnaście rubli.

Pokój osobny, utrzymanie całkowite i piętnaście rubli miesięcznie! Czy słyszycie, wy, które oświecacie głupie dzieci między rogatkami biskupiej stolicy?

Pani Predygierowa nietylko się zgadza, ale »z chęcią«... Tej samej nocy już spałam w zacisznym pokoiku od ulicy Długiej. Niech będzie błogosławiony rok, który tam przeżyłam! Nie znająca Warszawy tak dalece, że mogłam pod tym względem z artyzmem reprezentować cielę, (gdyby Warszawę porównać do wrót malowanych), wzorowo siedziałam w domu, pracowałam nad Wandą i czytałam. »Biblioteka pana Predygiera stała przedemną otworem«... Nigdy w życiu, ani przedtem, ani potem tyle książek nie wchłonęłam. Czegóż to wówczas nie miałam w ręku! Ale co tam! Byłam wówczas dobra, jak cukier lodowaty... »W tem rzecz!« — jak mówił zacny pan Multanowicz. Kochałam Wandzię, moją uczenicę, kochałam ją szczerze, jak rodzoną młodszą siostrzyczkę. Kochałam nawet panią Predygierową, choć była względem mnie zawsze twarda, wyniosła i z góry wielkością olśniewająca, jak latarnia gazowa. Byłabym może szerokiem sercem miłowała i pana Predygiera, gdyby nie to, że był bogatym, niezrozumiałym, obrzydliwym, tłustym mężczyzną, w którego oczach widziałam przez cały rok tylko dwa uczucia: albo chytrość, albo tryumf. Stopniowo wszystkie afekta zgasły. Nie zakwitła w tamtem mieszkaniu między mną i tymi ludźmi nawet przyjaźń, nawet życzliwość. Dziś już wiem, że niema w tem nic dziwnego... Bo czyliż najnędzniejszy, ze wszystkich najlichszy kwiatuszek może się rozwinąć w lodowni?

Pamiętam moją pierwszą bytność w teatrze, na koncercie Lutni, na odczytach. Dziś tylko słabą remi-

niscencyą poznaję te urocze, prawie mistyczne wzruszenia, kiedy zobaczyłam na scenie... »Mazepę«. Gdym usłyszała świetnych aktorów, głoszących cudowne wiersze Słowackiego, które umiałam na pamięć, »moje« wiersze... Wówczas także los dał mi możność »ujrzenia« kilku literatów, których miałam w prostactwie mojem, z miasta Kielc importowanem, za wiodących ród swój od Apollina. Później, ale dopiero później, przekonałam się, że daleko częściej wywieśćby się mogli od Bachusa i Merkurego. Teraz już wiem, że talent, to w większości wypadków — torba, czasem cennych klejnotów pełna, którą na plecach nosi z przypadku byle »facet«, a nieraz byle rzezimieszek. Wtedy! Ta groza wielka, kiedy wchodziłam do pokoju, gdzie, zaproszony przez pana Predygiera na pieczeń, siedział on, sam on...

Ale swoją drogą... I dziś jeszcze takbym pragnęła zobaczyć z jakiegoś kącika: Tołstoja, Ibsena, Zolę, Hauptmana. Chciałabym także słyszeć mówiących: Przybyszewskiego, Sieroszewskiego, Tetmajera i jednego tylko i c z a (rozumie się — Witkiewicza).

Od tych wielkich wolę dziś świat, z którym zetknęłam się tutaj. Ten, co mię najmniej rozczarował, środowisko czujące bez afektacyi, nasze »matki-panny«, ludzie pokornego serca, o wykrzywionych butach i zrudziałych mantylach. Zdawało mi się niegdyś, że świat z nich się składa. Reszta, sądziłam, są to czasowo zaniedbani, którzy, otrzymawszy prawdę, zwrócą się ku niej i zaczną nowe życie.

Utwierdzały mię w tych rojeniach listy Staszki Bozowskiej, pisywane z zapadłej dziury, dokąd poje-

chała. Te listy, było to nic więcej, tylko wzniosłe nieprawdy, obcowanie dusz łatwowiernych. Dziś oto już Staszka umarła. Jam mam łez pełne serce i oczy...

*18 Października.* Kiedy zaczęłam pisać, chciałoby się uprzytomnić sobie i to i tamto. Tyle nasuwa się szczegółów, tyle osób zdarzeń i uczuć. Wszystko to nie daje się objąć i złączyć, rozpierzcha się, jak żywe srebro i leci w swoje strony. Takie jest nasze życie, ruchliwe, prędkie, bez steru...

Myślałam dziś w nocy o Wacławie i znowu mam ten ucisk serca. Jest to rzeczywiście jakaś szydercza fatalność: Henryk, który został wyrzucony z szóstej klasy, siedzi w Zurychu, chodzi sobie na »filozofię« i ma się dobrze, a Wacek, który opuścił gimnazyum ze srebrnym medalem, świetnie pracował tutaj na przyrodzie, był przez wszystkich poważany, — tak bezużytecznie skończył. Potworna jest logika tych faktów. Ciotka Ludwika rzekłaby pewno: — »to wszystko dlatego, że jesteście za mało religijni«...

Często mi się zdaje, że ludzie mają jakieś ukryte podobieństwo ze zwierzętami: osobniki wyróżniające się prześladują jednomyślnie, a bez porozumienia między sobą, jakimś odruchem stadowym.

*24 Października.* Byłam w teatrze. Grano »Nauczycielkę«, utwór wyróżniony przez gremium krytyków. Dziwi mię, dlaczego autor przedstawia swą heroinę, jako uwiedzioną, kiedy takie fakty nie mają chyba miejsca. Prawda życiowa jest z pewnością brutalna. Wiem np. jakich tentacyi doświadczała Hela R., albo panna Franciszka W... Cnotliwi mężowie z pod pantofla są w tych szrankach stokroć bystrzejsi od

kawalerów. Guwernantki bywają mądre, albo głupie, złe, albo dobre, brzydkie albo ładne, albo wszystkie muszą być pod tym względem bez zarzutu. Może cudzoziemki, — tego nie wiem. Tam zachód, podobno, łatwiej się opłaca. Ale żywioł miejscowy...

Guwernantka, jako istota obca, zazwyczaj społecznie niższa, jest ciągle na cenzurowanem. Gdyby dała tylko powód do wzmianki — już po niej! Cenzura może być łaskawą, nawet życzliwą, nawet pochlebną, ale nie ustaje nigdy. Przytem już to samo, że się zajmuje stanowisko trudne i niższe, a jest się częstokroć znacznie wyżej — tworzy i udelikatnia uczucie dumy, szlachetne uczucie, które, jak kij, służy do podparcia w chwili znużenia i do obrony przed wrogiem. Ono samo już jest hamulcem niemałym, kto wie, może całkowicie wystarczającym.

*26 Października.* Czytam Ludwikę Ackermann. Ona mówi w pewnem miejscu, że kobieta pisząca poezye jest śmieszna. Zdaje mi się, że ma racyę. Dlaczego?

Poezya jest to szczery głos duszy ludzkiej, wybuch pewnej formy namiętności. Ten rzut ducha musi być walką o rzeczy nowe, głoszeniem tajemnic nieznanych.

Kobieta dotychczas za twórcę uważać się nie ma prawa. Śmieszną jest, gdy przeoczy całą, a tak ogromną wyrwę, która ją dzieli od człowieka szczerego. Jakież to nowe prawdy duszy kobiecej jej poezya zawiera? Tylko miłość (notabene męska). Czasami wrzask rokoszu, to jest czegoś przejściowego, co raczej uboży, niż zbogaca...

Dość często bunt o prawo głoszenia tego, co już zostało powiedziane przez mężczyzn. Najczęściej zaś obłudę, albo pięknie, ciekawie, zagadkowo (dla mężczyzn) czujące niedołęstwo miłosne. Wszystkie prawdziwe poetki osobistość swoją rzeczywistą zostawiają w cieniu. (Np. Ada Negri). Jeżeli Safo nowoczesna chce mówić zrozumiale, jako człowiek, musi mówić, jak mężczyzna.

W rzeczywistości wszystkie te same uczucia ona posiada, może nawet serce jej zawiera ich więcej i daleko subtelniejszych, ale nie może ich, nie śmie wyrazić szczerze. Myśli jej biegną odmiennem łożyskiem, mianowicie są czystsze, a raczej nie tak brutalnie zmysłowe, namiętności zaś zgoła inne, wcale nie takie, jak je przedstawiają dzisiejsi autorowie i to nietylko mężczyźni, ale i kobiety. Mężczyźni wszyscy są zmysłowi w sposób ohydny, naprzykład, dla młodego dziewczęcia. Tak się malują w sztuce, którą stworzyli. I tacy są naiwni w tej swojej zwierzęcości, że litowaćby się trzeba nad nimi, jak nad małemi dziećmi. Co tylko ich w sąsiedztwie »caca«, to zaraz do buzi! Nie uważają sobie wcale za obowiązek z większą ostrożnością wyrażać swych brutalstw, choćby przez grzeczność, przez wzgląd, że może »płeć słaba« inaczej to samo czuje...

Wszystko zaś, co w wielkiej sztuce mogłoby wyjść od kobiet (rozumie się równie silnego), dotychczas przynajmniej, musi się wpierw ukształtować na modłę męską. To też można czasami czytać utwory pisane przez kobiety i malujące niby to uczucia niewieście, utwory skłamane świadomie od *a* do *z*. Jest

to kokietowanie przez damy rodzaju męskiego za pośrednictwem literatury. Mężczyźni tymczasem doskonale bronią swego ustroju i potępiają wszelkie próby wyodrębnienia się duszy odmiennej i nowego, jeszcze nieznanego rodzaju sztuki wraz z jej bezgraniczną sferą tajemnych sposobów. Panowie świata musieliby uledz nowej z gruntu »inakszej« krytyce, co nie mogłoby być miłe. To też sądy dzisiejsze w tej dziedzinie nietylko mężczyzn, ale w ich szkole wychowanej masy kobiet, bardzo są zbliżone do pojęć indusów, którzy uważali białogłowę za nieczystą, gdyż... bywa taką czasami. Jedno i drugie nie od jej woli zależy, ale traktowane jest z prostotą prawdziwie indyjską, jako fakt, który sam w sobie jest rozważany.

Czyliż mężczyźni uczuć najbardziej wzniosłych, poeci, szanują w kobietach ducha ludzkiego? Wydaje mi się, że nie. Oni uwielbiają piękną istotę, o ile jest skarbnicą właściwości dla nich rozkosznych, chociaż posiadanie tych cnót nie może być liczone na karb jej zasług. Najbardziej zawsze sławiony był typ kobiety, wywierającej jakiś wpływ demoniczny. Może mniej, ale szczerze i ślicznie wychwalano dusze czyste, cierpiące, bez skargi, słodkie istoty, które nie myślą bronić się, ani mścić, jak Ofelia. Istoty, korzystającej z praw do szczęścia osobistego, użytkującej z sił przyrodzonych ducha i zdolności umysłu — prawie niema. Daleko łatwiej znaleźć w literaturze szlachetne dążenie mężczyzn do rehabilitacyi kobiety winnej niż oddanie praw i szacunku pokrzywdzonej. To drugie nie jest ani sielanką, ani tragedyą, więc nie może budzić »estetycznego« wrażenia. Dopiero Ibsen, nieśmiertelny „pra-

wdomówca, ten, co postacią Jadwigi w *Dzikiej kaczce* śmieje się, jak szatan, jak nie-człowiek z kultury ludzkiej, — zaczął przezierać istotę rzeczy. Ale i on nie może się powstrzymać od hołdowania prawom kierowniczym sentymentu męskiego. Istotna poezya kobieca drgała może, ale w pieśni niewolnicy, gdy na tarasie rzymskiego magnata, wobec tłumu rozwalonych patrycyuszów musiała śpiewać dla ich zabawy pieśń swego kraju...

My jej nie znamy. Kiedy się wmyślam w ten śpiew i chcę go odgadnąć, zda mi się czasami jakbym słyszała go gdzieś, za czwartą ścianą... Niekiedy sięga do mego serca i wówczas, przez cały dzień słyszę w sobie dźwięk tych strun, szarpanych w boleści przez zakrwawione palce. Wtedy poetka mówiła prawdę; oto jest co ja czuję! To jest w mem sercu! Wszystko mi jedno, co powiesz o mojej pieśni. Ja sobie samej, sobie jedynej śpiewam...

Ale dziś... I dziś istnieje ten sam płacz kobiety oszukanej, sprzedanej przez rodzinę, niewolnicy mężowskiej, która kocha innego, upadłej i wzgardzonej przez obłudną cnotliwość gromady. Istnieją marzenia zakochanej niewinnie i namiętnie, tej, co poczęła i pod sercem nosi dziecię... Cóż znowu! Takich dźwięków nie można wydobywać z »liry!« Byłoby to niemoralne, szerzyłoby zepsucie...

*27 Października.* Przeczytałam co tu stoi od wczoraj i nadal będzie »stojało« ku oświeceniu wieków. Chciałabym pisać prawdziwie i szczerze, a to jest trudność niesłychana. Mam dużo myśli na pół świadomych, jakby zabłąkanych z cudzej okolicy, które,

jeżeli nawet sama sobie zechcę sformułować, już się zmieniają pod piórem i nie są takie... Jak to zapisywać? Tak, jak nadchodżi, czy też tak, jak się w słowie zmienia? To drugie przypomina mi z *Nieboskiej komedyi* tę chwilę, kiedy *Mąż*, rozpaczający pięknemi zdaniami nad niedolą żony obłąkanej, słyszy obcy głos: »Dramat układasz«...

*30 Października.* Pisałam dwa dni temu o większej czystości kobiet. Zdarzyło mi się już nieraz, że gdy jestem jakąś myślą szczerze i głęboko zajęta, w świecie otaczającym znajduję, jeśli nie rozwinięcie dalsze, to w każdym razie szczegóły i ułamki, które do niej należą. Prawdopodobnie to skupiona myśl, jak światło w ciemności, wyławia z otoczenia wszystko, czegoby w innych warunkach nie dostrzegła, gdyby nie wiem jak nasuwało się przed oczy.

Byłam u Maryni. Rzadko się z nią widuję, a lubię ją, — jakby to wyrazić? — odruchowo, wbrew, a może na przekór woli. Ona jest do gruntu niewinna, czysta, bielutka i bardzo prostego serca, a przecież bardzo lubi więcej, niż jednego, niż dwu lub trzech mężczyzn. Pierwiastek erotyczny stanowi w tem wszystkiem tylko pewną domieszkę. Nie chcę powiedzieć, żeby nie grał żadnej roli, ale jest to daleko bardziej coś w guście manii wielkości. Gdy jej fundowałam delikatną uwagę, odrzekła mi ze szczerozłotą naiwnością, że nie wie, czemuby nie można było kilkoma naraz być »zajętą«. (»Nie zakochaną — cóż znowu!«).

Te sympatye są w zupełności odrębne, łączą się przecież między sobą podobnie, jak naprzykład, warstwy w torcie. Każda z osobna jest inna i bardzo dobra,

a czyliż z tego wynika, żeby wszystkie razem wzięte miały źle smakować? A przecie, mimo tej łobuzerskiej filozofii, Marynka nie byłaby zdolną wyładować ze siebie ani krzty tej »bezbożności«, na którą skarży się w swej piosence Ofelia.

*4 Listopada.* Jeden z tych dni ciężkich, co to wydają się być podobnymi do istot srogich i nikczemnych. Dzień taki trwa długo i nie chce odejść, jak lichwiarz, który wszystko swoje musi w tym terminie wydusić. A gdy już wreszcie zdechnie, — zostawia po sobie czarny cień, noc bezsenną, pełną łez, widzeń i strachów. Jedna z »życzliwych mi« osób, pani Laura, w której domu od trzech lat daję lekcye dziewczętom, z emblematami żywej jakoby — litości, zakomunikowała mi smutną wiadomość. Czerpie ją od współplotkarki, świeżo przybyłej »z wojażu«. Oto — Henryś, podobno nie »robi doktoratu«, jak mię tysiące razy upewniał, ale robi długi, skandale i awantury. Miał jakiś pojedynek, uczestniczył w burdach knajpiarskich, siedział w kozie miejskiej, był przez policyę zrąbany szablami. Jest tego wszystkiego tyle, że trudno wyliczyć, a najważniejsze ze wszystkiego — kłamstwo. Jakoby wcale, od dwu lat nie chodził na wykłady. Brak mu minimalnej ilości semestrów, potrzebnych do egzaminu — słowem plugawe bagno faktów. Słuchałem tego cierpliwie, z uśmiechem, jednocześnie mówiłam ustami: — Wiem, wiem, proszę pani, jaki to łobuz...

W duszy miałam co innego.

Musi w tem być sporo prawdy, jeżeli mu cofnięto stypendyum muzealne. Wszystko to zresztą nic, ale kłamstwo, »nabieranie« głupiej siostrzycy. Gdyby opisał,

jak jest, anibym mu robiła wymówek, anibym nawet nie uważała za złe. Od tego jest tęgi bursz, żeby robił skandale. Tylko to dowiadywanie się z boku, od ludzi obcych, którzy pomimo woli, wyładowują na mnie gnijącą w każdej duszy człowieczej *Schadenfreude*...

*5 Listopada.* Mało snu, bo dopiero nad ranem zapadam w stan drzemania i dziś łażę z wdziękiem zmokłej kury. Lekcye odbywałam, jak ciężkie roboty. Zgnębienie dusi, — sprawia, że człowiek usuwa się, kurczy, nędznieje. Postanowiłam z tej dusznej ciasnoty, gdziem była zatarasowana przez gorzką wiadomość, siłą się wydobyć. Nie, nie opuszczę Henryka! Będę dwa razy więcej pracowała, wezmę nowe lekcye, może nawet ranne. Niech skończy choć jakiekolwiek kursa, to przecież będzie mógł tutaj lżej pracować. Nigdy nie odżałuję, że nie zdał do politechniki, — ale to trudno. Te *Freifachy* trwały już rzeczywiście nieco za długo.

*6 Listopada.* Dla oszczędności biorę do siebie pannę Guêpe. Zagrodzi mi to życie więcej, niż o połowę, ale trudna rada. Już moja izba będzie tylko w części kryjówką, nawet ten dziennik będzie się tylko dorywczo pisało. Wpłynie wszakże tym sposobem co miesiąc prawie ośm rubli. Muszę dać Wacławowi na kożuch, walenki... Jegierowskie ubranie. Trzebaby po dwie pary. Pamiętać, pamiętać, że pani F. jedzie 18, 18, 18!

*13 Listopada.* Wzięłam nową lekcyę. Wcisnęłam ją między Lipeckich i Zosię K. Nowa robota jest to przygotowanie dziewczynki, Heni L. do klasy wstępnej na pensyę. Nie zna się jeszcze na niczem. Ani dyktanda, ani tabliczki mnożenia, ani żadnej rzeczy. Pokój

 

duży, ciemny, jak piwnica, o jednem oknie, wychodzącem na ciasny dziedziniec. W tej porze jeszcze słońce nie zachodzi, ale tam już jest wieczór. Siedzimy z tą Henią naprzeciwko siebie przy stole i wydajemy, to jedna, to druga, dziwne głosy.

— *Ces enfants ont trouvé leurs mouchoirs, mais ils ont perdu leurs bonnes montres.*

Najprzód ja to mówię wielkim głosem, później ona z usiłowaniem wydobycia ze siebie dźwięków takiej samej grubości. Myśli pewno, że po francusku trzeba mówić tak grobowo. W dużem i ciemnem mieszkaniu rozlega się to wszystko, gdyby jakieś wywoływania wolnomularskie. Czasami małej przychodzą do głowy dziwne kombinacye. Zadaje mi pytania, na które żadną miarą nie można dać odpowiedzi...

Stamtąd, wysiedziawszy godzinę, pędzę, co koń skoczy, na gumach kaloszowych w głębie Powiśla do Blumów z pilną wiadomością, że »trybem oznajmującym wypowiadamy czynności w stosunku do odnośnego podmiotu rzeczywiste — rozkazującym rozkazane lub zakazane, warunkowym czynności tylko możebne, przypuszczone, zamierzone...« Tam czeka zawsze czuły kuzyn.

Teraz dzień już jest napchany, formalnie napchany, jak żydowska torba, lekcyami. Tak się przyuczyłam do systematycznego chodzenia w oznaczonych terminach, że w niedzielę, trawiąc poobiednie godziny lekcyi na czczej gawędzie, albo czytaniu, doznaję co chwila odruchów przestrachu i zrywam się jak waryatka. Same nogi skaczą i wykonywują jakieś logarytmy kursów na Smoczą, lub na Dobrą.

Któżby uwierzył, że ja, nędzny twór kielecki, dojdę kiedyś w samym środku Warszawy do 62 rubli miesięcznego zarobku z wysiewania po różnych ulicach tajemnic wiedzy!

Guêpe już się sprowadziła. Ma kardynalną wadę francuzek: jest gadatliwa. Wprawdzie ja korzystam z tego, bo wieczorami muszę z nią gwarzyć i małpiarskim, czysto kobiecym trybem nabieram paryskiego akcentu we francuzczyźnie, ale zato śpię kiepsko. O dwunastej jeszcze się śmieję z jej przygód. Często później nie mogę usnąć. Biją godziny...

Wstaję słaba i wówczas coś dygoce we mnie, jak w naszym starym, ściennym zegarze, gdy go było poruszać. Dziwne jest to, że w takich razach wcale mi się spać nie chce. Chyba, że się zmęczę, zmorduję aż do upadku. Gdy to nastąpi, jestem wprost bez przytomności, nie wiem, co do mnie mówią i trajkoczącej Giepce odpowiadam trzy po trzy.

*15 Listopada.* Czytałam w niedzielę dużo rzeczy pięknych. Dotąd je mam w głowie, niby jakieś przedmioty nie moje, słabo zrośnięte z moją osobą duchową.

Niewiele uczuć może taką żądzą pożytecznego działania napełnić serce, jak oschła wiadomość, ile cierpiano, ile znoszono dla szczęścia pokolenia dziś żyjącego, którego cząstkę my tu stanowimy. Jest jakieś dziwne braterstwo, idące wstecz, do tych, co już wszystko spełnili. Nikogo z żywych nie można otoczyć w myśli taką czcią, świętą czcią, jak tych, co zostają za nami w mroku niepamięci.

Przyszłam do wniosku, że i bardzo ciężkie cierpienia moralne, troski subtelne, tkliwe i głębokie,

 

można jeśli nie leczyć, to w każdym razie znieczulać pewnego rodzaju naciskami. Gdy się jest tak smutną, że łzy płyną z oczu za lada powodem, trzeba czytać, naprzykład jakieś »Sprawozdanie z siódmego okresu czynności Banku Handlowego«, albo — »Jedenaste zgromadzenie ogólne, zwyczajne, akcyonaryuszów Drogi Żelaznej Warszawsko-Terespolskiej«... Gdy się takie rzeczy w chwilach odpowiednich uparcie i świadomie studyuje, to działają one swoją olbrzymią obcością, swoim bezwzględnym, gustalowym egoizmem na subtelne i czułe uczucia tak mocno, jak roztwór Schleicha. Ta sól na pewien czas odrętwia pnie nerwowe tak do gruntu, że można okolice, przez jej pole działania zajęte, krajać bez bólu lancetem. Inna rzecz, gdy cierpienie jest srogie. Wtedy »Jedenaste sprawozdanie« samo z rąk wyleci, jak ciężar nadmierny.

*17 Listopada.* Zdaje się, że spisywać pamiętnika takiego, jak zamierzyłam, nie mogę. Zbyt skromny mam zapas stałości. Trudnoby mi było utrzymywać, że, dzisiaj rano spokojna i prawie wesoła, nie będę o zmroku tonęła w rozpaczy, niestety! — nawet bez wielkich powodów. Brak pieniędzy, milczenie Wacka, myśli o Henryku, jakieś czcze, drobne, małe dzieje dnia jesiennego, które Krasiński tak słusznie mianował »podłemi...« Najczęściej jakaś niedola daleka, daleka. nie moja ani twoja, tylko tutejsza... Wtrąca mię to w smutek, a raczej w jakąś bolesną oziębłość. Nie jest to bynajmniej spokój! O, nie! Spokój to stan bezcenny, Troski i biedy uczą odczuwać spokój jako szczęście. Tych stanów przejściowych niepodobna tu zanotować, tak samo, jak nie można patrzeć w lustro, gdy się jest

czemś do głębi wzruszoną. Nie sposób ich także odtworzyć, używając równoległych i tej samej miary słów pięknych, gdyż i tak byłoby to coś wręcz innego. Mnóstwo rzeczy minęło i ciągle mija, a ja nietylko nie mogę ich przytoczyć, ocenić, ale nawet wskazać. Czasami jestem tak bez sił, że nie sprawiłoby mi wielkiej trudności usiąść na brzegu trotuaru, którym pędzę z lekcyi na lekcyę i wypoczywać wśród śmiechu przechodniów.

Jakże szczęśliwe są te damy, które mijam, wolnym krokiem idące na spacer, czy tam dokąd. Toczą miłe, urocze, wesołe rozmowy z modnie ubranymi panami. Kto są ci ludzie? Co oni robią, gdzie mieszkają? Nie znam ich wcale. Świat jest tak mały, taki ciasny, a taki zarazem olbrzymi! Człowiek na nim jest to biedny niewolnik, biegający wciąż tą samą ścieżką, tam i z powrotem, jak wilanowska kolejka.

Cofnęłam się myślą do miejsc, gdziem dawniej była, i samą siebie przypomniałam z przed lat kilku.

Byłam wtedy lepsza. Dziś nie mogłabym już tak zamęczać się pracą, byle »coś dobrego zrobić«.

Cóż to będzie? Czy ciągle będę coraz gorsza, coraz gorsza? Wtedy, w Kielcach, w naszych Głogach, w Mękarzycach, a i tu dawniej, w Warszawie robiłam wysiłki, żeby być inną. Teraz jestem jakaś popędliwa, pełna złych myśli. Jakaż to dawniej byłam ascetka we względzie wygód! A teraz drobnostka mi dokuczy.

Długo nad tem myślałam, co się mianowicie we mnie zmieniło. Miałam dawniej wiele wiary w dobroć ludzi i dlatego byłam gotowa spieszyć się ku nim. Miałam łaskę zupełnego, całem sercem oddania, się

myśli o rzeczach niematerjalnych, o sprawach innego porządku.

Dziś jestem taka zimna! Tamte krynice rozkoszy ledwie pamiętam. Zrobiłam się jakaś nieczuła na cierpienia innych. Mogę powiedzieć, że bardziej chłodno, (a może tylko nie tak) odczuwam biedy własne.

Naprawdę mam i teraz dla wielu osób dużo uczucia, ale takiego często doświadczam złudzenia, jakbym już ani Henryka, ani Wacława nie kochała dawnem sercem. Zrobię jeszcze dla nich i dla innych ludzi, co mogę, ale nie czuję już szczęścia z tej prostej racyi, że i ja przecie do czegoś służę. Mam jeszcze dużo entuzyazmu dla dobrych i płonących natur, dla wszystkich co się męczą, a pogardzają złem ukrytem, ale to już jest inne. Nie wiem, nie mogę tego szczerze wyznać, czy kocham takich ludzi, czy tylko chciałabym iść z nimi w szeregu z tego wyrachowania, że to jest szereg, w którym iść najbezpieczniej, bo do zwycięstwa. Jest to ta droga, po której »dusza w ciemności schodzi, w ciemności noc bezdenną...«

Dawniej istnieli dokoła mnie szlachetni ludzie, natury głębokie, ciche, skromne, tkliwe, często w swej poczciwości wytrwałe, jak żelazo, skłonne do zupełnego zaniedbania siebie dla innych. Cechowała ich jednolitość dążeń i usposobienie równe. W ich obecności było tak dobrze, tak ufnie i tak cicho na sercu... Byli to moi rodzice, sąsiedzi, niektóre osoby w Kielcach. Czy to była dusza inna, czy może tylko zdolna do ślepej łatwowierności? W moim dawnym świecie nie było ani jednej osoby, do której czułabym odrazę. Dzisiaj ileż jest takich! Naprzykład, ten jakiś kuzyn u Blumów,

który zawsze drzwi mi otwiera i pomaga zdjąć okrywkę. Czekam z cierpliwością, że mię kiedyś w tym korytarzu zechce zaczepić w sposób, licujący z jego wejrzeniami. Wydaje mu się apetyczną ta nauczycielka, przychodząca do jego kuzynek... Nie mogę przecie żądać, żeby mi drzwi nie otwierał i nie pomagał zdejmować mantyli, ale darzę go taką odrazą, jakbym patrzyła na stonogę, albo na brudny gęsty grzebień. Dziwię się, że on nie odczuwa tego afektu. Zdaje mi się, że to ze mnie promieniuje. A może w miłości tego rodzaju, jaką on ma na myśli, uczucia wstrętu strony słabszej nie wchodzą wcale w rachubę... Nie powinno mię to wszystko wcale obchodzić. Mam zupełną możność traktowania tej osoby z taką przedmiotowością, jak, dajmy na to, barana, albo innego reprezentanta fauny, ale nie mogę... Wogóle trochę za dużo interesuję się tą sprawą, tyle o tem piszę, że to budzi podejrzenie. Czy tylko w tej »odrazie« nie kryje się *krzyna* jakiej satysfakcyi?

*18 Listopada.* Na Waliców tramwajem. Kiedy wsiadłam do przedziału i już zapłaciłam konduktorowi, dopiero spostrzegłam, że w rogu siedzi ten śliczny jegomość w cylindrze. To już trzeci raz go spotykam. Ścierał co chwila ręką parę i wyglądał przez oczyszczony kawałek szyby. Na co on czekał? Jeżeli to miała być kobieta, to jakaż jest szczęśliwa! Kto on jest? Co robi? Jak mówi? Jakie też myśli kryją się w tej prześlicznej, w tej arcy-głowie? Mam ciągle w oczach jego twarz zamyśloną i wyobrażenie całej postaci. Dziś na lekcyi u F. bezwiednie i bez żadnego wysiłku, na pół wiedząc o tem, co kreślę, zrobiłam ten profil

 

o bardzo subtelnej kombinacyi rysów, pełen harmonii i jakiejś walecznej siły. Jak to dobrze, że sobie wyskoczył na rogu Ciepłej, bo, kto wie, możebym się była w nim zakochała. Przez cały dzień, ciągle było mi bez żadnego powodu przyjemnie, jakoś tak radośnie, jak gdyby za chwilę miało mię spotkać coś nad wyraz miłego. Gdym usiłowała zrozumieć, co mi się dobrego zdarzyło, płynęła z ciemności jego twarz — i te oczy, szukające czegoś za szybą.

Niech go spotka w życiu wszystko dobre...

*19 Listopada.* »Najzacniejsza pieśń Salomonowa« mówi: »I któż to jest, który wychodzi z puszczy, jako słupy dymu, kurząc się od mirry, od kadzidła i od wszystkich prochów wonnych...«

Najzacniejsze słowo! Jest to realny opis uczucia... Tego, który przychodzi z puszczy... Słowa bez sensu tłómaczą istotę uczucia tak ściśle, jak algebra.

*20 Listopada.* »Na łożu mojem w nocy szukałam tego, którego serdecznie miłuję, szukałam go, alem go nie znalazła. A przeto teraz wstanę, a obejdę miasto, będę szukać po ulicach i po miejscach przestronnych tego, którego z duszy miłuję. Szukałam go, alem go nie znalazła...«

Nieskromne, upokarzające!... Te słowa — to rumieniec. Każda litera pali się ze wstydu. Coż, kiedy prawda, cóż, kiedy prawda...

*22 Listopada.* Znowu ten kuzyn ze swoim uśmiechem, przyklejonym do warg gumą arabską! Kiedy on staje we drzwiach w chwilę po naciśnięciu przezemnie dzwonka, jestem wprost bezsilną. Czuję odrazu, że robię się czerwona, jak burak. I żebym nie wiem jak

usiłowała zblednąć — wszystko darmo. Tracę władzę nad głupiem czerwienieniem się, — ręce mi drżą. Ten frant gotów pomyśleć, że wywiera na mnie tak piorunujące wrażenie, a on mi tylko ubliża. Czemuż to nie jest tamten z »Pieśni nad pieśniami?« Rumienić się w towarzystwie osób dobrych i delikatnych nie jest wcale tak bardzo przykro. Jest to wówczas, jakby się nie chciało wymawiać pewnych słów ordynarnych, ciapać wargami, albo patrzeć na rzeczy nieprzyzwoite. Ale tu! Czytałam gdzieś, że w Egipcie sprzedawano talizmany, które miały strzedz kupującego od uroków. Mówiono wtedy: od spojrzeń dziewczyn ostrzejszych, niż ukłucie szpilką, od oczu kobiet ostrzejszych, niż noże; od spojrzeń chłopców bardziej bolesnych, niż uderzenie batem, od spojrzeń mężczyzn cięższych, niż uderzenie siekierą. Jakżebym chciała być zabezpieczoną od ostatnich spojrzeń, od »tych« spojrzeń!...

Dzisiaj pani B. przytrzymała mię w swym »zagraconym« salonie, a ten »literat« wsunął się tam niezwłocznie jedwabnymi kroki. Czułam jego osobę, mimo żem nie podnosiła oczu. Zaczął mówić rzeczy oklepane, które pewno słyszał od kogoś mądrzejszego.

O Niezschem! Mam silne poszlaki, że uważa się za nadczłowieka i za ucznia filozofa, którego sądzi z »artykułów« pism warszawskich. Specyalnie jest znakomity, kiedy rozpoczyna zdanie w sposób pełen obietnic:

— Bo trzeba pani wiedzieć...

Albo:

— Pewno pani sądzi, że... otóż...

I dopiero wygłasza myśl znaną mi i niepotrzebną,

jak wyświechtany komunał. Rozmowa jego zmierzała do tego, żeby podkreślać pewne w niej wyrazy. Ciekawam, czyby się ten nadfacet odważył tak te wyrazy akcentować w rozmowie z jedną z pań bogatych, która mogłaby mu na to odpowiedzieć z całą śmiałością? Ale niech go tam Pan Bóg ma w swojej opiece! Cóż z tego, że ktoś mi da dowód swego lekceważenia, korzystając z tego, że jestem nauczycielką? Czy to mię ma boleć? Jest wcale niezasłużone... Znosić tego nie mogę bez udręczenia, ale mogę przecie lekceważyć. Muszę zresztą, bo nie starczyłoby mi innej odporności na takie szarpanie nerwów. Tego rodzaju zdarzenia wstrzymują mię od poszukiwania towarzystwa. Jest to także brak odwagi cywilnej. Wiem, że nie odstąpiłabym osoby dobrej dlatego, że ją lekceważą, a samej siebie nie mam śmiałości ostro bronić.

*23 Listopada.* Będę zmuszona do porzucenia lekcyi u B. Trudna rada! Nie mogę robić awantur w przedpokoju, ani zanosić skarg do tej pani. Musiałam się bronić. Dziś ch. m. w. w. p. i m. Popamięta on tę sekundę! Ale swoją drogą, jakież to jest wszystko podłe!

Dawniej myślałam, że złą jest nienawiść. Gniewać się, mieć urazę — to inna rzecz, ale nienawiść! Przecie to jest pragnienie krzywdy. Nic złego nie zrobiłabym sama temu nawet adonisowi, ale wiedza o tem, że mu się coś takiego zdarzyło, nie byłaby mi już wstrętną. Powoli może przyjdę do pragnienia zemsty. Czemuż nie? Idąc po stopniach, zstępuje się koniecznie tam, dokąd one prowadzą. Wiem o tem, ale nie czuję złości do siebie, gdy jestem tak wrogo usposobiona. I któż wie, czy w istocie rzeczy nienawiść jest zła i niemoralna? Taka nie-

nawiść... Któż to wie? tylko po co *ja* o tem wszystkiem muszę się dowiadywać, na co to wszystko muszę roztrząsać?

*26 Listopada.* Cicho, cichutko umarła panna L. W niczyjem sercu zapewne nie zostawiła uczucia głębokiego żalu. Kochano ją, jeżeli tak można powiedzieć, przez obowiązek. Mój Boże, a nieraz najgorsze osoby, gdy umierają, budzą żal żywy i szczery. Któż może być poczytywany za wzór nietylko człowieka, ale za wzór ucznia Chrystusowego, jeśli nie ona, ta matka-panna? To była nietylko istota duchem czysta, ale przedziwnie czysta ciałem, jeden z posłańców bożych, co na wzór Jego »trzciny chwiejącej się nie złamie i lnu kurzącego się nie przygasi«, jak mówi święty Mateusz. Całe życie spędziła w nauczycielstwie, jakby w jakimś zakonie. Może i ona miała wady ukryte, może w tajemnicy przed bystrzejszem okiem popełniała jakie grzechy, o których nikt nie wie, ale po handlarsku ważąc jej życie, owo życie ośmieszonej starej nauczycielki, nie znajduję w niem występku. Praca, głucha praca, — praca — instynkt, praca — namiętność, praca — idea, ułożona systematycznie, jak teoremat geometryi. Życie rozłożone na lata i kwartały szkolne, a z jego rozkoszy czerpanie tylko owoców rodzinnej kultury. Nie widziałam nikogo, ktoby się tak radował istotnem »weselem wielkiem«, kiedy zjawiały się w literaturze piękne dzieła, jak *Potop* albo *Faraon.* Ona doprawdy czuła się szczęśliwą, że żyje w tym samym czasie, kiedy tworzy Sienkiewicz, a portret tego pisarza miała w swej izdebce opleciony bluszczem. W wielu sądach nie mogłam się zgodzić ze zmarłą,

 

a raczej nie potakiwałam jej w głębi serca, gdy to mówiła. Bo kiedyindziej!... Nie mogła zrozumieć pewnych nowych sił świata. Żyła w dawnym zakonie, który przez »*Macht*« Bismarka nogami zdeptany został. Jakimże sposobem przystosowała owe dawne prawa do nowego życia? Zrobiła to prosto, jak nie można prościej. Oto entuzyazm zaklęła w pracę, wtłoczyła go wewnątrz swoich obowiązków. Było to trudne, z pewnością trudne, takie skroplenie uniesienia. Trzeba było powoli, w ciągu całego szeregu lat wytwarzać system, murowany system. Tak uczyć gramatyki, stylistyki, uczyć pisania, jak to czyniła panna L. już nikt nie potrafi. W tej nauce pedanckiej, prawie dokuczliwej, zajadłej był właśnie entuzyazm. U trumny panny L. postanowiłam sobie naśladować ją. Nie przedrzeźniać, ale właśnie naśladować. Jej życie było tak wysoce kulturalne, że z naszej strony byłaby to ośla głupota, gdybyśmy mieli zaniedbać stosowania tych doskonałych wzorów. Mężczyźni naśladują przecie Anglików, ludzi innego kraju i typu, ludzi z za morza, a my, mając w domu taki widok... A więc: 1) tłamsić w sobie upadki, osłabienia, czułości, a głównie, głównie, głównie wzdychający smutek; 2) ciągle podniecać wytrwałość i kształtować wolę; 3) układać z premedytacyą i krytyką plan zajęć; 4) ściśle wykonywać, co się po rozwadze zdecyduje, choćby kije z nieba leciały. To w szczególności. A wogóle: zachowywać czystość duszy i nie dawać do siebie przystępu niczemu podłemu. Wprost nie dawać przystępu. Jeżeli bierze na się formę kuszącą, jako nowoczesność, nowotność, uderzać łajdactwo w piersi całą mocą ducha.

U trumny panny L. przyszła mi do głowy myśl, że człowiek sprawiedliwy żyje tu na ziemi daleko dłużej, niż głupiec. Małe, skurczone, uśmiechnięte zwłoki panny L. oddziałały dziś na mnie daleko silniej, niż niejedna rozprawa mędrca. Jej nauczycielstwo nie skończyło się z chwilą śmierci. Owszem, zaczęło być całkowicie zrozumiałe to, co czyniła, niby doskonała książka, której ostatnią stronicę wraz z ostatnim przeczytaliśmy wnioskiem. Tak nietylko żył, ale i leczył po swojej śmierci doktór Müller zmarły na dżumę, który w chwili zgonu przepisywał, jak ma być zdezynfekowane jego ciało, ażeby komukolwiek z bliźnich nie przyniosło zarazy w cztery dni po jego zejściu. To są ludzie, którzy osiągnęli na ziemi główną siłę: nie bali się zstąpienia do grobu. To też ich śmierć jest tylko jakąś tajemnicą poważną, pełną czci i smutku. Śmierć ludzi, którzy jej się lękali, ciska urok wstrętny, przerażający, każe myśleć, a raczej topić się i dusić w myślach o tym rozkładzie ciała, pełnym nieopisanej ohydy. I wówczas jest, jak potwór obmierzły i bezmyślny, a nadewszystko wszechwładny.

Ale jeszcze rzecz jedna. Czy życie panny L. byłoby równie pożyteczne, gdyby została mężatką i miała dzieci, a właściwie, czy byłoby pożyteczniej dla świata, gdyby zamiast tylu uczenic wychowała dobrze tylko swe dzieci? I czyby je wychowała tak dobrze? Zdaje mi się, że to jest również macierzyństwo, a raczej macierzyństwo wyższego stopnia tak kształtować dusze ludzkie, jak to panna L. czyniła. Nasze matki lekceważą sobie znaczenie matek-wychowawczyń. Tymczasem, urodzić dziecię, to wielka i cudowna sprawa natury, ale znowu

nie dyplom na wychowawczynię. Potrafi to samo byle obywatelka z rodu kafrów, czy papuasów. Może popełniam herezyę, wypisując tutaj to zdanie, ale je uważam za słuszne. Myśl moja jest taka: na świecie pełno jest kobiet niemądrych i niedobrych, ale za to pięknych i zdrowych. Są to sabinki, które napewno zostaną porwane. Nie wynika jednak z porwania, ażeby każda sabinka stawała się przez to skarbnicą wiedzy. Obowiązek (ale już wtedy i prawo) wychowywania pokoleń coraz lepszych, jeżeli idzie o to, ażeby pokolenia były coraz lepszemi, musi być odjęty niemądrym i niedobrym sabinkom i oddany brzydkim pannom L.

*28 Listopada.* Dziś, w myśl powziętych zasad, zrobiłam obrachunek dochodów i wydatków. To materyalistyczne pojmowanie dziejów mego życia z ostatnich trzech miesięcy i jeszcze bardziej materyalistyczne wysiłki przewidzenia przyszłości okazały, że prawie dwa razy więcej wydaję niż zarabiam. Kupiłam wprawdzie bieliznę dla W. i posłałam H. na dwa miesiące, a co najważniejsza, spłaciłam ze starego długu ciotki Ludwiki 40 rubli Siapsi Bożęckiemu, ale znowu zaciągnęłam u samej Marynki długów na 100 rubli z czubem. Przeraziłam się tą moją rozrzutnością, a właściwie nędzą, i postanowiłam do minimum ograniczyć wydatki. Zaczęłam od tego, że razem z Marynką kupiłam bilet do teatru. Grano Moliera »Chorego z urojenia«. Obydwie z M. przyszłyśmy do jednego wniosku... Częstokroć daje się czytać, a szczególniej słyszeć zdanie, że na świecie »wszystko już było«. Na tym fundamencie, że wszystko już było, rozmaici panowie i damy pozwalają sobie na takie rzeczy, które istotnie

możliwe były tylko w przeszłości. Przypatrując się takiej sztuce Moliera, widzi się dopiero, jak ludzkość postąpiła naprzód i to nie tylko w zakresie medycyny, ale przedewszystkiem w dziedzinie etyki. Taką dzicz, jaką widzimy na tej scenie z pewnością może, kto zechce, zobaczyć jeszcze w radomskiem, kieleckiem, a nawet sandomierskiem, a niewątpliwie wszystko to należy już przecie do epoki, którą opisuje Molière.

Małe to i już osobiste spostrzeżenie. Jestem niby to zgnębiona śmiercią panny L. i innemi okolicznościami, a przecie potrafię pękać ze śmiechu za lada konceptem. Zawsze miałam to pochlebne o sobie mniemanie, że jestem lekkomyślna. Teraz ten przymiot zdaje się wzmagać. Nic we mnie stałego, niezmiennego. Gotowam jak najswobodniej się bawić i to nietylko w teatrze, ale z pierwszym lepszym knotkiem na lekcyi, pomimo, że nibyto mam swoje smutki. Jakże wobec tego można sobie ufać, gdy w człowieku jest jakieś licho ukryte, nie dające chwycić się za uszy. Musi to być, widocznie, siła tej ziemskiej powłoki, siła zwierzęca, dla której śmiech jest konieczny, jak targanie przez wicher dla roślin. Należałoby umartwiać to mieszkanie ducha...

*30. Listopada.* Nazywa się: doktór Judym.

*1 Grudnia.* Nie jestem wcale przesądna, nie wierzę we znaki, a swoją drogą, gdy się coś takiego zdarzy, jest mi bardzo przykro. Teraz szczególniej, po dzisiejszej nocy. Zdaje mi się, że stoję wobec jakichś brutalnych i potężnych osób, które mię skrzywdzą. Usnęłam późno, w znużeniu i smutku. Ujrzałam we śnie salę ciemną, coś jakby sąd w Zurychu, gdziem nigdy

przecie nie była. Wprowadziły mię tam osoby w ciemnych, skromnych uniformach. Szczególniej jeden... Skąd taka twarz?... Widzę go jeszcze. Osoby te rzekły do mnie, że Henryk popełnił zbrodnię morderstwa. Ogarnął mię przestrach, jakiego nigdy w życiu nie doświadczyłam. Zarazem uczułam w sobie decyzyę tak przejmująco silną, jak ta wiadomość: nie pozwolę! Stałam przy oknie, wpuszczonem w gruby mur, które prowadziło do groźnej izby złote i jasne światło słoneczne. W dali było granatowe, faliste jezioro i białe góry. Wtem dał się słyszeć głos: przyprowadzić!

Henryk wszedł do sali. Na jego twarzy bladej i wychudłej był uśmiech, ale jakiś straszny! Czułam się tym uśmiechem nawskróś przeszyta. Gdy chciałam zbliżyć się, wszedł człowiek pospolitego wyglądu ze stalowemi nożyczkami w rękach. Henryk usiadł na krześle i wtedy jego uśmiech stał się jeszcze bardziej, jeszcze bardziej... podłym. Felczer strzygł włosy, piękne, jasne włosy mojego drogiego braciszka. Pukle ich toczyły się po czarnem ubraniu i spadały na brudną ziemię. Ktoś mię wtedy ujął za rękę... Ale któż to był... O, Boże!

Usiłowałam przemówić, krzyczeć, ale ani jednego dźwięku nie było w mojej gardzieli. Nawet płacz nie mógł się z piersi wydobyć. Guêpe zawołała na mnie.

Obudziłam się i usiadłam, pełna jakiegoś strasznego uczucia. Nie mogę tego wypowiedzieć... Ten ból senny, stokroć boleśniejszy, niż jakikolwiek za dnia i owo tajemne, a samo z siebie widzące przeczucie... Może, ach, najpewniej — wieszczba nieznanych mi cierpień, przyszłych, a tak głębokich, że objąć je — już

jest boleść... Nie mogłam poruszyć ani ręką, ani nogą. Zwolna odlatywała od mojego serca zmora i cicha radość, że to był sen, radość, jak święty promień słoneczny, sączyła się do jego głębi. Cóżby kto mógł tak na świecie kochać, jak ja tej nocy mojego brata? Zdaje się, że ludzie najsilniej kochają swoją familię. Ja nie lubię tych moich uczuć rodzinnych, ani je cenię, a nic nie ma nade mną takiej okrutnej, takiej niezgłębionej władzy, jak one. I co to jest?

Czy należy mieć takie uwielbienie dla osób, które może tego nie są warte?

Przecie tyle zjawisk, osób i spraw na ziemi... Jakież to zdanie wypisałam tutaj?...

*2 Grudnia.* Henia ma odrę, a ja godzinę wolną. Wpadłam do domu i siedzę sama. Ach, jak niemiło... Mgła o barwie śniadej wlała się w zaklęsłe podwórza. Dopiero godzina czwarta, dzień jeszcze, a nie widać odległych wieżyc dachów, które zawsze rysują się na moim horyzoncie. Tylko bliższe kominy, zarówno kwadratowe, ceglane, jak wązkie, okrągłe z blachy odbijają się w zmoczonych, oślizgłych płaszczyznach swych dachów, jak pale i słupy w wodzie stojącej. Codzień szare i żółtawe mury są teraz jakieś sine, przeziębłe. Okna znikły prawie, albo majaczeją, niby zapadnięte doły oczne twarzy śmiertelnie chorej. Asfaltowy trotuarek na dnie podwórza ślini się rzadkim błotem. Tuż blizko, za oknem słychać monotonny szelest. Wychylam się, natężam wzrok i przez zapocone szyby, niby przez pajęczynę, dostrzegam coś we mgle. Kupa żółtej gliny, a w niej coś się rusza, coś się »gmera«, jak u nas mówią.

Czapka z daszkiem, wciśnięta na bezbarwną głowę ciasno, jak czepiec, brudny kubrak, fartuch, okrywający figurę od pasa, buty, ręce, rydel. To chłopiec od zduna »wyrabia« glinę. Co chwila dolewa wody w rzadką masę i przerzuca to kleiste błoto. Ruchy ma jakieś żabie, prędkie, trzepiące się. Nogi jego brodzą w żółtym, rozbabranym ile, szybko odrywają się i głęboko toną, odrywają się i głęboko toną... Przemokłe buty, oblepione bryłami...

W mojej stancyjce gospodyni kazała napalić. Ciepło tu i milutko, ale przez szczeliny okienne wciska się dech jesieni. Mgła coraz gęstsza już nie spada, lecz wali się zewsząd, lgnie do murów, pełza, rozciąga się, kurczy i pływa w przestrzeni, jak lotne błoto.

Czyż to mgła? Serce stęka z duszącej bojaźni. Zda mi się, że to coś obłudne wzięło na się postać mgły, że to coś bada ziemię, siedliska ludzkie, zagląda do okien i patrzy w nie, usiłując zobaczyć struchlałe serca.

To śmierć.

W bramie przesuwa się jakaś postać, jakaś bryła o ludzkim kształcie. Zapalono pierwszą latarnię i żółty błysk jej rozłazi się w rudym mroku, dosięga kupy gliniastej i przetrąca się na postaci małego zduna.

Zapalam i ja świecę co prędzej, co prędzej — i usiłuję czytać. Daremnie. Ciapanie rydla i blaszany szczęk wiadra odbijają się we mnie, jak echo w kamiennej zaklęsłości. Słyszę każdy krok tego dziecka, czuję każdy ruch w mokrych gałganach. Zdaje mi się, że już dawno, dawno widziałam taki dzień, że nawet przeżyłam te same uczucia. Tak mniemam, patrząc

w miazgę świata pochłanianą i trawioną przez ciemność i nie wiem kiedy myśli moje wpływają w słowa harmonijne, w dźwięki czcigodne, które to wszystko zawierają w sobie:

»Nie budźcie ich, aż ciemność się odmieni,
Przeklęty mrok, gdzie świętym oczy ślepną,
Nie budźcie ich w tę smutną noc jesieni,
W ten zgniły chłód, gdy duchom skrzydła lepną,
Dziś pracy plon i pełne krwi zasiewy
Z rozkisłych pól wchłonęły już kantory...
Nie budźcie ich, modlitwą i pieśniami...«

Skądże ja wiem te słowa? Czyje to słowa?

I oto tam, w tych mokrych falach przesuwa się i znika mała, obdarta, skulona postać mojego starego, mojego kochanego nauczyciela, Maryana Bohusza. Szarpie ją wicher, osacza przebiegłe zimno, ostatni goniec ziemi, siedliska zbójców. Biegnę za nim myślami po jakichś bezdrożach, po miejscach samotnych, opustoszałych, gdzie na nieszczęśliwych ludzi śmierć cierpliwa wyczekuje; szukam go i ścigam nad brzegami rzek, w nurtach i w głębiach iłu wodnego, między trzciną zeschniętą, w szuwarach i szkarpach wodnych. Gdzież jest ten dół śmierci, w którym zgasiło się to serce najbardziej czułe, serce na miarę niewidzianą i niesłychaną, spalone od uczuć wiecznych.

Cieniu bolesny...

I oto z mroku ogarniającego świat, we łzach, co moje oczy zalały, ukazuje się twarz. Napół oślepłe oczy wpatrują się we mnie, zuchwałe, obłąkane oczy mędrca. Strugi łez spłynęły z nich, toczą się po zwiędłej twarzy i wyżerają na policzkach długie krwawe brózdy.

 

Wieczny odpoczynek...

*4 Grudnia*. Po bardzo długiej niebytności odwiedziłam wczoraj pannę Helenę. Nie są to już *five o'clock*'i, lecz zebrania późno-wieczorne. Dla kochanej panny Heleny mam wiele wdzięczności z owych jeszcze czasów, gdy mię tu nikt a nikt nie znał. Ona mi pomogła dostać niejedną lekcyę i uczyniła to, (co jest rzeczą godną pamięci), bez wyrachowania. Swoją drogą na tych jej recepcyach nie czuję się w swoim żywiole. Może dlatego, że hasam tylko za lekcyami i wyzbywam się wielu szczególików salonowych, a może dlatego, że się tam zgromadza towarzystwo zbyt wielkich literatów i artystów.

Główny kontyngent stanowią młodzi nieśmiertelni bieżącego sezonu. Muszę wyznać, że nie lubię ani książek modnych, sezonowych, ani ludzi tego autoramentu.

Wczoraj, idąc po schodach do mieszkania panny Heleny, czułam formalne tchórzostwo. W chwili, kiedy trzeba wejść do saloniku, gdzie zgromadziła się już pewna ilość osób, notabene mężczyzn, czuję, jak dalece jestem do tego czynu nieprzygotowaną. Zapomniało się o tysiącu rzeczy, służących ku temu, żeby ładnie wyglądać. Wówczas formalna trema... Z tego się okazuje, że towarzystwo mężczyzn jest bardzo pociągające. Ja, przyznam się, mocno je lubię, ale koniecznie mężczyzn delikatnych, rozumnych, a przytem nie pedantów, którzyby lekceważąco traktowali moje myśli i słowa. Mężczyźni wszyscy interesują się pannami, a kłamstwem byłoby przeczyć, że jest miło, ach, jeszcze jak miło, wywoływać zajęcie. Wchodząc w celu (nie-

uświadomionym) wywołania tego mianowicie zajęcia kogoś swoją osobą, znajduję zawsze tyle wad i braków w mojej posturze, że mam chęć sromotnie zmykać.

Salon panny Heleny, jak dawniej: śliczne, duże palmy, sofy i krzesła w stylu chińsko-japońsko-*maison-niponowym*. Światło, jak dawniej, przyćmione. Na sofach tkwiły już rozmaite wielkości. Wszystko — nasi sławni. Wejście moje nie zostało dostrzeżone i nie przerwało rozmowy, która była bardzo żywa. Znowu opłakana kwestya kobieca. Roztrząsał ją, (przeważnie zapomocą zwycięskich aforyzmów), poeta Br. Dla niego ta kwestya »nie istnieje«. Któż broni kobiecie robić, co jej się żywnie podoba? Chce się uczyć, to się uczy, chce działać, jak mężczyzna, wolno jej i to... Ze swej strony poeta Br. »ośmielał się twierdzić«, że białogłowa powinna korzystać z praw przysługujących jej, ale przeważnie w zakresie etyki... Udoskonalać swą duszę, czynić ją niepochwytną, niedoścignioną dla grubej i ciężkiej siły mężczyzny. Cóż z tego, że kobieta będzie adwokatem, doktorem medycyny, albo profesorem matematyki, kiedy ją z tych zawodów, (prawdziwych dla niej *zawodów),* wyrwie dziwna tęsknota za czemś nieuchwytnem... (Zofia Kowalewska). Według niego kobiety, dążące do tak zwanej emancypacyi, pozbawiają się jednej ze swych sił faktycznych — uroku, gdy chcą zniszczyć w sobie pełną wdzięku niewiadomość różnych rzeczy i spraw tego świata. Dla poety Br. jest coś brutalnego w tem, gdy kobieta nie ma już o co spytać mężczyzny. W końcu swego wywodu zadał światu babskiemu w istocie trudne pytanie: czy można twierdzić śmiało, że kobiety uzyskanej; abso-

lutnej wolności nie użyją na złe, tak jak to robią dzisiaj mężczyźni? Przecie jest masa złych kobiet, a jak twierdzi psychiatria, daleko więcej pierwiastku zła wskazuje sprawowanie się obłąkanych kobiet, niż mężczyzn. Poeta zgadzał się, gdy go zaczęto przyciskać do muru, że to jest właśnie suma uczynków świata, ale »nie wierzył«, żeby można było wpłynąć na zmianę tego stosunku środkami, które przedsiębiorą kobiety.

Z mojego kąta pod palmą ośmieliłam się wydać głos, rozumie się słaby, nie mój i drżący, (co niechaj policzone mi będzie na karb trwogi wobec tylu liryków, dramaturgów, nowelistów, »estetów«), i zapomocą tak nizkiego organu wyraziłam niezdarnie parę sentencyi. Czepiając się ostatniej wątpliwości mówcy, rzekłam, że nie można jej żadną miarą podzielać, jeżeli się wierzy w siłę dodatniego działania kultury na duszę człowieka. Panna, która skończyła uniwersytet może być tak samo niedobra, jak chłopka, ale uczynki moralne pierwszej z musu będą lepsze, niż uczynki chłopki, na czem świat otaczający bezwarunkowo zyskuje. W miarę wzrostu kultury wyższej zacierają się różnice, wywołane niższością umysłu kobiecego i brakiem pracy nad jego rozwojem. Jeśli w duszy kobiety jest próżnia, którą mogłaby zająć dążność do jakiegoś światła, to w tej próżni naturalną koleją rzeczy rosną owoce złości, głupoty, złego wychowania. Dlatego to w szpitalach jest statystyka tak fatalna dla kobiet...

Co do twierdzenia, że emancypantka, która już nie ma o co zapytać mężczyzny, jest zjawiskiem brutalnem, to wyznałam, że takiej kobiety dziś jeszcze

wcale niema. Doścignąć mężczyzny nie może, wprost z powodu mniejszego zasobu sił fizycznych, (gdyby nawet miała przed sobą drogę bez przeszkód i... pułapek). Jeżeli zatem »niewiadomość« nietylko »grzechu nie czyni«, ale prócz tego nadaje »urok«, to, pomimo wszelkich wysiłków, jeszcze długo kobieta będzie »bardzo uroczo« głupsza od mężczyzny. Dziś zresztą nie chodzi wcale o to, żeby mężczyznom dorównać, lecz o to, żeby coraz mniej zostawać w tyle we wszystkiem, nawet w szpitalu obłąkanych. Wkońcu ośmieliłam się wtrącić małe żądło, jakby na świadectwo, że guwernantki istotnie gorsze są od poetów płci męskiej. Rzekłam, iż może to jest bardzo urocze potrzebować opieki, ale dopiero wówczas, gdy jej zabraknie, gdy jej na całym wielkim świecie wcale niema, wtedy czuje się, jak dalece w tem niema najlichszego uroku.

Takie maksymy wygłaszałam w tem zgromadzeniu.

W czasie powrotu do mojej izby myślałam jeszcze o tem wszystkiem i czułam pewien niepokój. Nawet nie pewien, ale duży niepokój! Czy uwolnione kobiety nie użyją na złe swobody tak samo, jak jej dziś zażywają mężczyźni? Teraźniejsza dola płci nadobnej z pewnością jest następstwem jej stanu moralnego. Gdyby szło o jakąś walkę i o samo zwycięstwo, to trzebaby powiedzieć: gdy mężczyźni mają prawo być wolnymi i robić sobie, co zechcą, to takie samo prawo powinno przysługiwać kobietom. Ale to przecie nie chodzi o walkę, tylko o dobro. Zresztą sumienie moje, gdy mowa o tych sprawach, tak łatwo dostaje dreszczów! Jest to, widocznie, moc przesądu, odziedzi-

czonego po szeregu prababek. Ja nie znam życia. Parę razy zdarzyło mi się czytać takie rzeczy, od których włosy powstają na głowie i ciało drży, jak w malaryi. (Guy de Maupassant, Owidyusz). Idąc ulicami, trafiam często na widok, który mię nietylko przeraża, ale wprost ogłupia. Tymczasem setki ludzi przesuwają się obok tego, jak obok latarni albo szyldu. Egzystują jakieś nieznane mi łotrowstwa, rzeczy pełne okrucieństwa i hańby, w których kobiety biorą udział. Któż je wyuczył tych potworności? A jeżeli one same odnalazły w swych duszach to wszystko? Oto dlaczego boję się zdania poety Br., że babiny mogłyby nadużyć wolności.

Czy to ma się tak tłómaczyć, że trzeba opuścić ręce? Nie, przenigdy! Ktokolwiek jest winowajcą straszliwych grzechów rodu ludzkiego, trzeba dźwigać się z brudu! Niech to czynią mężczyźni i kobiety.

*5 Grudnia.* Wczoraj wspomniałam o Owidyuszu. Sama nie wiem czemu przyszła mi myśl przeczytać go jeszcze.

Guêpe ma wśród mnóstwa swych romansideł dwie śliczne stare książeczki z zeszłego wieku wydane w Londynie p. t. *Les oeuvres amoureuses d'Ovide.*

W tomiku drugim są dowcipne, pełne uroku i... zepsucia *Élégies amoureuses* i najładniejsza z nich, zaczynająca się od słów: *L'oiseau le plus charmant qu'on pût voir dans le monde mon fameux perroquet...*

Tłómaczę to sobie moim nieudolnym językiem w taki sposób: »Papuga, wielomówny gość z Indyi — nie żyje! Schodźcie się na pogrzeb ptaki nabożne. Idźcie za zwłokami tłumem smutnym, bijcie się w piersi

skrzydłami. Szarpcie pazurami policzki, targajcie w braku włosów zwichrzone pióra na głowach. Niech zamiast trąby pogrzebowej zadzwonią wasze pieśni wdzięczne. Philomelo-słowiczku zapomnij już o zbrodni Tereusza, który ci język urznął. Długie lata powinny były osłabić twój smutek. Los Itysa-bażanta smutny jest z wszelką pewnością, ale przecie to było tak dawno. Płaczcie wszystkie stworzenia skrzydlate, co lotem skrzydeł swych kierujecie w przezroczystem powietrzu, ale nadewszystko rozpaczaj ty, synogarlico, towarzyszko zmarłej. Tak, o, papugo. Czem był Pylades dla Orestesa, tem dla ciebie była synogarlica. Ale na cóż ci wierność i piękna barwa twych skrzydeł? Cóż z tego, że spodobałaś się natychmiast prześlicznej kobiecie, kiedym cię przyniósł jako podarunek miłości...«

Jest w tem jakaś dziwna swoboda, maluje się samo życie kontemplujące, próżniacze, ale równe i jasne. Owidyusz sam się oskarża, że jest »poetą swej własnej lekkomyślności». Widać z innych utworów, że zna on straszne pieczary boleści, ale od nich ucieka do swoich niewiast pięknych, zepsutych, nikczemnych, z cudnemi oczyma i włosami o barwie »cedru z wilgotnych dolin pochyłej Idy«. Na lirze swojej kocha jedną strunę, która dźwięczy przez tyle wieków i dla tylu pokoleń... Jest to śliczne i jakieś takie dziwne. Tuż obok pięknego smutku, który można odczuć tak żywo, jakby się w sercu naszem znajdował, są karty niepojęte, straszliwe w swym nadludzkim cynizmie, jak np. potworna elegia trzydziesta ósma. Dech zamiera w piersiach, gdy się to czyta, jakby go śmierć chwytała. Niestety, w ohydach jest tak samo cudna poezya.

Z tych kart starych ulatuje jak zapach mocnych perfum czy przed tysiącem lat zerwanych róż, które wieńczyły skronie poety...

7 *Grudnia*. Zmęczenie, zmęczenie... Jest późny wieczór. Śnieg z deszczem zmieszany płacze za oknem, dudni w rynnach, jak skarga nędzarza i szkli się na kamieniach podwórza, które oświetla chwiejny błysk latarni. Oczy mimowoli wlepiają się w kałuże słabo błyszczące, co drżą od padających kropel.

Pod sekretem muszę sobie wyznać, że teraz jestem daleko bardziej zmienna, niż dawniej. To są pewno jakieś zmęczenia nerwowe. »Nerwy«, których wytrzymałości tak ufałam, jak sile rzemiennych naszelników, prowadzących bryczkę, gdy się zjeżdżało z góry ku Głogom...

A teraz po każdem wzruszeniu — bicie serca, po usilnej pracy — ból głowy, ociężałość, naprzemiany to roztargnienie, to automatyczność. Tak źle sypiam! Po nocy bezsennej mam tę ciągłą nierówność bicia serca, oczy jakby piaskiem zasypane, szum w uszach, ból w gardle — i jakąś obmierzłą trwogę w duszy. Choćbym w taki dzień miała sumienie czyste, choćbym wytężała wszystkie siły, żeby się niczem nie splamić, — nie jestem szczęśliwa, ani swobodnej myśli. Biegnę na lekcye, jak rzecz popchnięta, odrabiam je, jak idyotka. Gdy, naprzykład, rozwiązuję zadanie arytmetyczne z Anusią, to tylko pierwsze słowa każdej myśli jasno rozumiem, dalsze ciągi gadam, jak katarynka swą melodyę. Dopiero po wymówieniu zdania *słyszę* jego sens w głowie, niby wyrazy czyjeś, które dokładnie zrozumieć przeszkadzała mi dyskusya z kim innym. Brak

siły nerwowej. Biedne, strudzone, ogłupiałe nerwiska nie mają odpoczynku. Każda przeszkoda staje się dla nich uciążliwą, a naprawdę płakać się chce, gdy zdarza się sposobność rozrywki, a i do niej brak ochoty. Ze wszystkiego jednak najcięższy powrót z lekcyi do domu. Nogi idą, niby spuchnięte. Przemokłe, jak dziś naprzykład, buciki dolegają i ciężą, zabłocona suknia nie czyni wrażenia stroju, ani odzieży, tylko jakiejś paskudnej szmaty. Ach, to ubranie do ziemi! Jest ono zapewne miłe, doskonałe i piękne, ale dla pań, które nigdy nie chodzą po zabłoconych ulicach, tylko jeżdżą w karetach. Dla nas, co musimy grasować po bagnach dzielnic ubogich — jest to prawdziwa katusza. Obrzydle jest podkasać suknię wyżej, (zresztą niemożliwie, bo wnet dziesięciu panów zacznie się przyglądać), a ręce kostnieją trzymać ją, dbać o nią, albo zachlapać i nosić na sobie kupy brudu. W jednej ręce niosę parasol, książki, kajety, drugą muszę wiecznie piastować swój ogon i w tym kształcie upędzać się po trotuarach. Skromność pozwala dekoltować się, odsłaniać nagie ramiona i piersi, ale zakazuje demonstrowania światu nogi wyżej kostki w grubej pończosze i wysokim trzewiku. Ciekawam, czy też w chwili, gdy moda każe nam przyczepić sobie z tyłu ogon kangura, będziemy wykonywały jej polecenia z takim samym pietyzmem, jak teraz, gdy dźwigamy ogony sukienne?

Dziś, biegnąc na trzecie piętro do Lipeckich zabłocona, przemokła i buchająca parą, jak zdrożony koń pocztowy, w środku tych krętych schodów kamiennych usłyszałam, muzykę. Ktoś grał bardzo biegle za jakiemiś trzeciemi drzwiami. Zatrzymałam się na minutkę,

z początku żeby usłyszeć, co to grają, a później nie chodziło mi już o to — i do tej chwili nie wiem. Harmonijne tony wzięły mię opływać dokoła, ni to pytania jakieś bolesne; zaczęły patrzeć we mnie, jakby wielkie, pełne łez oczy błękitne. Litowały się nademną, jakoby dobrzy kochani bracia, ujrzały we mnie coś litości godnego, jakieś widać, zmiany niepożądane, bo łkały z żalu.

Ale wnet zaczęły się w sercu mojem uśmiechać — wołać mię jak gdyby pieszczotliwemi nazwami, a tak dziwnie, tak nadziemsko, jak tego już nie usłyszę nigdy na świecie. Otoczyła mię całą od stóp do głów wiosenka jedna, dawno, dawno, przed laty w Głogach spędzona, kiedy jeszcze żyła mama i ojciec. Widziałam w oczach zamkniętych ścieżkę do stoku pod wielką gruszą, wokoło jaskry u źródlanej wody, długie smugi kaliny, jeżyn i dzikiego chmielu. Widziałam wodę połyskującą za upustem, zielone pręty sitowia. Srebrne płotki przekręcały się do słońca pod samym wierzchem i okonie z ciemnemi pręgami wychylały swe ostre grzbiety z zimnego nurtu. Drewniana figura świętego Jana stała wśród grobli nad stawem i czarne olchy z krzywymi pniami...

Nie mogę napisać...

*9 Grudnia.* Gdy się tak człowiek od lat kołacze po świecie, wciąż mijając nowe osoby, nabiera dziwnej wprawy w zgadywaniu ludzi. Nie jest to wcale zdolność poznawania myślami, lecz prędzej widzenia źrenicą. Daleko lepiej i z większą stanowczością udaje mi się przeczuć człowieka, niż gdybym się zabierała do długich i systematycznych studyów, do obserwacyi

świadomych (chociaż i tych nie przerywam). Czasami złudzi mię jeszcze światowa gra życzliwych uśmiechów, często tak dobrze oddana, ale omyłka trwa chwilę, bo wewnętrzna nieprzyjemność zaraz mię ostrzega. Czekam wówczas cierpliwie i poczciwe życie przynosi stwierdzenie szeptów instynktu. Ileż to już razy tak było!

Oprócz tego »czuja« mam jeszcze kilka swoich środków wydobycia prawdy. Oto — nie zaspakajam ciekawości i nie odpowiadam na złośliwość. Wprost »nie raczę« uczuwać pewnych uśmiechów, słów, aluzyi.

Szlachetni współobywatele prędko przychodzą do wniosku, że to pień jakiś, twór wyjątkowo tępy, który wcale ukłuć nie czuje. Wtedy odsłania się prawda...

Czy kiedy miałam skłonność do takich badań? Zdaje się, że nie. Życie wszystko potrafi wykrzesać.

Niema w tem dawnej mojej, a tak naiwnej pokory, — och, ani odrobiny! — prędzej jest jakaś zła pycha. Nieraz myślę sobie, że coraz dalej jestem sercem od ludzi. Dokądś odchodzę, do jakichś sennych widziadeł, do jakichś bohaterskich, czystych cieniów. One to stanowią prawdziwe towarzystwo.

Świat nasz, otaczający, półinteligentny, półbarbarzyński, a główna — chytry... Przebiegłość służy w nim złośliwości, a złośliwość praktykuje się dla niej samej. Zawsze chodzi o stwierdzenie czyjejś niższości i to tem bardziej, im ciężej tę niższość odnaleźć. Kobietki, nasze anioły domowych ognisk, te z maestryą uprawiają sztukę!

Jesteśmy wszystkie tak zaawansowane w sztuce mielenia językiem na szkodę bliźnich, że kiedy mężczyzna zbliża się pierwszy raz do obcej, z pewnością

formułuje sobie pytanie: jaki też to rodzaj zwierzęcia? W tem czczem życiu panuje wszechwładna obłuda.

Kłamstwo wcale nietylko nie jest tępione, ale nie budzi nawet odruchowego wstrętu. Wszystko złe toleruje się z objektywizmem, a w razach natarczywych daje się rzeczom zapomocą sofizmatów wygląd nieprawdziwy, albo się wprost udaje, że nie są wiawiadome najdokładniej roztrząśnięte fakty. W tej atmosferze oddycha kwiat wychowania domowego niewinnych dzieci. Nawet gdybyśmy mieli wrodzone zamiłowanie kłamstwa, trzebaby je niszczyć dla krzywd, które wyrządza. Ale wszelkie moralne dążenia tnie batem ciągła świadomość, że obok nas żyją ludzie, którzy wprost nie mają potrzeb moralnych, których wcale nie czyni nieszczęśliwymi widok nadużyć. Męka moralna samotnych jednostek wydaje się być czemś przybłąkanem, niezdatnem do niczego, bez związku z czemkolwiek, niby jakaś właściwość osobliwsza, przedawniona czy za wczesna. A czyliż te uczucia mogą być tak samotne? Toż zaginą, jak ziarna zboża w cierniach z boskiej przypowieści.

Ileż to razy usiłowałam wytworzyć w duszy tej lub owej uczeniczki takie ognisko miłości prawdy, rozchuchać przygasły węgielek cudnej władzy, która tyle szczęścia daje człowiekowi. I ileż razy znajdowałam tam opór oszańcowany murem szyderstwa... Moja misya rodziła drwinę. Wtedy zawsze czuję się tak samotną i opuszczoną. I dziś znowu to samo...

Maniusia Lipecka jest to tak zwana »główka«. Zdolności jej są rzeczywiście bardzo piękne, ale pewno pójdą w jednym kierunku. Oto, co wymyśliła. Gdy

przychodzi dziadek Hieronim, Maniusia cichaczem prosi go o czterdziestówkę na tak zwane »pieczątki«. Gdy wpada wujaszek Zygmunt — to samo; z ciocią Teklą — to samo. Tymczasem mała figlarka ani myśli kupować pieczątek. Zebrane pieniądze chowa do skarbonki. Gdy chciałam przeciwdziałać temu talentowi gromadzenia pieniędzy w ósmym roku życia, mama oparła się z wytrzeszczeniem oczu. Jest to, według niej, zapowiedź sprytu i oszczędności.

Uczucia nasze nie mogą drzemać, muszą mieć jakiś wyraz w czynach. Budzi się we mnie głęboka awersya do tego, co na mieszczańskich piętrach uważane jest za moralność. Stempel obłudy, wyciśnięty przez matadorów, starczy tam za wszystko. Każda z jednostek zadrżałaby na samą myśl, że może być źle odstemplowaną. A i ja sama czyż mogę się chełpić, że mię nie obchodzi, co szepce pani Lipecka, Blumowa, albo inna »matka«, zajęta systematycznem psuciem duszy swego dziecka pod pretekstem edukacyi? Bynajmniej! Liczę się z tem wszystkiem. I jak jeszcze! Tylko już was znam, bydlęta boże! Już wiem, że jeśli mię boli i nęka opór waszych dzieci wobec mojej etyki, to nie dlatego, żebyście wy, jako gromada, były mądre i dobre.

*10 Grudnia.* List od Wacka! Oto, co pisze:

»Droga zmęczyła mię i znudziła, a na dobitkę ząb mię bolał, nie dając w ciągu dziewięciu dni ani chwili spokoju. Właściwie to nie tak sama droga nuży, jak noclegi w powarniach. Nie wiadomo, co wtedy robić ze swoją osobą. Wyjść na czas dłuższy nie można, gdyż pięćdziesięciostopniowy mróz to nie żarty, czytać

trudno, przytem stan ciągłego wyczekiwania, obawa, że renifery rozbiegną się i trzeba będzie z konieczności kilka dni zatrzymać się w takiej dziurze, wszystko to, razem wziąwszy, wywoływało nasz pośpiech. Renifery rozbiegały się kilkakrotnie, ale udało się nam z Jasiem dość prędko je gromadzić do kupy. W ciągu całej podróży nie straciłem ani jednego dnia. *Nulla dies sine linea.* Widzisz, jak to dobrze umieć łacinę! Taka *linea* w tych stronach znaczy kilkadziesiąt wiorst. Renifery wszędzie dobre, droga z małymi wyjątkami znośna, więc mknęliśmy z szybkością dziesięciu (do dwunastu) wiorst na godzinę. Powarnie czasami okropne! Tyle się już o nich czytało, tyle słyszało, a jednak rzeczywistość znacznie przechodzi wyrobione o nich pojęcie. Są to ogromne, nizkie landary bez podłogi, bez nar, z dymiącym kominem, ze szparami w ścianach, — jednem słowem, do mnie podobne: ze wszystkiemi wadami, ale za to bez żadnych zalet. Na pierwszy rzut oka przedstawiają się poetycznie, szczególniej, kiedy ogień oświetli ściany, pokryte białym szronem, soplami i niby tysiącem znikających dyamentów zacznie migotać. Ale estetyczne zadowolenie ustępuje miejsca rozczarowaniu, kiedy ta fantastyczność zaczyna kapać na nos i ubranie wędrowca. Na noc w powarniach nigdy się nie rozbierałem, przeciwnie, ubierałem się ciepło, co do przyjemności nie należy. Przytem, dopóki ogień się pali, takie »gorońco«, jak mówią twoje litwinki, że nie wiadomo gdzie się ukryć, a jednocześnie nogi i plecy marzną. Czasami, zamiast w powarni, udawało nam się nocować w jurcie, ale i te *chambres garnies* nie są bez »ale«. Kilkanaścioro ludzi

płci męskiej, żeńskiej i nijakiej gnieździ się w małej jurcie razem z psami, cielętami, w bezpośredniem sąsiedztwie bydła. Dołączony do tego zapach gnijących ryb, powoduje to, że trzeba było wyskakiwać na jednej nodze dla złapania tchu. Rano znowu jazda. Wytrzymałość reniferów — zadziwiająca. Trzeba je widzieć, (choć nie radzę...) obciążone naładowanemi nartami, gdy się wdzierają na pionowe urwiska gór, lub gdy pędzą po błotnistych kępach, ledwie, ledwie pokrytych śniegiem. Pędzimy przez błota! Narty skaczą, chyboczą się po kępach, jak łódź w czasie wiatru na wodzie. Noc ciemna, widać tylko jakąś nikłą, białą płaszczyznę. Woźnice krzykiem poganiają zwierzęta do szybszego biegu. Za sobą słyszę coś w rodzaju sapania lokomotywy i co chwila to z prawej, to z lewej strony ukazuje się poczciwy, rogaty pysk jelenia, obrośnięty szronem, buchający parą, z wywieszonym, jak u psa, jęzorem. Gdy ścisnęły silniejsze mrozy, jelenie przestały sapać i stuliły buziaki. W czasie jazdy trzeba się ciągle przechylać to w tę, to w ową stronę dla zachowania równowagi, albo, dla przywrócenia jej, uderzać nogą w ziemię. Wjeżdżamy w las, przecinamy wzgórza, poczem szalonym pędem staczamy się znowu w dolinę. Jelenie pędzą, jak wiatr i narty lecą aż dech zamiera w piersiach. Na dole przednie narty zwalniają biegu, następnie wszystkie z trzaskiem uderzają się o siebie i rozskakują na wsze strony. W dolinie znowu kępy, znowu podskoki nart, niby po wzburzonych falach. Zmuszonemu do ciągłych ćwiczeń gimnastycznych ciepło, ale nogi marzną, a przy szalonym pędzie po kępach, w ciemności nie może być mowy o rozgrzaniu się

w jakikolwiek sposób. Nareszcie w oddali ukazuje się słup iskier. To jurta! Witamy ją radośnie, jak żeglarze latarnię morską. Po chwili rozgaszczamy się w cieple, jemy i pijemy, jak bohaterowie Homera, a zaraz potem spać, spać! No i tak codzień — przez trzy miesiące i dwa dni. Mój aparat, szkło, przybory dowiozłem w całości, czemu się okrutnie dziwuję. Mają mi przysłać z Jakucka klisze, papier i wogóle wszystko. Cóż tam u ciebie, moja słodka dziewczyno, moja miła siostrzyczko«...

*15 Grudnia.* Od pewnego czasu łaknę i poszukuję widoku radości. Szukam książek wesołych. Wielkąby mi przyjemność sprawiło, żebym widziała czyjeś życie pełne szczęścia. Mam dokoła siebie albo nędzne, chorowite egzystencye, albo zapasy z przeciwnościami nad siły. Co krok można spotkać osoby zadowolone (ze siebie), ale nigdzie nie widać wesołych. Zadowolenie jest tam, gdzie są małe potrzeby, a szczęścia, z którego tryska wesele, tak jakby nigdzie nie było. Człowiek stworzony jest do szczęścia! Cierpienie trzeba zwalczać i niszczyć, jak tyfus i ospę.

*24 Grudnia.* Wróciłam z pasterki. Byłyśmy wszystkie, to jest panna Helena, Iza i moje bębenki. Mróz. Sypki śnieg iskrzy się i chrupie pod nogami. Z mojego okna widzę tylko dachy ze srebra. Szeregi zaczarowanych pałaców stanęły w biednej dzielnicy.

Księżyc świeci.

Druty telefoniczne osędziały. Są białe, jak sznury grubej bawełny, którą zwija na kłębek jakaś babcia ogromnie, ogromnie wiekowa. Jest coś dziwnego w tej nocy jasnej, w tej nocy czystej. Niewysłowiony

wdzięk leży na murach oblanych światłem miesięcznem.

Już chyba wszystkie walki ze znużenia w tej ciszy ustały i żelazna pięść przemocy osłabła z żalu.

Gdyby w tej chwili zbójca chciał sztylet utopić w piersiach swojej ofiary, — zemdlałaby mu ręka. Bo teraz aniołowie zstępują z niebios na ziemię i tulą do serc przeczystych westchnienia skrzywdzonych ludzi.

Kto teraz modlić się będzie...

W żłobie, gorzej niż niemowlę ubogiego parobka, leży ten, o którym mówił Izayasz, że »uderzy ziemię rózgą ust swoich«. Może to Jego królestwo już się zaczęło, może już idzie »rok Pański wdzięczny«. Niech się umocnią dusze cierpiące dla dobra wielu, niech wytchną, Panie...

*26 Grudnia.* Święta! Śpię, próżnuję i chodzę na wizytki. Zniosłam do siebie stos książek i rzucam się od jutra w srogie czytanie. Guêpe wyjechała na tydzień.

Do naszego apartamentu wyniesiono dla braku miejsca od państwa S. choinkę. Mam w nocy miły zapach świerczyny. Ach, żeby tak przejechać się sankami wśród lasu, obsypanego śniegiem, świecącego soplami, w zimowy wieczór, kiedy to gonty na dachach strzelają! Jak to tam jest teraz?

Puste pola. Ani szmeru, ani szelestu. Księżyc idzie nad rozległym przestworem. Gdzieniegdzie gruszka polna stoi wśród śniegów samotna, obdarta. Rzuca swój cień błękitnawy...

*7 Stycznia.* Wacław umarł.

Odebrałam wiadomość od tej pani przed tygod...

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

*22 Marca.* Przerzucając rupiecie w szufladce mojego stolika, znalazłam ten sekretnik. Gdym go otwarła, wzrok mój trafił na słowa przed dwoma miesiącami pisane. Jak gdyby coś nowego!... Zarazem takie samo zimno, obojętność. Czyliż to ma być moje nieszczęście? Gdzież ono jest? Ja go nie czuję. Słowa te są puste wewnątrz i tylko mają formę, powłokę bólu znanego ludziom.

Dawno, gdy jeszcze byłam w domu, nieboszczyk tatko pokazywał mi w Głogach pszenicę, którą śnieć zjadła. Szliśmy rano o świcie, obok niwy pod górą, nad strumykiem Kamiennym. Tatko urywał kłos, wyjmował z niego ziarno. Było całkiem podobne do ziarna pełnego, miało zewnętrzną barwę. Tylko, gdy było dotknąć go palcem, wylatywał ze środka złotej łupiny murz czarny, pyłkowaty, sypki. Tak i moje uczucia... Niema w nich czystego chleba uczuć siostrzanych, tylko śnieć spróchniała...

*25 Marca.* Chciałabym tu opisać...

Zaczynam czuć potrzebę wyjawienia, jakby ekstyrpacyi z głębi siebie. Jestem taka zabita! Żadnych uczuć, żadnych nawet poruszeń.

Jestem podobna do owej sadzawki Siloé, gdy od niej anioł odleciał. Czuję, że coś w mej duszy, jakaś dawniejsza jej władza — przestała istnieć, a to, co zostało, jest *dla mnie* już na nic. Jest to tchórzliwe i oziębłe. Nic już nowego na ziemi zrobić nie potrafię. Są jeszcze dobre istoty, które cenią we mnie i te resztki, ale ja sama czyż mogę przystać na myśl, żeby jakąkolwiek wartość nadawać czemuś, co jest jak nędzny łachman, pozostały z dawnej odzieży. Był czas,

  

kiedy sądziłam, że jestem zdruzgotana ze szczętem. Dziś widzę, że tak nie jest.

Złamane jest tylko moje osobiste szczęście.

Chcę rozbudzić w sobie siłę życia, biczuję się wspomnieniem panny L., biorę się pazurami do robót ciężkich. Ale to wszystko, to wszystko...

Takie mam ciągle uczucie, jakby mi ktoś podpowiadał, co trzeba, uczył mię, jak trzeba, wysilał na to duszę swoją, a ja mu stale, z chłopska nie dowierzam. Często przybiega do mnie to ta, to owa znajoma i mówi o swych strapieniach. Wówczas mię to »mile zajmuje«, ale w sposób bardzo zbliżony do wzgardy. Myślę sobie, patrząc na łzy cudze, jak szczęśliwemi są ci, co takie tylko wylewają.

Ja milczę.

Znam jedno mądre słowo, o którem Wacek nic nie wiedział.

Słowo *Hart sei!*

Byłby mię zabił wzrokiem, gdybym mówiła, że życie trzeba kochać nadewszystko.

*26 Marca.* Często teraz wcale nie wiem, co jest dobre, a co złe. Zdaje się, że nic »złego« nie robię, ale też żadnej nie mam pewności, że takie sprawowanie ma jakąkolwiek wartość. Chwilami wydaje mi się, że »dobrym« uczynkiem byłoby właśnie wręcz coś innego. Rozumieć rozumiem wszystko tak samo, jak przedtem, tylko żadne już pewniki nie mogą mną władać.

*27 Marca.* Na cóż się zda cierpienie?

Czy można wierzyć, że taka męka jest zwyczajną ordynarną koniecznością? Czyją? Gdy długie dnie są

 

tem wypełnione, staje się ono dla umysłu niepojętą zagadką, tajemnicą udręczającą, której znaczenie nad wyraz doniosłe, ukryte, a władcze, jak ptak mistyczny krąży nad głową.

Czarny, złowieszczy kruk niedoli!

*29 Marca.* Miałam długą chwilę wmyślenia się w jakiś krajobraz. Kępy błotniste, ledwo pokryte śniegiem. Jest mi bardzo niemiło...

*2 Kwietnia.* Nie wiem, co mi jest. Jakieś uczucie ze wszystkich najsilniejsze i najbardziej przejmujące smutkiem. Tęsknota... Smutek, któremu brak wszelkiego przedmiotu, celu i myśli. Ach, nie, — jest tej myśli jakaś nędzna, uciekająca, bezradna drobina. Taki błędny okruch mieści w sobie tylko przeświadczenie, że to, co mię o smutek przyprawia, jest najważniejszą, najcenniejszą, jedyną wartościową sprawą. Dziwna rzecz: zapomocą tego małego atomu odgaduje się prawdziwą treść życia, widzi przestwory, światy rozległe i dalekie, o których nic nie wie codzienny, zdrowy rozum.

Tęsknota, tęsknota...

Uczucie najbardziej niewypowiedziane, stan próżny wszelakiej ulgi, ucisk serca ciągły i jednostajny.

A przecie on sam w sobie jest upragniony, bo daje jakby lękliwe pożądanie ujrzenia znowu onej niedoli. Oziębłość zimowa, którą przeżyłam, — nie był to stan dobry. Teraz zaczynam pamiętać każde z tych zimnych uczuć, niby jakieś narzędzia z żelaza, które rozdzierają.

Dawno już temu, z ośm lat może, szliśmy pewnego razu z Henrykiem przez nasz gaj brzozowy. On miał w kieszeni rewolwer. Chcąc się pochlubić przedemną, wyjął tę broń, wycelował i strzelił. Kula

przebiła nawskróś młodą brzozę. Z tego miejsca trysnęła struga soku i uchodziła tak długo, tak długo, aż nie mogąc znieść, uciekłam z lasu. Gdym była na jego skraju i odwróciłam głowę, widać było jeszcze strugę sączącą się po białej korze. Słońce w niej przeglądało się i iskrzyło tak samo, jak się przegląda w nędznej kałuży na drodze, po której brodzą cielęta.

*3 Kwietnia.* Już sama nie wiem, czego chcę. Tęsknię, a raczej usycham z tęsknoty. Chciałabym pójść, uciec... Jestem, jak człowiek bardzo chory, który sam nie wie, co go najwięcej boli. Źle mu jest, a poruszyć się nie ma siły. Gdyby zresztą zdołał to i zmiana położenia szkodę mu przynieść może.

*5 Kwietnia.* Zdaje mi się, że gdybym mogła usłyszeć trochę dobrej muzyki, możebym była tak samo nieszczęśliwa, ale mniej bezradna. Łzy silniejsze są, niż wola. Dlatego cierpię i nic w sobie zmienić nie umiem. Wszystko pozostaje tak, jak było, te same cele, te same obowiązki. Rozumiem to i wciąż jestem bez sił. Nie mogę się uskarżać na brak postanowień... Jest ich tyle w mych ustach! Brak tylko jakiejś małej drobnej rzeczy...

*6 Kwietnia.* Wstaję rano, idę na lekcye, odbywam wszystko jak się patrzy — i śmieję się z tego wszystkiego. Jest to tyle warte, co wiatr karmić. Do niczego nie mam ochoty. Sama siebie pytam, czego mi się chcieć może i ciągle, nie mówiąc sobie tego, stwierdzam, że pragnęłabym jednej tylko rzeczy: nie być.

Ta myśl wysuwa się bez żadnych przejść od minionego usposobienia, łzy płyną i w nich jest to życzenie...

7 *Kwietnia.* Z Antosią L. przechodzę teraz literaturę... grecką. Sama umiem z niej (z literatury greckiej) tyle, com zasłyszała od Wacka. Czytałam wszakże onego czasu wszystko, co on przechodził, a nawet greczyzny samej sporo wchłonęłam. Obecnie czytamy tragedye Aeschylosa, Sofoklesa, Eurypidesa w przekładzie Z. Węclewskiego i K. Kaszewskiego.

Któżby pomyślał, że w kartach tych utworów można swój ból spotkać, że już wówczas były siostry, którym zabraniano chować w ziemi braci...

Moja uczenica czytała równym głosem Aeschylosa *Siedmiu przeciw Tebom.* I oto, co tam mówi Antygona:

»Przemożne są krwi związki, która mię jednoczy
Po rodzicielce biednej i niebogim ojcu!
Więc znoś cierpliwie krzywdę, serce me, na którą
On zżymał się i poświęć życie dla zgasłego
Z siostrzanej tej miłości! Ciała jego wilcy
Żarłoczni nie rozszarpią. To się nie pokaże!
Bo grób wykopię własną ręką i ostatnią
Posługę, choć niewiasta, oddam sama jemu.
Wyniosę go w buchastej szacie tej płóciennej
I sama go pochowam. Nikt mnie nie powstrzyma!
Skuteczny ten wynajdzie sposób, kto odważny«...

Szalona dziewczyna! Nie, nie! Precz z takimi wzorami Ja jestem rozsądna, mój ideał — to posłuszna Ismena, szanująca rozkazy Kreonowe. Ja nie pójdę kopać grobu dla Polinejkesa.

11 *Kwietnia.* Święto. Nigdzie dzisiaj nie wyjdę. Tak jestem rozbita i tak mi źle, jakbym siedziała w ciemnym i dusznym lochu. W ciągu ostatnich dni

napada mnie płacz. Gdy na lekcyi nie mogę beczeć, duszę ten płacz w sobie i dźwigam go z miejsca na miejsce.

W święto, gdy Guêpe wyjdzie i nikt mię nie widzi, całemi godzinami pozwalam sobie na tę niekosztowną rozrywkę.

*20 Kwietnia.* Szłam dziś z lekcyi niezwykłą drogą: Alejami Jerozolimskiemi. Było ciepło i jakoś bardzo widno w powietrzu. Daleko, za Wisłą ciągnęły się przed oczyma lasy niebieskie. I oto bez żadnej racyi serce zaczęło znowu trząść się i trwożyć we mnie, jak biedne, głupie dziecko. Uciekam od płaczu, bo jeśli tylko w dzień szlocham, w nocy nie śpię na pewno, a potem zaraz idą koleją straszne zmory, jedna za drugą. Och, widma nocne! Powinnam była wyrwać zaraz oczy z tej przestrzeni, ale nie mogłam. W żaden żywy sposób!

Pójdę już z tego miasta! Nie chcę! Wydrę się ze siebie samej, z moich myśli, postanowień, prac, obowiązków, ze wszystkiego!

Ziemio, nigdy przez człowieka niezasiewana!

Szczery, pusty, bezpłodny gruncie!

Wysokie, szumiące swobodnie drzewa leśne!

Tamtędy idzie w nasze strony kolej nadwiślańska. Nic nie zdoła oddać porywu radości, jaki się mieści w tym głupim pewniku. Gdyby tylko do czerwca przewlec duszę...

Tam ją obmyję w śnieżnych wodach mojej dziedziny.

*13 Maja.* Ciepły, jasny wieczór. Na kamieniach mojego podwórza ścielą się łudzące, srebrnoszare figury

miesięczne w deseń czarodziejski. Stary, brudny, splugawiony zaułek jest jakiś inny, niepodobny do siebie, jakby i on marzył... W tej nocy nawet ubodzy nędzarze dźwigają się i kierują oczy ku jasnym gwiazdom, które im przypominają dawno wygasłe uczucia.

Ileż mocy widoki te wlewać powinny w serca nasze, w serca istot młodych, które nie ciągną za sobą ciężkich wozów złej doli, w serca tych, co duszę swoją cenią nadewszystko, kochać bardzo głęboko umieją i nie sprzedali jeszcze siły, płynącej z czystego serca, ani męstwa, ciskającego rękawicę wszelkiej podłości!...

*4 Czerwca.* Piszę te słowa zardzewiałą stalówką w Kielcach, w hotelu. (U »naju« w Kielcach, jak pamięć ludzka wstecz sięgnąć zdoła, wieczyście w hotelach ku wygodzie podróżnych leżały zardzewiałe stalówki).

Co za katastrofa! Jestem znowu tutaj w mojem poczciwem mieścisku... Wczoraj zerwałem wszelkie lekcye, odrzuciłam dwa zaproszenia na wakacye, u Lipeckich i u tej pani Niewadzkiej z Cisów, — spakowane graty powierzyłam Giepce, która przez lato zostaje w Warszawie, a sama, obarczona trzydziestką rubli i małym sakiem, ruszyłam na łeb na szyję. Nic mię nie obchodzi, co się dziać będzie z moją osobą. Wiem tylko tyle, że będę w Krawczyskach na grobie mamy i ojca, w Głogach... A zresztą wszystko mi jedno! Zapewne pojadę do Mękarzyc, do wujowstwa Krzewińskich. Może zabawię tam całe lato, a może tylko kilka godzin. Wszystko mi jedno... (Patrz wyżej!)

Teraz już nie ja rządzę, tylko podmuchy wzruszeń, Lelum-Polelum... One mię niosą, dokąd chcą, jak bujne

konie. Długo więziłam je w żelaznej stajni, codzień zatrzaskiwałam wrótnię, wbijając palce w płytę z granitu, teraz niech sobie pędzą, jako chcą. Jechałabym natychmiast, ale deszcz, jak z cebra.

Niedobre, przebrzydłe Kielce! Co wyjrzę oknem, to zamiast upragnionego błękitu — nowa gromada chmur i strugi ulewy. Ale niech tam! Musi się wyjaśnić.

Przyjechałam w nocy, blizko o czwartej i z trudnością znalazłam ten numerek. Tak to — już w mieście Kielcach panna Joasia nie ma nikogo...

Szybko wygasa domowe ognisko i rozwiewa się w ostrym wietrze wonny dym rodzinnego namiotu. Gniazdo człowiecze trwa tak samo długo, jak gniazdo pająka. Przebieram w myśli osoby tutejsze, które pewno siedzą jeszcze między Karczówką a Pocieszką, ale nie znajduję nikogo, ktoby zajrzał mi w oczy z braterskiem zrozumieniem, gdybym powiedziała dzieje mego żalu, dzieje grobowego smutku, który był, jak cień śmierci. Nie mogę nikogo wymyślić — jakby to powiedzieć? — z oczami widzącemi. Są to wszystko poczciwi ludzie, których tępe serce nie przebija ścian domu familijnego. Ale Bóg z nimi! Umiem już chodzić wśród zimnych ludzi, jak między nagrobkami cmentarza. Mniejsza o to!

Moja aleja przy Karczówce, mój wyśniony latami w Warszawie daleki widok górski!

Bije godzina szósta na dzwonnicy katedralnej. Miły, spiżowy dźwięku zegara, bądź pozdrowiony! Jakże ci się obawiałam niegdyś, z jak głęboką trwogą słuchałam cię pierwszy raz po przyjeździe z Głogów

 

do szkoły! A oto... Ale precz ze wszelkiemi wspomnieniami! Nie wolno myśleć o rzeczach dawnych, bo znowu zaczną się breweryе płaczowe.

Cicho, tylko deszcz gada w rynnach i od czasu do czasu przemknie się z łoskotem wehikuł kielecki.

*Tegoż dnia* w Mękarzycach. Już jestem tutaj, u wujostwa. Bardzo późno... Jaka błogosławiona cisza. Nocuję sama, na »drugiej stronie«, w tej starej »salce«. Jestem szczęśliwa, ach, jakże jestem szczęśliwa! Cicho, na palcach stąpam w tym pustym pokoju, gdzie stoją dawne graty, które pamiętają umarłych — i nasycam się świadomością, że to nie złuda. Tu, w Mękarzycach! W tych nizkich stancyach bywałam z mamą nieboszczką, gdym miała trzy, cztery lata... Powała z dwiema belkami, cokolwieczek skrzywiona; ściany wybielone wapnem, które tu i owdzie odpada, ukazując suche i twarde drewno modrzewiowe. Okno zasłonięte kępami georginii, malw i bzów. Z ram jego deszcz spłukał pokost. Zasówki, stare zasówki dziwnej formy, ozdobnie wykute przez jakiegoś ucznia Tubalkainowego, powlekła rdza warstwą tak grubą, że uczyniła z tych żelazek rzeczy doprawdy piękne. Gdy się wmyślam uparcie, to zda mi się, że jak przez sen widzę tego, kto te zasówki przybijał. Był to młody kowal... Miałam wtedy może cztery lata. Wszystko to: przepalone szyby, drzwi, ściany, sprzęty i stare litografie noszą na sobie jakąś cechę wzruszającą. Istnieją bez żadnej zmiany w ciągu kilkudziesięciu lat, na tych samych, swoich miejscach, wytrzymują działania pór roku i stają się jakby niezbędnemi cząstkami tutejszej przyrody. Każdy z tych przedmiotów ma swoją historyę i wprost należy do

familii. Stary dwór schyla się, patrzy i garbi, ale trwa w gruncie rzeczy taki sam, jak przed laty. Jest to dom rodzinny, zrośnięty z polem, z sadem, z drzewami i kwiatami. Kiedyś może się w próchno rozsypie i zginie z powierzchni tak samo, jak umiera człowiek...

Psy szczekają. Zwabione światłem w oknach pokoju, gdzie zwykle wieczorem bywa ciemno, sadowią się tuż za szybą i ujadają okrutnymi głosy.

Ale do rzeczy. Każde *extemporale* trzeba pisać według punktów. Najprzód wstęp... A więc: wyjechałam dziś z Kielc przed południem. Deszcz był troszkę nacichł, choć nie ustał. Siał sobie swoje mokre plewy, czasami tylko puszczając grubsze ziarno. Najęłam doróżkę za cztery ruble (słuchajcie! słuchajcie!) — i jazda! Woźnica mój podwiązał chudym szkapom ogony, otulił dobrze nogi (swoje) derką i z niebywałym trajkotem wyruszył z miasta. Gdy wpadliśmy na szosę, naszą starą, szczerbatą od wybojów, kochaną szosę, gdy zaczęło z pod kół pierzchać rzadkie błoto... Nie mogły go wstrzymać wachlarze dryndy, dzwoniące zupełnie na wzór janczarów, tylko obdarty fartuch, jak mógł mię, poczciwiec, zasłaniał. Na tym poczciwcu utworzyło się wkrótce jezioro wody, przebiegające z miejsca na miejsce, jak żywe srebro.

Byłam znużona, senna i jeszcze bardziej szczęśliwa, niż teraz. Uwagę moją, a raczej mój uśmiech, błąkający się w przestworze, skupiały co chwila na sobie dwie latarnie, służące, jak sądzę, ku ozdobie pojazdu. W gruncie rzeczy wybite szyby i odwalone wierzchy nic im innego doprawdy nie zostawiły, prócz tego honoru. Jeden z tych szczątkowych organów po-

wozu przywiązany był do macierzystej sztabki żelaza rozmokłym szpagatem. Kadłub foszmana w opończy koloru błękitnego z odcieniem słoty zasłaniał mi świat, a jedyny, samotny, żółty guzik w pasie z wyobrażeniem jakiegoś herbu — przyciągał oczy. Przestrzeń widzialną obsiewał drobny deszczyk.' Daleko, w mgławem, burem powietrzu snuły się zarysy wzgórz. Ich kształty raz po raz uciekające we mgłę przed oczyma, były dla mnie prawdziwymi wyrazami żalu. Jeżeli tylko dosięgłam ich wzrokiem, wnet uczuwałam, jak mię bolą.

Tak ongi małej dziewczynie, wiezionej do gimnazyum, ściskało się serce, gdy żegnała wzrokiem te ukochane wzgórza...

Dorożka skacze z dziury w dziurę, chwieje się co moment, niby osoba chora na tabes, która wszakże ukrywa swój defekt, żeby nie stracić posady, — ślizga się na zakrętach, jakby w złych momentach rozpaczy pragnęła raz wreszcie rzucić się samobójczo do rowu. Oto wysuwa się wieś, złożona z chałup szarych, jak pole, choć ściany ich niegdyś bielono.

Wierzby z grubymi pniami, z których strzelają młode, jasne, bujne pręty; dzikie gruszki w polach, dzikie tak samo, jak za owych czasów. Tam, gdzie się grunt nachyla, jest rzeka w nizinie. Ta rzeka idzie z mojej wsi, z Głogów. Zjeżdżamy ze wzgórza na długi most. Zmoczone konie idą noga za nogą, para z nich wali. Ja wychylam się z budy i sięgam wzrokiem czystej wody, sączącej się po kamieniach i grubym piasku, wody, która przepłynęła koło domu moich rodziców. Szlaban. Powóz się zatrzymuje. Trzeba płacić kilka groszy. Szukam ich w kieszeni, nie, — ja szukam

wszystkimi zmysłami dźwięku tej rzeki, która tam, w dole coś do mnie pluszcze.

Ruszamy znowu wolno, pod górę. Obok idą ludzie zgarbieni, zaciapani w błocie, okryci włosem, który może się nazywać tylko kudłami. Coś gadają do siebie, drą się obrzydle i swarzą. Jedną twarz poznaję. To nasz chłop, Wicek Michcik. Taki sam był za czasów mego dzieciństwa. Trochę się zestarzał. Konie ruszają i w brzęku żelastwa, w turkocie kół słyszę słowa niedawno w Biblii przeczytane. Żyła, widać, ta skryta myśl gdzieś we mnie, jak gdyby stalowym rylcem na ołowiu wypisana: »Nie będzie pamięci tak mądrego, jak i głupiego na wieki, gdyż przyjdą dni, kiedy wszystkiego zapomną, a jak umiera mądry tak też i głupi...«

Ta cyniczna mądrość, rzucona przez zuchwałego króla, znawcę »wszystkich spraw pod słońcem« nie niosła mi przykrości. Była prędzej, jak prawda doskonała, harmonizująca ze wszystkiem, niby płyn, co wypełnia każdy punkt żądny nasycenia. Wszystko cichło we mnie, uśmierzało się i jak gdyby kładło do snu. Wtuliłam się w kąt powozu i przesuwałam w pamięci ponure słowa, które przychodziły nie wiem czemu.

Ze wzgórza roztoczył się widok na płaszczyznę. Daleko, daleko ujrzałam drzewa mękarzyckie. Wtedy znowu żarzyć się we mnie poczęła cicha radość, która mię do tej chwili nie opuszcza. Wiedziałam, że nie znajdę tu tego, czego szukam, ale widok lasów sennych, długich i szerokich pustek, zarosłych małym jałowcem ciepło rozlewał po moich żyłach. Tam, bór, w którym nigdy nie byłam, obcy i niemiły, ale z dru-

giej strony mękarzyckie aleje, roztopione we mgłach i jakby z mgły utkane...

Wtedy także przyszło mi na myśl, że nikogo nie zawiadomiłam, że właściwie nie wiem, czy tu wujostwo mieszkają. A może już się wyprowadzili, może poumierali? Tyle lat do nich nie pisałam! Zaczęłam liczyć... To już dziesięć z górą jakem tu nie była.

Nad wieczorem moja drynda zboczyła z szosy i wjechała w szpaler topolowy. Stare, obdarte budynki, dwór w ziemię zapadły, rozwalone płoty...

Weszłam w znajomą sień: — nikogo... Uchyliłam pierwsze drzwi i skoczyłam, jak trzyletni bęben: stary poczciwiec fortepian, nad nim książę Józef... Ale rozumie się!

A teraz, gdy piszę te zdania, czuję, że tu jestem obca, cudza, samotna. I cóż z tego? Szum starych topól, który mię tylekroć przerażał, gdyśmy stąd w późną noc z mamusią odjeżdżały... Do niegom się przywlekła. Czyliż może być czulszy głos na tej ziemi?

*5 Czerwca.* Minął dzień i krótki wieczór. Byłam w stajni, w oborze, na czworakach, w polu, na łące. Nie wiem, czy to jest rzeczywiste, czy złudne uspokojenie, ale czuję się bardzo dobrze. Żadnej skłonności do płaczu, nawet pewien (niemiły) wstręt do wzruszeń. Opowiadanie o Wacławie formalnie męczy. Wacław w dniu śmierci swojej przekazał mi jak gdyby spadek. Twardem prawem dziedzicznem narzucił mi próżne miesiące zimowe, dni, wpoprzek których płynęły same tylko łzy i noce bezsenne, zapchane pracą ducha tak bezpłodną, jak zgadywanie przyczyn rzeczy, a tak samo twardą, przymusową i konieczną, żeby żyć, jak oddech.

Teraz ledwo, ledwo rozumiem, że się to ze mną zdarzyło. Przeszło, jak powódź w górach. Tylko rozmiecione bryły kamieni i muł wiszący na krzewach wskazują, dokąd sięgało zniszczenie.

Tak bez wątpienia: wieś stworzył Pan Bóg, a miasto dyabeł i to dyabeł *bourgeois*. Ludzie mieszkający na wsi są tak zdrowi i szczerzy w swem zdrowiu, że po prostu przedstawiają mi się, jak niewiarygodna anegdota. I to są właśnie ludzie, z których ja się wywodzę!

Gdy dziś o godzinie piątej, czy szóstej rano mój wujaszek zaczął krzyczeć na kogoś z ganku, zerwałam się i w bieliźnie wypadłam, jak fiksatka, sądząc, że to pożar, czy napad zbójów. Okazało się, że wujaszek »wyhałasił« kogoś przed stajnią. Nic nadto.

Może to jest źle i nieszlachetnie opisywać osoby, u których się bawi, (a w dodatku krewnych), ale nie mogę powstrzymać się i wyjść ze zdumienia. Czyż to jest naprawdę ciotka Walerya, wujaszek Hipolit i córka ich, a moja siostra cioteczna, Tecia? Ja znałam tych ludzi, ale oni byli całkowicie inni. Nie! to ja byłam inna. Widziałam ich dawną parą oczu... tutejszych. A teraz tamtej mnie — już ani śladu! Oni zapewne są ci sami. Tu się mało co zmienia. Lat przybywa, plecy się wypaczają, włosy siwieją, dom wchodzi w ziemię, a okrom tego wszystko po staremu. Gdyby wstał z trumny dziadek Józef, niewieleby znalazł rzeczy obcych sobie.

A ze mną, ze mną co się zrobiło! Z istoty takiej właśnie, osiadłej na gruntach ojcowskich, stał się laufer, biegający po świecie za lekcyami, coś w rodzaju motyla, wykwitłego z poczwarki, (jeśli wolno użyć tak

 

wyszukanej metafory). W całodziennych rozmowach dzisiejszych z ciotką Waleryą i Tecią wobec samej siebie zdawałam, jak gdyby egzamin z mojego życia. Przypomniałam sobie żywo nietylko te obydwie krewne, ale w całej pełni — siebie samą.

Daleko więcej materyału do zdumienia ja muszę dla nich przedstawiać. Tak przynajmniej chciałabym sobie tłómaczyć obojętność ich wszystkich. Nie jest to zimno zewnętrzne. Całujemy się i płaczemy dość często, ale w tem wcale niema serca, ani nawet litości. Ciotczysko, całując mię, wylewa łzy dlatego, że myśli o drugiej młodszej swej córce, która wyszła za technika, mieszkającego aż pod Ufą. Tecia duma o sobie, zestawia me wolne życie z jej ciężką niewolą rodzinną i płacze nad sobą. Wuj ani myśli płakać, gdyż nie leży to w jego atrybucyach, (»baby są od szlochów«), natomiast przemyśliwa, poco ja też zawitałam w te strony i ciągle mię wtajemnicza w swe fatalne interesy, biada na kiepskie oziminy, procenta, posuchy, motylice, choroby pyska i racic... Przewiduje nieszczęśnik, że lada chwila wypalę oracyę o pożyczkę pieniędzy. Odetchnąłby pełną piersią, gdyby wiedział, że ja tylko do powietrza, do wody i ziemi...

Tak, to jest dla mnie świat zgoła obcy. Ci ludzie nic nie spostrzegają na ziemi oprócz Mękarzyc i nie mają żadnych innych widoków, oprócz swoich pieniężnych skojarzeń. Starzy wujostwo zajmują się tem tylko, co jest w granicach folwarku. Promieniem ich życia jest Felcia, obecnie Balwińska, ciemną stroną — Tekla, która »nie wyszła« i, obym była fałszywym prorokiem, zostanie starą panną. To familijne zamknięcie

horyzontu jest tak szczelne, że ja wcale się w nim nie znajduję, nawet w tej chwili, kiedy tu siedzę. Moje całe życie byłoby mocno podejrzane, gdyby nie to, że jest do gruntu obojętne. Czytam to w ich oczach, gdy szczerze mówię wszystko i gdy oni z uśmiechami niby współczucia słuchają.

Historya Wacława!

W istocie jesteśmy dla siebie obcymi ludźmi.

Słucham długich i szczegółowych pieśni epickich o tem, jak to Felcia »spodobała się« owemu inżynierowi na balu w Kielcach, jak przeszły »konkury«, oświadczyny, ślub, wyjazd, urodzenie dziecka. W tych sagach familijnych, Felcia jest jak gdyby heroiną. Ją to wszystko już spotkało. Już spełniła, co do niej należy.

Tecia jest smutkiem rodziny. Ona jeszcze... nikomu się nie spodobała i, jeśli była celem jakich konkurów, to mówić o nich szkoda, bo nic z tego.

Z myślą i uczuciem »Tecia« łączy się zgryzota: »tych kilka tysięcy« posagu i »wyprawa«. Poczciwa ciotka urządza mi interwiew, jak też ja sądzę: czy lepiej dać więcej w gotówce, czy więcej »włożyć w wyprawę?« Jak też ja sądzę? »Bo tam wy na szerokim świecie lepiej te rzeczy macie sposobność widzieć, niż my na wsiach. Tu u nas rozmaicie sądzą. Okolicami panuje zwyczaj, że się do wyprawy nie daje tego a tego...« Ciotczysko sądzi, że lepiej jest włożyć tyle a tyle w srebra, bo »srebra zostają na całe życie...« Z jakiem uczuciem wygłasza tę maksymę! Stanęłam twardo po stronie sreber.

Biedna Tecia siedzi w Mękarzycach i czeka.

Cała jej istota przypomina nogę chinki, od dzieciństwa urabianą w drewnianej formie. Tecia uśmiecha się, mówi, opowiada, żartuje i płacze na wzór ciotki i wuja. Wujaszek ma zwyczaj określania pewnych rzeczy, obcych mu terminem: — »głupstwo!« — albo łagodniej — »pewno jakieś »głupstwo!« — albo (w najlepszym razie): — »tego nigdy dawniej nie bywało« bez wytykania palcem, może przez grzeczność, samego terminu: — »tego głupstwa nigdy dawniej...«

Otóż i Tecia używa tych samych zwrotów. Czasem, gdy ja mówię coś dziwacznego dla Mękarzyc, Tecia szybko bada okiem twarze rodziców i przybiera na swoją ich uśmiech. Nie mówię o myślach i sądach. Wszystkie te sądy o rzeczach są takie same, jak były kilkadziesiąt lat temu, kiedy ciotka Walerya była panną i uczyła się w Ibramowicach. Tecia dziś żyjąca jest, właściwie mówiąc, panną z czasów Klementyny z Tańskich Hofmanowej... Świat przeszedł sto mil ze swojem dobrem i złem. W pokoju Teci, który przylega do sypialni wujostwa i jest z przewidującą czujnością strzeżony, znajduje się nieco książek. Są to zabytki bibliograficzne, tak zw. »książki dobre«. Rozumie się ta Klementyna z tych Tańskich, stosy przekładów z angielskiego... Wśród tych wszystkich dobroci leżą, o zgrozo! *Poezye* ni mniej ni więcej tylko samego Kazimierza Przerwy-Tetmajera!

Skądże ten tutaj? Trafił przypadkiem, pożyczony z sąsiedztwa, jako »coś do czytania«. Został odczytany, tudzież (pochlebiam sobie!) wyrokiem familijnym zganiony.

Czy jednak cząstka Tekli nie jest lepszą od mojej? Och, na pewno jest lepsza!

Dom rodzinny, cisza, opieka, ta jakaś spokojność, do której tak wzdychałam w Warszawie! Tu przez mur nudów nie dochodzą wzruszenia, ale wraz z niemi nie wciskają się bóle. Tu nie wpada w rękę Owidyusz, ani w ucho zła mowa, nie rani huk podstępnej myśli, ani nagość obrazów życia. Tu jest tak cicho... Jeśli przyleci głos jaki ze świata, to niby echo żywej rozmowy, prowadzonej za trzema ścianami.

Ale, kochana Teciu, gdyby mi przyszło wybrać twój los (nawet przy boku moich rodziców) — jużbym się nie zgodziła. Przenigdy! Ja już jestem człowiek.

Sucha kromka chleba, ale moja własna, nie bogata przyszłość, ale urobiona własnemi rękami. Z obu stron mojej samotnej, kamienistej ścieżki, po której idę, roztacza się świat nowoczesny, jak dojrzewające zboża pól nieogarniętych oczami. Rozum mój i serce karmią się kulturą żyjącego świata, w której z dnia na dzień przybywa pierwiastku dobra.

I ja tym wzrostem cieszę się i żywię. Gdzieś on tam płynie w żyłach ludzkości, »jak krew po swych głębokich niewidomych cieśniach«.

*6 Czerwca.* Dziś jeździłam na grób mamy i ojca do Krawczysk. Szłam od gościńca szeroką miedzą. Na tej drodze niema kolein, są tylko ścieżki często deptane stopami ludzkiemi. Obok, z prawej i lewej strony kołysze się ciemne, stalowe żyto o kłosach brunatnych, które dopiero świat ujrzały. Zdala, w nizinie widać ogromne drzewa i biały mur. To tam.

Cmentarz już się zapełnił mogiłami, więc rozszerzone zostały jego granice bez usuwania ścian dawnych. Otoczono zuchelek szczerej wydmy u wejścia do da-

wnego cmentarza ledwie ociosanemi żerdziami i żółte mogiły już się chłopskim rzędem układają pod tym świerkowym, pod płotem...

Bramę dawnego cmentarza zamknięto. Nikt tam już nie wchodzi ani z żywych, ani z umarłych. Jest to miejsce poświęcone tym, co przed wieloma laty zasnęli w Panu. Gonty w daszku, który niegdyś stare mury osłaniał, zgniły i wypadły. Tylko spróchniałe, obnażone krokiewki jak piszczele świecą się ku słońcu. Gdzieniegdzie połyskuje żelaznym łebkiem gwóźdź-gontal osamotniony, bez racyi sterczący.

Ruszyłam wrótnie bramy, złączone ze sobą żółtym od rdzy ryglem dużego zamka. Rozsunęły się cicho bez zgrzytu ani oporu. Tak może odmykają się przed duszami drzwi raju... Weszłam na ten ugór święty. Bujne, aż czarne trawy, okryte rosą, ślicznie czerwone kwiaty koniczyny, maków... Deptałam je nogami za każdem poruszeniem. Mogił już nie znać. Ani jednej! Tu i owdzie grunt się zaklął. Przyszło mi do serca uczucie, że w takich dołach muszą leżeć ludzie nieszczęśliwi. W pewnem miejscu runął na ziemię wielki krzyż drewniany, w próchno się rozsypał i krwawy ślad w postaci krzyża leży tam w bujnych, soczystych trawach, jakby płonącą żagwią wypalony.

Mogiły rodziców nie były wcale niczem oznaczone. Nie wiem, gdzie są. Szukałam ich z początku wzrokiem, później cały cmentarz obeszłam Ani śladu!

Szukałam tego krzewu, który mi wówczas został w pamięci, gdy obok niego mamę złożono. Daremnie.

Rozłożyste kępy jasnej brzeziny, którą mój ojciec

tak lubił, utworzyły całe gąszcze i smugi. Może u jego wezgłowia się plenią nadobne i woniejące...

Śpią tu pospołu wszyscy, rolnik przy rolniku, którzy tę ziemię orali, sami dzisiaj kwiatami, jak łąka zasiani. Cisi — osiedli dziedzicznie tę ziemię cmentarną.

Wysoko i nizko śpiewały ptaszyny. Kiedy niekiedy ciepły wiatr niósł tu na skrzydłach swoich odgłos szelestny młodego zboża, rozchylał gałęzie krzewów i cicho przechodził po trawach nietkniętych nogą niczyją, jakoby anioł-odźwierny, świętej ciszy troskliwie pilnujący. Pod przejrzystemi jego stopami uginało się ziele. Wysmukła akacya, której pniak strzelisty i ścigłe, czarne gałęzie zdają się lecieć ku niebu, szumiała z trwogą a ze wszystkich drzew najwyraźniej, kołysząc się pod jasnem słońcem przeźroczystymi listkami. Zdawało mi się, że coś mówi to poświęcone drzewo, zdawało mi się, że usłyszę śpiewne jego wyrazy. Gdy się zasłuchać, wtedy wiadomem się staje, że ono tylko wzdycha wieczyście.

Prosiłam się w głębi duszy mojej, czy spotkam kiedy...

7 *Czerwca.* Jutro wyjeżdżam. Tak przynajmniej zdecydowałam. Nie mogę sobie dać rady! Zamiast ukojenia, którego doświadczałam z początku, ciągnęłoby to za sobą irytacyę wewnętrzną, albo jakie spory, czego nie chcę za skarby świata. Stosunek, do chłopów, do służby, do ludzi zatrudnionych na folwarku! Może to są sobie śmieszne idealizacye miejskiej panny, bardzo wszystko być może, ale ja nie znoszę dziczy. Nie mogę w tem oddychać.

— Żebyś tak pomieszkała wśród tych łotrów... —

 

mówi wujaszek, — bo to tam u was łatwo gospodarować przy stoliku, z książeczką w ręce...

Otóż nie będę już mieszkała wśród »łotrów« i uciekam. To jest właśnie jedyny mój sukces, że mogę odejść dokąd mi się chce i kiedy mi się podoba.

Taki stan emancypacyi przeżywali chłopi mojego dziadka Józefa za czasów Księstwa Warszawskiego, kiedy zdjęto im z nóg kajdany, ale razem z butami. Ja zdjęłam z nóg także kajdany, razem z trzewikami, to jest fakt historyczny, ale też mogę chodzić swobodnie z miejsca na miejsce, jak chłopi owego czasu. Dokądże tedy idę jutro? Płacz ze szczęścia, serce moje... Do Głogów.

*10 Czerwca.* Znowu Kielce, w hotelu. Już się kończy wyprawa, bo się kończą fundusze. »Wracam na Liban, do mojego domu...« Już za mną zostały Głogi, Krawczyska, Mękarzyce... Jestem zupełnie spokojna i zdrowa.

Trzeba tylko jeszcze po porządku, wszystko, jak było wyłuszczyć. Z Mękarzyc uciekłam dziewiątego, chłopską furmanką, bardzo rano. W dniu poprzedzającym to zdarzenie zamówiłam sobie na wsi parę szkapiąt i wasąg, ładowany słomą. Zrobiłam ten »afront« wujostwu z umysłu, ale nie dlatego wcale, żeby im dokuczać, lecz, żeby, nie będąc związaną ich grzecznością, robić ze sobą, co mi się podoba. Gdy pewnego razu bąknęłam w rozmowie, że chcę być w Głogach, wszyscy wytrzeszczyli na mnie oczy, jakbym ogłosiła światu coś obrażającego uczucia ludzkie.

— Poco?! — dał się słyszeć trójjedyny okrzyk. — Przecie tam mieszka obecnie żyd, Lejbuś Korybut.

Cmentarz w Krawczyskach, to jeszcze było zrozumiałe, ale myśl jazdy do Głogów, gdzie mieszka Korybut, traktowano, jak rzecz wprost głupią, a z punktu widzenia folwarczno-stajenno - mękarzyckiego nawet niemożliwą, gdyż jakieś tam siwki cugowe... Tecia pytała mię ze swym familijnym uśmiechem, co ja tam myślę robić.

— Zajedziesz, — mówiła, — do tych Głogów — no i cóż zrobisz? Gdzież wysiądziesz? Przecie we dworze mieszkają żydy...

Wistocie, gdybym zajechała końmi i bryczką z Mękarzyc, skupiłabym na sobie uwagę wszystkich. To też zdecydowałam się użyć podstępu. Gdy furmanka zaszła przed ganek, dopiero oświadczyłam, że jadę do Kielc i to niezwłocznie. Za użycie takiego fortelu przeprosiłam jak tylko umiem najpiękniej, oddałam i przyjęłam pocałunki rodowe, których się używa w oznaczonej (bardzo wielkiej) proporcyi zupełnie tak, a bez potrzeby, jak naprzykład, tytułów w listach... Odjechałam.

Za wsią, gdyśmy się zbliżali do szosy kieleckiej, zagadnęłam mojego woźnicę, co będzie chciał.

— Odwieziecie mię — rzekłam, najprzód do Głogów, a dopiero później do miasta.

Chłop aż konie wstrzymał na drodze, tak się wziął namyślać. Mruczał coś o sianie, obroku, o dniu zmarnowanym, o czterech milach drogi, które trzeba nałożyć, aż wreszcie wypalił, że muszę mu dołożyć pięć rubli. Naturalnie, że się zgodziłam. Gdyby, głupi zażądał był dziesięciu, a nadto okrywki i kuferka — takżebym przystała.

Zaraz skręciliśmy i przez pastwiska, omijając Stró-

 

żów, pociągnęliśmy w górę. Była może godzina szósta rano. Dzień był ciepły, umyślnie zesłany, tylko przymglony jasnemi i cienkiemi włóknami nocnych tumanów, które jeszcze wysypiały się w nizinach podleśnych, — niby sieci pajęcze. Ja sama zapadłam w jakąś obłudną martwotę. Serce moje było czujne, jak nigdy, ale rozpostarła się nad jego uniesieniem nasza górska i leśna cisza. Wóz mój wolno dosięgnął przełęczy i znalazł się w kolejach starej, trawą zarosłej drogi, zwanej »na górę«. Leszczyny i brzozy rozrosły się tam w las prawie. Chłopina podciął konie, minęliśmy wąwóz gliniasty pod szczytem, — i oto, daleko, w dole ukazały się przed memi oczyma—Głogi. Z łąk, z rzeki, ze stawu dźwigały się mgły, znikające w wyżynie. Dom nasz białemi ścianami jaśniał w zieleni ogrodu i przeglądał się w głębi wody...

Młode szkapki, nieprzyzwyczajone do dróg tamtejszych, nie mogły utrzymać wasąga. Orczyki biły je po nogach, to też pędziliśmy ze stromego zbocza góry co tchu, wskrós jałowców. Dopadliśmy strumienia. Tam dopiero konięta wydobyły swe małe łby z chomąt, które im wyprężone naszelniki wcisnęły aż za uszy. Woźnica stanął, a ja wysiadłam. Wskazałam mu drogę, którędy ma przejechać na drugą stronę Głogów, aż do szynku przy trakcie kieleckim.

— Przyjdę tam w południe — mówiłam.

Chłop patrzał z podełba, ale walizka moja zostająca na wozie dodała mu otuchy. Gdy wreszcie odjechał, poszłam ścieżką. Trawy nie były jeszcze skoszone. Otoczyły mię kwiaty moje, zarośla. Szłam w szczęściu, niby w jakim obłoku. Oto kwiaty, które

poznaję nozdrzami, zanim ujrzę oczyma, wychylają się z łąki. »Jaskółki« blado-fioletowe, siostrzyczki moje rodzone, najdroższe moje. Nie zrywałam żadnej, tylko stawałam nad nimi, całując je spojrzeniem. One pytały mię także, czemu odeszłam z tej krainy, dlaczego nie mieszkam we wsi rodzinnej... Ale oto przy mojej ścieżce na pastwisku ujrzałam coś nieznanego: duży krzak rokiciny. Stał samotny...

— Nie znam cię... — rzekłam mu. Ale w tej samej chwili rozsunęło się przedemną wspomnienie... To on!

Do kuchni naszej w tym dniu, kiedy ja przyszłam na świat, zabłąkał się biedny, wędrowny pies. Nikt nie wiedział skąd jest i jak się zowie. Że w takim dniu przyszedł, dano mu jeść, jak gościowi. Od tej chwili został przy dworze. Przezwano go »Rozbojem« Był dobry, poczciwy i wierny. Lubiła go mama, bracia i ja bardzo. Gdyśmy do domu na wakacye wracali, zawsze jego szczekanie słychać było pierwsze, z daleka. W chwili odjazdu patrzał nam w oczy z taką żałością...

Kiedy ja miałam lat czternaście, on już był tak stary, że się z miejsca nie ruszał. Osiwiał cały, ogłuchł i przestał szczekać. Leżał na słońcu i starczym, smutnym, sennym wzrokiem spoglądał dokoła. Gdy było zbliżać się ku niemu, machał jeszcze ogonem, dźwigał łeb i uśmiechał się, jak człowiek.

Pewnego dnia rano, o świcie usłyszeliśmy, że skowyczy. Rzuciłam się do okna i ujrzałam na pastwisku strzelca Gązwę. O kilkanaście kroków od niego szarpał się »Rozbój«, przywiązany do kamienia. Blask fuzyi, błękitny dymek... Później huk.

»Rozbój« szczeknął raz, drugi...

Gdyśmy z Wackem, z Henrysiem, jęcząc, przypadli, już Gązwy nie było, a on leżał zabity. Przednia łapa jeszcze drgnęła. W moich rękach ostygła.

Tuśmy dół wykopali i na grobie starego psiska posadziliśmy gałąź rokiciny.

To on jest. W tych prętach krew jego ciepła... Zbliżyłam się i dotknęłam go ręką. Cały w białą rosę nalistnicę, jak w albę obleczony. Może pniak czarnego drzewa wyda radosne szczekanie, może martwe liście się poruszą. Nic. Tylko zimne, milczące, rzęsiste krople spadły na moje ręce.

Przyszłam łąkami do źródła. Stara grusza pod urwiskiem i stok w głębi zupełnie te same zostały. Nawet głazy, po których się dochodzi...

Tak samo ze zdroju wyskakują kłęby i banie wodne, zakwitając na wierzchu, niby róże wieczne, latem i zimą żywe. Siadłam przy źródle i straciłam świat z oczu.

Ptaki śpiewały w gęstwinach, wśród których lśnią się strugi, płynące kilkoma łożyskami ze stoku. W pobliżu przecina je droga piaszczysta.

Nad źródliskiem czerwieniła się obfitość centuryi, którą zrywaliśmy w tem miejscu z mamą nieboszczką. Odwar tego ziela pomagał jej na ból głowy. Ściągnęłam rękę i machinalnie zerwałam kilka tylko kwiatów opornych, ale natychmiast, jakby kara za śmierć ich, przeszyła mię straszna świadomość. Uczułam w ustach smak goryczy centuryi i krople jej płynące do serca.

Odeszłam stamtąd. Przedemną była grobla, prowadząca do dworu. Wszystko inne, inne... Nowe gaje

drzew wyrosły. Tylko iskry palące się na falach stawu i na ślizkich łodygach sitowia, tylko zapach tataraku i wilgotna woń rokit — ta sama. Biało-żółte lilie wodne ze swych szerokich liści uśmiechały się do mnie i sączyły w serce wiťo radości.

Spostrzegłam, że wielkie olchy nad wodą zostały ścięte i że św. Jana już niema. Upust, widać, powódź zniosła, bo zastąpiono go szluzą, z której płynie nadmiar wody. Teraz nie sączy się wcale, to też uderzył mię brak melodyjnego szumu, który trwał tak długo, jak moje szczęście w dzieciństwie...

I już tego wszystkiego niema, jak wody, która wtedy płynęła, już tego nie znaleźć, jak kropel, co uciekły i w morzu utonęły.

Stary czarny młyn za groblą tak samo tonął w zieleni. Modrzew nad drogą rozrósł się jeszcze bardziej. Dwie iwy obok czworaków spróchniały już zupełnie i tylko para łodyg zielonych wyrasta z ich pniów umierających.

Stanęłam wobec domu naszego.

Jakież zniszczenie! Płoty, klomby, dróżki — wszystko skasowane bez śladu. Nawet dzikie wino przy ganku wydarte, ganek sam rozwalony, ściany odrapane, okna zabite.

Weszłam do sieni, uchyliłam drzwi dużego pokoju, w którym umarli moi obydwoje rodzice. Było tam pełno gratów żydowskich. W *tym* kącie stoi łoże z mnóstwem pierzyn.

Uciekłam co prędzej.

Nikt z dorosłych nie widział mię zrazu, tylko mały żydek, pewno sześcioletni, skądś wylazł i zabiegał

mi drogę. Gdy stanęłam na podwórzu, obskoczyło mię z dziesięć osób. Szli ze mną, dopytywali się, com za jedna, czego żądam. Coś im mówiłam. Jeden stary żyd dreptał tuż przy mnie, badając słowem i wzrokiem. Minęłam dziedziniec, lipy i skierowałam się ku Bukowej. Ów stary żyd w atłasowym chałacie szedł i coś gadał bez przerwy. Nie mogłam mówić. Wlokłam się... Nareszcie został. Śledził każdy mój krok z oddali, a z za krzaków wyglądały jego dzieci.

Dusza moja była owiana mrokiem, serce zastygło i nie mogło wydać ze siebie ani jednego uczucia. Tylko myśl sroga, bolesna i mściwa, jak błyskawica oświetlała to miejsce. Miejce zostało to samo. Wszystko przeminęło w czasie, odpłynęło z wodą. Grunt obojętny został sam jeden i jak przed wiekami zielenił się do słońca. Nic tu nie ocalało po moim ojcu, po mojej matce, po mnie i braciach. Obszar, przesiąkły pracą, myślami i uczuciami nas wszystkich wziął inny człowiek.

W tem miejscu, gdzie ostatni jęk wydali oni, które jest dla mnie świętem świętych — szwargoczą cudzy ludzie. Drzewa, co żyły w ciągu lat tęsknoty w duszy mojej, jak święte, tajemnicze symbole spraw zakrytych przed śmiertelnemi oczyma, koleje dróg, wyżłobione w żółtym piasku, co jak złote liny ciągnęły mię do tego kraju pośród łez i mroku nocy zimowych, łąki moje i błysk wody w zakrętach rzecznych między olszyną — wszystko dziedziczy przychodzień! Dla niego te wszystkie skarby duszy mojej są tylko przedmiotami lichego zarobku.

I on tak samo, jak my, przeminie i zstąpi ze swoim handlarskim mózgiem w tę ziemię, która wszystko

pożera. Ujrzałam wtedy jej prawdziwe oblicze! Jej uśmiech do wiecznego słońca, w którem było jakby drwiące natrząsanie się z miłości mojej dla niej, jakby cyniczna spowiedź, że ona mię nigdy nie widziała, że nie wie wcale, kto jestem! Ona nie taka jest, jaką kochałam.

Na miłość serca ludzkiego nie odpowiada. A gdy ku niej z całej mocy dusza się wydziera, ona odsłania w błysku sennym jakiś cel zaziemski, którego niczem, co jest w mocy człowieka nie można dosięgnąć.

Obok wąwozu, w tym cichym kąciku między polami nagle stanęłam. Zwróciła mię moc, której w sobie nie znam.

Byłam tak blizko moich rodziców, że prawie słyszałam ich osoby, mogłabym dotknąć ich rękoma. Zdało mi się, że są za mną, że jeśli odwrócę się i wejdę w bramę folwarku, to ich zobaczę pod lipami. Łaski takiej blizkości nie miałam nawet w Krawczyskach.

Było cicho. Złuda trwała przez małą chwilę.

Po niej dopiero objęłam piersiami straszną egzekucyę, którą śmierć spełnia.

Gdzież oni są? W co się obrócili? Dokąd odeszli z tego miejsca? Całe moje ciało trzęsło się aż do głębi serca.

Rozsypywałam się w proch przed śmiercią z błaganiem, ażebym była godna posiąść tajemnicę.

Gdzie jest mój ojciec, gdzie matka, gdzie Wacław?...

Wtedym usłyszała w sobie znowu te słowa, jak wówczas, w drodze do Mękarzyc.

»Takowyż przypadek schodzi na ludzi jako i na zwierzęta, gdyż jako zwierzę tak i człowiek umiera

i jednakowego ducha mają wszyscy, a niema nic w człowieku przed bydlęciem, bo wszystko jest próżność«.

I jeszcze dalej, jak niewysłowioną boleść, struchlałemi ustami szeptałam do siebie wiersze Mędrca Pańskiego:

»Któż wie, czy duch człowieczy idzie w górę, a duch zwierzęcy zstępuje na dół, pod ziemię. Wszystko idzie na jedno miejsce, a wszystko jest z prochu«.

Bez sił, w głuchej rozpaczy dowlokłam się w zarośla na wzgórzu. Weszłam między brzozy i, nic nie widząc, ani słysząc, błąkałam się. Nie przypomnę sobie, kiedy i nie wiem, w którem miejscu upadłam na ziemię. Zeszła na mnie żądza śmierci. Tylko ją jedną czułam i ona była ostatniem tętnem mojego serca.

Tak trwało długo...

Ale wtedy z cmentarza w Krawczyskach moja matka przyszła do mnie z głębi ziemi. Wskróś iłu, piasku, opoki przedarła się ziemią. Nie leżałam już na martwym ugorze. Uczułam się na łonie matki mojej, w którem jej serce uderzało. Szły we mnie głębokie, ziemne, ciche wzruszenia. Słowa moje próżnoby chciały wyrazić to, co się odbyło. Śmierć zlękła się i odeszła, ustał płacz i żal.

O, jasne kwiaty mojej doliny...

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

# SPIS RZECZY.

| | Str. |
|---|---|
| Wenus z Milo | 1 |
| W pocie czoła | 35 |
| Mrzonki | 70 |
| Smutek | 98 |
| Praktyka | 105 |
| Swawolny Dyzio | 126 |
| Cisy | 144 |
| Kwiat tuberozy | 164 |
| Przyjdź | 175 |
| Zwierzenia | 177 |